

WYDANIE SPECJALNE NA NOWY ROK

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 01/457 9 STYCZNIA 2022



Prawica już nie jest zjednoczona
- Józef Orzeł o zmianach
w koalicji rządowej

Trójmorze kontra
Mitteleuropa Niemców

Gdy chodzi o język francuski,
z Francuzami nie ma żartów

2022

Czy odzyskamy naszą wolność?

JERZY KARWELIS Jak się uwolnić od psychozy COVID-19 **RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ** Dlaczego Putin ogrywa Zachód?

MACIEJ PIECZYŃSKI Gdzie i w jaki sposób uderzy Rosja **MAREK JUREK** Polska wobec wojny

JAKUB POLIT Co robić w obliczu starcia Chin i USA **WOJCIECH GOLONKA** Zostać w UE czy wychodzić z UE?

ŁUKASZ WARZECHA Zielony Ład demoluje Polskę **PIOTR SEMKA** Jak uratować autorytet Kościoła

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 56 700 egzemplarzy



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



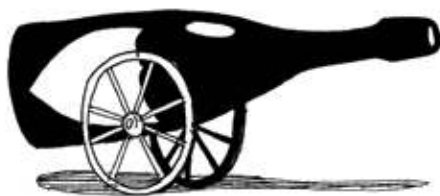
TYLKO U NAS!

ROZMOWA Z BOHATERKĄ
POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO!

Andrzej Brzeziecki – **Żychoń: superszpieg II RP**
Tomasz Stańczyk – **Tragedia majora Sosnowskiego**
Arkadiusz Karbowski – **Inwazja w Zatoce Świń**
Sławomir Cenckiewicz – **LWP przeciwko narodowi**
Mikołaj Iwanow – **Feliks Kon: czerwony renegat**
Piotr Zychowicz – **Zbrodnia US Navy na Pacyfiku**
Sławomir Koper – **Tajemnica DNA Śmigłego-Rydza**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Pełnego pokoju i spokoju
nowego 2022 roku
życzy redakcja tygodnika „Do Rzeczy”



WYDZIAŁ KULTURY I SPOŁECZNOŚCI



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Moje życzenia na 2022 rok

Dawno już tyle obaw nie towarzyszyło nadejściu nowego roku. Być może głównym powodem jest strach – uczucie, które na dobre zadomowiło się w świadomości ludzkiej, od kiedy to pojawiły się pierwsze wzmianki o nadejściu pandemii. Łatwo dziś przywołać te powszechnie dziś zapomniane, i słusznie, przepowiednie oraz prognozy polityków i specjalistów, którzy obiecywali pod koniec roku 2020, że zagrożenie koronawirusem zostanie pokonane. Jedni mówili o „świąteczku w tunelu”, inni krzykali o „ostatniej prostej” lub opowiadali o „nowej normalności”. Dzisiaj o różnych swoich deklaracjach najchętniej by zapomnieli.

Rzeczywiście, hasło mówiące o „ostatniej prostej” zostało wyparte wzywaniem do brania „dawki przypominającej” – tak jakby trzecia dawka przez to była mniej „trzecią” i jakby za pomocą języka – właśnie używając określenia „przypominająca” – można było ukryć, że jest ona „trzecia” i że dwie pierwsze najwyraźniej nie wystarczyły. Co zresztą prowadzi do wniosku, że zaraz pojawią się czwarta i piąta itd. Podobnie zmienia się język specjalistów: szczepionka, która miała dawać bezpieczeństwo i chronić przed chorobą, stała się teraz jedynie formą zapewnienia „lżejszego przebiegu”, w wersji groteskowej „lżejszego zgonu”. Doprawdy, politycy i specjaliści dwoją się i troją, żeby znaleźć poręczne formuły językowe.

Dawno już ludzkość nie ulegała tak powszechnie szaleństwu: pasja, z jaką gasi się pożar benzyną, nie jest wprawdzie niczym nowym w dziejach, ale obecna skala tego zjawiska, to, że opanowało ono świadomość większości polityków demokratycznych i, co najgorsze, ludzi reprezentujących naukę, jest czymś niebywałym. Większość z nich zachowuje się jak typowi sekciarze, którzy każde swoje wystąpienie muszą opatrzyć obowiązkowym wyznaniem wiary: „Nie ma choroby nad COVID, a szczepionka jest jedynym rozwiązaniem”.

Tak, w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy wszystko się odwróciło. Rządy zaczęły występować w roli komiwojażerów wielkich koncernów farmaceutycznych, media stały się tubą propagandową, lekarze zaś po prostu przestali leczyć. Dziennikarze nie sprawdzają już powiązań grup interesów, nie pytają, jaki jest związek między pojawieniem się nowej odmiany wirusa o wdzięcznej nazwie „Omikron” a zarobkami kilku największych producentów szczepionek. Czy jeśli w czymś interesie leży wywołanie strachu, to nie należy tego zbadać?

Dziennikarze nie zadają najprostszych pytań: Na czym polega sukces Izraela, który po zaszczepieniu niemal wszystkich trzema dawkami zamknął granice w oczekiwaniu na piątą falę? Dlaczego w państwach, gdzie zaszczepiono ponad 80 proc. populacji, liczba nowych przypadków rośnie? Jaki

sens ma przymus szczepienia pracowników służby zdrowia, skoro gdyby szczepionki były skuteczne, oni pierwsi powinni byli z dobrodziejstwa skorzystać?

Upadkowi rozumu towarzyszy coraz bardziej niekontrolowana wściekłość skierowana przeciw tym, którzy zdrowego rozsądku nie stracili. Okazuje się, że z takimi ludźmi nie warto dyskutować: należy ich zastraszyć, a jeśli to nie pomoże, to napiętnować i zmusić. Nikt nie posunął się dalej na tej drodze zamordyzmu niż Austriacy czy Australijczycy. Na razie. Nie jest powiedziane, że nie dołączą do nich inne kraje. Więc jak tu się cieszyć? Jak tu mieć nadzieję, skoro panpsychoza nie chce się cofnąć, a walka z „pandemią” przypomina typową nerwicę natręctw?

Można się tylko pocieszać, że w porównaniu z szaleństwem, które ogarnęło większość państw Zachodu, Polska wciąż jeszcze nie całkiem została poddana reżimowi sanitarnemu. Dziękuję tym wszystkim, którzy mieli dość odwagi, żeby pamiętać o prawie i wolności. Lekarzom, którzy stanęli w obronie rozumu i chcieli leczyć, oraz tym politykom, którzy mimo presji ze strony swoistej koalicji strachu – tak rządu, jak większości opozycji – rozumieli, że wolności nie da się reglamentować. Na szacunek zasługuje każdy głos w obronie normalności, nie nowej, ale prawdziwej normalności. Oby było ich jak najwięcej. ©©

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ 10 STYCZNIA 2022 R.

TEMAT TYGODNIA

20 JERZY KARWELIS
STRACH MA WIELKĄ PRZYSZŁOŚĆ
Dyktatura panikarzy

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PUTIN IDZIE NA WOJNĘ

26 MACIEJ PIECZYŃSKI
ESKALACJA CZY AGRESJA?

28 MAREK JUREK
POLSKA WOBEC WOJNY

30 ROZMOWA Z PROF. JAKUBEM POLITEM
CHINY KONTRA USA

33 WOJCIECH GOŁONKA
ZOSTAĆ CZY WYJŚĆ Z UE?

36 ŁUKASZ WARZECHA
ZIELONY ŁAD DUSI POLSKĘ

38 PIOTR SEMKA
BEZ ŁATWYCH RECEPT, ALE Z WIARĄ

KRAJ

42 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
PRAWICA JUŻ NIE JEST ZJEDNOCZONA
Najgroźniejszy dla PiS jest konflikt z UE

46 KAMILA BARANOWSKA
NOWE MASKI

48 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZWICHROWANY ŚWIECZNIK

50 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
TATA W PRAKTYCE

KULTURA

52 TOMASZ ROWIŃSKI
NOWE OTWARCIE W ZACHĘCIE
Dobra zmiana w kulturze

55 PIOTR SEMKA
FRIDA HANSEN, CZYLI SENNIK NORDYCKI

58 PIOTR GOCIEK
O KROK OD ARCYDZIEŁA

NIE PRZEGAP

60 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

66 MAŁGORZATA WOŁCZYK
ODKŁAMAĆ PODBÓJ ŚWIATA I NIE PRZEPRASZAĆ
Imperium z ludzką twarzą

HISTORIA

70 MACIEJ ROSALAK
MITTELEUROPA ZAMIAST MIĘDZYMORZA
Niemieckie marzenia o ekspansji

74 PIOTR ZYCHOWICZ
TRZY KULE DLA „WALTERA”

ŚWIAT

78 TERESA STYLIŃSKA
FRANCUSKI CZEKA NA SWÓJ CZAS
Język jest dla Francuzów celem samym w sobie

82 ROZMOWA Z DR CAROL M. SWAIN
RASIZM W IMIĘ POSTĘPU

EKONOMIA

86 ROZMOWA Z PIOTREM NAIMSKIM
REDUKUJEMY MOŻLIWOŚĆ „SZANTAŻU GAZOWEGO”
Baltic Pipe zabezpieczy Polskę

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
TOREBKA GUCCI ZE ZBRODNIĄ W TLE
Historia toskańskiego klanu

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (17), ZYCHOWICZ, KOPER (77), PRZYBYLSKI (81), GABRYEL, WARZECHA (88), KOMUDA (92), KARWELIS, POSPIESZALSKI (95), JĄSTRĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)



Z Facebookiem europejskie firmy rozwijają działalność.

Większość ankietowanych małych firm z UE używających aplikacji Facebooka deklaruje, że pomogły im one w czasie pandemii przyciągać nowych klientów*. W Polsce taką firmą jest Plan Planeta, sklep z odzieżą i produktami lifestyle'owymi wytwarzanymi z szacunkiem dla środowiska naturalnego. Właściciel firmy Rafał rozwija markę online od 2015 roku, wykorzystując aplikacje i usługi Facebooka. Aż do 80% przychodów generuje na bazie dużej i lojalnej społeczności, jaką buduje na platformach Facebooka. Komunikacja z klientami odbywa się głównie na Messengerze. Nawet w okresie pandemii sprzedaż wzrosła niemal dwukrotnie.

Rafał mówi: „Bez Facebooka firma nie byłaby tu, gdzie jest teraz. Taki rozwój, jaki osiągnęliśmy, nie byłby możliwy”.

Z Facebookiem europejskie firmy rozwijają działalność.

Dowiedz się więcej na stronie about.fb.com/pl/europe

* Badanie firmy Ipsos MORI. W ogólnosięciowym badaniu przeprowadzonym w lutym i marcu 2021 r. udział wzięło 7500 małych i średnich firm z UE.

FACEBOOK



**TYGODNIK LISICKIEGO
DO
RZECZY**
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

 Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

 Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

 Stali współpracownicy i felietniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz
Kucharczyk, Tomasz Lenkowski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Toraniński, Szezech Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniak, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca,
 także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło

 Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
 Fotoobjęty: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak**
 Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
 Okładka: **Adobe Stock**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

 Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc
 Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż): **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 56 700 egzemplarzy
DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Pozdrowienia z Ursynowa

Szanowni Państwo,
 głośno było ostatnio, co dziwić nie może, o projekcie życzeń „świętecznych” warszawskiego magistratu. Chyba szkoda strzepić sobie język, jak włodarze Warszawy stronią od łączenia świąt Bożego Narodzenia z Bogiem, szkoda naśmiewać się z łyżwiarzy czy bulwersować na „przypadkową” liczbę gwiazdek na tym projekcie. Obecnych władz Warszawy się nie zmieni, trzeba zrobić wszystko, żeby zmienić tę opcję na inną w najbliższych wyborach.

Piszę jako dumny mieszkaniec Ursynowa. Być może widzieli już Państwo plakaty świąteczne stylizowane na te miejskie, ale z napisem: „Ursynów pamięta, skąd się wzięły święta”, a poniżej z życzeniami „ciepłych, spokojnych i bezpiecznych świąt Bożego Narodzenia”. Nie wiem, czy projekt ten to oficjalne

życzenia od dzielnicy, jeśli tak, to mam kolejny powód, by być dumnym, że jestem mieszkańcem Ursynowa. Dzielnicy, która Bożego Narodzenia się nie wstydzi, bo na swej oficjalnej stronie także składa życzenia z okazji Bożego Narodzenia, a nie „świąt” czy pochodu łyżwiarzy.

Jarosław

Panowie G., bambus i trawa

Szanowni Państwo,
 chciałbym zwrócić uwagę na jeden błąd, który wkładł się do tekstu Panom G. (nr 51/2021) – chodzi o bambus, który jest trawą, a nie drzewem.
Czytelnik z Podkarpacia

PS Chyba że przeoczyłem subtelny sarkazm, co zdarza mi się dość często.

Od redakcji

Panowie G. dziękują za list i odpowiadają w swojej rubryce.

Jedyna „słuszna droga”

Szanowna Redakcjo!
 Zostaliście jedynymi, którzy mają odwagę przeciwstawić racjonalne argumenty i fakty „jedyną i słuszną drogę”. [...] Przygnębiający jest jednobrzmiący chór dziennikarzy wszystkich stacji telewizyjnych, gazet, rządu, „autorytetów”, że „szczepienia to jedyny ratunek”. Jest to jedyny, zamykający dyskusję „argument”, że musimy się zaszczepić. Jesteś innego zdania lub próbujesz rozmawiać, to won!

Przypomina mi to sytuację, gdy w latach 70. mój ojciec po 30 latach pracy w Hucie im. Lenina upominał się w dziale socjalnym, że jeszcze nigdy nie dostał przydziału na wczas z rodziną. Odpowiedź była prosta: „Panie Pawlak, niech się pan zapisze do partii, to będzie pan jeździł na wczasy co roku”.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

REKLAMA

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

Andrzeja Rozpłochowskiego

legendarnego działacza Solidarności na Śląsku, uczestnika strajków w Hucie Katowice, sygnatariusza Porozumień Katowickich z 1980 roku, opozycjonisty bez reszty oddanego Polsce prawdziwie wolnej i niepodległej.

Oskarżony o „próbę obalenia siłą ustroju PRL”, w 1988 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie całym sercem angażował się w działalność organizacji polonijnych. Do ukochanej Ojczyzny powrócił w 2010 roku.

Odnaczony srebrnym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Wolności i Solidarności.

Odszedł współtwórca suwerennej Rzeczypospolitej, człowiek dzielny i prawy, który nie wahał się wybrać tego, co słuszne.

Rodzinie i Bliskim składam wyrazy głębokiego współczucia

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Appeasement time

Brytyjski Netflix szykuje na styczeń 2022 r. atrakcyjną premierę. Film „Monachium: Na skraju wojny” ma podjąć się obrony brytyjskiego premiera Neville’a Chamberlaina, który oddał na konferencji monachijskiej Czechosłowację na pastwę Hitlera. Wszystko to w zamian za fałszywe obietnice III Rzeszy o rzekomym wyczerpaniu się listy niemieckich roszczeń terytorialnych.

Jak pisze dziennik „Guardian”, film „Munich – The Edge of War” to odważna próba zmiany historii. „Chamberlain jest dla mnie tragicznym bohaterem” – mówi Richard Harris, autor książki, która stała się podstawą scenariusza. „Nie udaje mu się, ale w próbie jest coś szlachetnego – nie nędznego, jak to się zwykle pisze”.

Pacyfistyczną wymowę filmu wzmacnia motyw, który rozgrywa się równolegle do konferencji monachijskiej, będącej tematem tego filmu. Paul von Hartmann, niemiecki urzędnik, który w czasie studiów w Anglii poznał jednego z asystentów brytyjskiego premiera, Hugh Legata, próbuje przekonać go, że Brytyjczycy muszą powstrzymać Hitlera. Chamberlain z kolei

uważa, że kraj czeka kryzys, jeśli przywódcy nie zrobią wszystkiego, aby uniknąć kolejnej wojny. „Choć Hartmann i Legat są fikcyjni, to Harris potwierdza, że są częściowo zainspirowani przez dyplomatę Adama von Trotta zu Solza i uczonego A.L. Rowse’a – pisze „Guardian”. – Ten drugi, który był gejem, pisał o swoim intensywnym, platonicznym przywiązaniu do Trotta w Oxfordzie. Trott, choć w istocie postać znacznie mniej sympatyczna niż fikcyjny Hartmann, dołączył jednak potem do spisku Clausa von Stauffenberga z 1944 r., mającego na celu zamordowanie Hitlera. Nie udało się i Trott został stracony”.

„Chamberlain wierzył, że kraj przeżyje duchowy kryzys, jeśli ludzie nie zobaczą, jak ich przywódcy robią wszystko, co możliwe, aby uniknąć kolejnej wojny” – mówi Harris.

„Można powiedzieć – dodaje na łamach »Guardiana« Jeremy Irons, odtwórca roli Chamberlaina – że kraj znajduje się obecnie w duchowym kryzysie, ponieważ nasi przywódcy nie wydają się zajmować sprawami, na których nam zależy: zdrowiem publicznym, globalnym ociepleniem, balanso-

waniem między bogatymi i biednymi. Film pojawia się w momencie, w którym nie ufamy naszym politykom. Dlatego sportretowanie Chamberlaina, polityka, który jest uczciwy i prawdomówny, ma prawdziwe problemy i próbuje sobie z nimi poradzić, jest bardzo ważne” – mówi Irons.

„Monachium” to według „Guardiana” ambitny film, którego celem jest nie tylko poruszenie, lecz także zmiana brytyjskich – i prawdopodobnie niemieckich – poglądów na ich narodową historię. „Teraźniejszość każdego kraju – mówi Robert Harris – jest kształtowana przez interpretację jego przeszłości”. Tyle „Guardian”.

Czytając dość przychylny tekst o nowym filmie, trudno nie pomyśleć o momencie, w którym pojawia się ta apologia polityki kapitulacji przed agresorem. Rosja postawiła Zachodowi ultimatum w sprawie rozszerzania NATO na wschód i grozi konfliktem zbrojnym.

Wszystkie oczy skierowane są teraz na Joe Bidena i najsilniejszych graczy Unii Europejskiej. Kto z nich może zostać duchowym następcą Chamberlaina? ©



FOT. KAROLINA MISTAL/REPORTER

NIE ŻYJE ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI

20 grudnia zmarł Andrzej Rozpłochowski – legendarny działacz śląskiej opozycji demokratycznej w czasach PRL i sygnatariusz jednego z Porozumień Sierpniowych 1980 r. Niedługo przed śmiercią Andrzej Rozpłochowski wyróżniono tytułem Człowieka Roku 2020 „Tygodnika Solidarność”. W grudniu, po zakażeniu koronawirusem, trafił w ciężkim stanie do szpitala MSWiA w Katowicach. Miał 71 lat. (jap) ©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wieszanie jako wrzutka

Kiedy polityk zapragnie, jak to się mawiało w mojej szkole, „chlasnąć intelektem”, to prawie zawsze są z tego kłopoty. Lech Wałęsa na przykład, dawno, w czasach „wojny na górze”, pochwalił się cytatem: „Demokracja to wieczna wojna wszystkich ze wszystkimi” i wzbudziło to taki klangor na salonach, że potem miał zapowiedzieć w gronie współpracowników: „Już nigdy nie przeczytam żadnej książki”. Jarosław Kaczyński użył frazy z wiersza (składiną będącego w lekturach szkolnych) „inni szatani byli tu czynni” i o tym, że w dalekiej Polsce rządzi religijny wariat, który uważa, że opozycja jest sterowana przez szatana, pisały gazety nawet na Jamajce i w Brunei.

Przykładu najnowszego dostarczył Donald Tusk, który zapragnął podnieść intelektualny poziom swej przemowy w obronie TVN cytatem z Miłosza o „sznurze” i „gałęzi, pod ciężarem zgiętej”. Wyszło na to, że pogroził prezydentowi Dudzie wieszaniem, co nie byłoby może aż tak smakowite, gdyby nie fakt, że ten sam TVN, którego onym sznurem i gałęzią chciał Tusk bronić, rozpętał był parę razy solidną histerię – gdy na przykład słowami „będziesz wisiał” zwrócił się do ministra zdrowia poseł Grzegorz Braun albo gdy działacze ONR podczas manifestacji nawiązali do staropolskiej tradycji wieszania portretów targowiczian i umieścili na symbolicznym szafocie konterfety europosłów głosujących za antypolskimi rezolucjami.

Tak czy owak, okrzyki oburzonych wieszaniem i obrońców Miłosza przykryły wszystko, co Tusk i inni powiedzieli na manifestacji w obronie TVN – i, co najciekawsze, chyba o to chodziło. Rzecz w tym, że nie powiedziano tam nic sensownego, bo w istocie – nic do powiedzenia nie ma. Kto zadał sobie trud i przeczytał ustawę, ten wie, że nawet jeśli wejdzie w życie, to nic z niej nie wyniknie, poza zmianą kilku formalnych rejestracji, i że „likwidacja wolnych mediów” jest taką samą bzdurą jak strefy „no-go” dla LGBT. Ale zamiast o inflację, pandemię, kryzys energetyczny i inne poważne sprawy Polacy będą się w święta kłócić o fantom „wolności mediów”, i to się właśnie opłaca wszystkim uczestnikom polityczno-medialnej gry. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Krzyk czy polityka?

Władze Unii Europejskiej nie odebrały Bułgarii należnych środków finansowych, choć bułgarski Trybunał Konstytucyjny odrzucił konwencję sambiulską. Unia o jej ratyfikację apeluje dalej, ale Bułgarzy mają środki i od międzynarodowej kontroli gender są wolni. My zrobiliśmy demonstrację „Stref Wolnych od LGBT”, potem przeżyliśmy upokorzenia uchwał odwoływanych przez sejmiki i mamy sankcje finansowe. Takie są efekty zastępowania poważnej polityki na rzecz cywilizacji życia i rodziny harcami dla usatysfakcjonowania mało wymagającego, czyli – mówiąc prościej – naiwnego elektoratu. Wszystko to nie jest

przypadkiem ani nawet funkcją oczekiwań społecznych. Chodzi po prostu o to, że kierownictwo PiS prowadzić poważnej polityki na rzecz cywilizacji chrześcijańskiej nie chce, gotowe jest, owszem, tolerować najmniej rozumne demonstracje swych działaczy z drugiego i trzeciego szeregu – byle nie angażować się serio.

A harcownicy bardzo się przydają, by tworzyć wyborcze emocje. Emocje dają głosy, a nadto efektywnymi harcami zastępują potrzebę tworzenia realnych aktów i instytucji. Takie manewry to wybór najzupełniej świadomy, co wcale nie znaczy, że racjonalny. O jego pragmatycznej jakości świadczy przykład bułgarski, który wyżej przytoczyłem, a nie

jest przecież jedyny. Można tu dodać formalną odmowę ratyfikacji przez Słowację, którą to odmowę – idąc za dyspozycjami rządu i parlamentu – musiała wbrew sobie notyfikować prezydent Čaputová, albo przykład Litwy, która przyjęła ustawę przeciw demoralizacji w szkołach. Kraje te wytykano w rezolucjach strasburskiego parlamentu, ale żadne poważne sankcje ich nie spotkały.

Od zawsze powtarzam, ostatnio zwracałem na to uwagę jednemu z liderów Konfederacji, że krzyk nie świadczy ani o ideowości, ani nawet o radykalizmie postulatów. Najczęściej jest zasłoną dymną, która – dopóki nie rozwieje jej wiatr – ukrywa pustkę. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O nazwach ulic i placów

Kilka dni temu, czytając artykuł w „Corriere della Sera” o głośnym procesie sądowym, zdumiałem się, że gmach sądu w Turynie, w którym zapadł wyrok, mieści się przy ulicy Związku Sowieckiego. Wbiłem w wyszukiwarkę „via Unione Sovietica” i wyszło mi, że pamięć o ojczyźnie proletariatu czczona jest w Italii ulicami i alejami w Rzymie, Syrakuzach, Reggio Emilia, Genzano, Grosseto i Marano.

O tym, że Lenin wielbiony jest w Italii do dziś, dowiedziałem się zaraz po przybyciu do Rzymu. Jedną z linii autobusowych z przystankiem koło nas kończy trasę właśnie na via Lenin. Stąd przez miasto kilkadziesiąt razy dziennie przejeżdża autobus z napisem „Lenin” na tablicy.

W 2011 r. prawicowi radni uznali, że to skandal, i zgłosili propozycję, by zmienić nazwę ulicy na „Ofiar Komunizmu”. Ale nie dali rady. Zwyciężyła miłość do Wodza Rewolucji. Włosi wielbią go aż 76 ulicami, alejami i placami. Wystawili mu kilka pomników. Popiersie widziałem na własne oczy na Capri.

Natomiast dzieło wiecznie żywego Lenina, rewolucji październikowej, Włosi oddają hołd ulicami w 14 miastach. Z kolei Josip Broz-Tito, winien czystek etnicznych i masowych mordów na Włochach w czasie drugiej wojny światowej, uhonorowany został ulicami i alejami w 11 włoskich miejscowościach. Nie wiedzieć czemu, jeszcze większą estymą cieszy się w Italii przywódca wietnamskich komunistów

Ho Chi Minh. Czci go aż 13 miast. A Lwa Trockiego tylko jedno – Campobello. Za to inny zwolennik i praktyk wojennego eksportu rewolucji – Che Guevara – upamiętniony jest 14 ulicami, a nawet szlakiem górskim na Monte Casale w regionie Trydentu.

Dla żartu wbiłem „via Stalin”. Jest! Jak najbardziej! W Raffadali koło Agrigento na Sycylii. Więc sprawdziłem, jak się mają sprawy z innym arcyzbrodniarzem, Wielkim Sternikiem Mao. Włosi wielbią go dwiema ulicami na Sycylii w Palma di Montechiaro i Valli del Pasubio. Mało tego! Nikita Chruszczow upamiętniony został ulicami w Neapolu i Pozzuolo.

Wdzięczna pamięć o komunizmie w Italii ma się świetnie. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Konferencja
Polsko-Węgierski
Opór Wobec
Komunizmu
1920-1956

2021 –
Rok Jánosa
Esterházy'ego –
Bohater, który łączy
i jego ślady
na Podkarpaciu

Promocja wiedzy na
temat Węgier
poprzez
prowadzenie portalu
Magyazyn.pl
oraz organizacja
konkursu na artykuły
o tematyce
polsko-węgierskiej

Dzień Węgierski
w Wieprzu

Wspólnie świętujemy
niepodległość! –
Koncerty kameralne
ArtMusicArtist
na Węgrzech

Tańce węgierskie
w Chacie Numinosum
2021

A kuku,
tutaj Węgry! –
seria 3 kreatywnych
zeszytów edukacyjnych
o Węgrzech
dla polskich dzieci

Węgierskie
Miejsca Pamięci
na terenie
Gminy Ulhówek –
historia
i teraźniejszość

Realizacja filmu
János Esterházy,
niewymazana historia

III Forum
Polska-Węgry

Projekt szkolny
Dorobek
prof. Wacława Felczaka
– perłą narodu
polskiego
i węgierskiego

Koncert
dla Omegi

Wykonanie
muralu
upamiętniającego
Powstanie Węgierskie
1956 roku
oraz polsko-
węgierską
solidarność
obywatelską
i społeczną
w 1956 roku
w Szczecinie

Polak Węgier
dwa bratanki
rozwijanie
wzajemnej
współpracy
Szkoły Podstawowej
Sióstr Niepokalanek
w Jarosławiu
oraz
Szkoły Podstawowej
im. Ferencza
Rakoczego w Emőd

X Szczecińskie
Dni Przyjaźni
Polsko-Węgierskiej

Napisanie scenariusza
Czarne Złoto Karpat

COMT COACHING
CLUB reprezentantem
Polski w meczu
upamiętniającym
100 lecie pojedynku
Węgry-Polska

Lubelskie
na Węgrzech –
kulturowe inspiracje
do podróżowania

Tydzień
przyjaźni polsko-
węgierskiej
w powiecie
tomaszowskim

Projekt dla młodzieży
Orawskie ścieżki
Wacława Felczaka

Platforma
do nauki języka
węgierskiego –
15 lekcji

Koncerty
Węgiersko-Polski
dialog muzyczny.
Zoltan Pad
i Cracow Singers

Polsko-węgierski
obóz językowy
na Orawie

Polak, Węgier –
ket jo barat.
Lubelskie
bliskie Węgrom

VI Dni Węgierskie
na Białotęcie

Dofinansowania 2021.

Pamięć pozostaje:
przykłady przyjaźni
polsko-węgierskiej
na Warmii i Mazurach

Franciszek Liszt –
Polonika.
Nagranie płyty CD
w wykonaniu
Tomasza Kamieniaka



INSTYTUT
WSPÓŁPRACY
POLSKO-
WĘGIERSKIEJ

IM. WACŁAWA FELCZAKA

Ogłoszenie o konkursie otwartym

OMEGA

Koncertы Orkiestry
Kameralnej ERDŐDY
z utworami polskimi
i węgierskimi
na Węgrzech
i w Polsce

Mural w Poznaniu
Łączy nas przyjaźń
i solidarność:
Czerwiec
& Październik 1956

XV. Węgierska
Jesień Filmowa

Webinarium
Polish-Hungarian
Cooperation
for Energy Security
in the context
of Energy
Transition
and Economy
Competitiveness

na wnioski w sprawie finansowania lub dofinansowania przedsięwzięć podejmowanych na rzecz współpracy polsko-węgierskiej w 2022 roku

Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka – na podstawie § 2 ust. 2 pkt 2 Rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 14 listopada 2018 r. w sprawie finansowania lub dofinansowania przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka przedsięwzięć podejmowanych na rzecz współpracy polsko-węgierskiej (Dz. U. 2018 r., poz. 2168), ogłasza konkurs otwarty na przedsięwzięcia podejmowane na rzecz współpracy polsko-węgierskiej w 2022 roku na następujących warunkach:

1. Wnioski należy składać w trybie i na warunkach określonych w Regulaminie udzielania w trybie konkursu otwartego przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka finansowania lub dofinansowania na przedsięwzięcia podejmowane na rzecz współpracy polsko-węgierskiej.
2. Wniosek składa się elektronicznie za pośrednictwem generatora wniosków dostępnego od dnia zamieszczenia ogłoszenia o naborze pod adresem www.wnioski.kurier.plus.
3. Regulamin, o którym mowa w pkt 1, i wzory załączników udostępnione zostały na stronie Instytutu: <https://kurier.plus/node/3098>
4. Wniosek można złożyć na przedsięwzięcia realizowane nie wcześniej niż od dnia **15 lutego 2022 r.** i nie później niż do dnia **15 listopada 2022 r.**
5. Wnioski są przyjmowane w terminie do dnia **15 stycznia 2022 roku.**
6. Lista przedsięwzięć priorytetowych na stronie www.kurier.plus



POWSTANIE WIELKOPOLSKIE NARESZCIE DOCENIONE

27 grudnia 1918 r. wybuchło powstanie wielkopolskie. Trwający dwa miesiące zryw niepodległościowy zakończył się polskim zwycięstwem. To dzięki niemu Wielkopolska znalazła się w granicach II Rzeczypospolitej po odzyskaniu niepodległości. Przez wiele dekad triumf ten był jednak marginalizowany. W 2021 r., w 103. rocznicę wybuchu tego niepodległościowego zrywu, po raz pierwszy obchodzone było święto Narodowego Dnia Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego.

Tego dnia w Poznaniu i wielu innych miastach Wielkopolski odbyły się oficjalne uroczystości, a także koncerty, wystawy i prezentacje, podczas których historycy przypominali, że wielkopolski zryw z grudnia 1918 r. to jedyne w pełni zwycięskie powstanie w historii Polski.

Formalnie zwycięstwo dzielnych powstańców, którzy zwyciężyli w walce z liczniejszymi oddziałami wroga, przypieczętował najpierw pokój w Trewirze z 16 lutego 1919 r.,

a następnie podpisany 28 czerwca 1919 r. traktat wersalski. Doświadczeni w walce z Niemcami żołnierze śmiało stawiali później czoła bolszewikom. Zdobyte na podpoznańskiej Ławicy niemieckie samoloty stanowiły zaś początek polskiego lotnictwa.

Potomkowie powstańców, dziękując za ustanowienie nowego święta państwowego, jednocześnie zaapelowali do rządu o rozpoczęcie budowy nowego muzeum, upamiętniającego zwycięski zryw Wielkopolan. (jap) ©



Przełom starego i nowego roku to – jak zawsze – czas podsumowań. A więc jak co roku przyglądamy się, co najbardziej wstrząsnęło show-biznesowymi salonami, o kim pisaliśmy tu najczęściej, z czego śmialiśmy się najgłośniej i którzy celebryci popisali się najmocniej. Wybór będzie trudny, bo konkurencja duża. Ogromna. I oby za rok było podobnie, czego sobie i Państwu życzymy!

BEZ KOLEJKI

Rok 2021 przywitał nas skandalem z Krystyną Jandą i szczepionkami w roli głównej. Chodziło o to, że pani Krystyna wraz ze znajomymi gwiazdami i celebrytami zaszczepiła się w terminie, gdy szczepieni mogli być wyłącznie lekarze i inni pracownicy służby zdrowia. Czyli wepchnęła się w kolejkę. Tłumaczyła potem, że to taka akcja promocyjna, a w ogóle to te szczepionki by się zmarnowały. Wyszło mało przekonująco, niesmak był ogromny. Mimo to – a może właśnie dlatego – gruchnęła wieść, że dyrektor programowy TVN Edward Miszczak szuka roli dla Jandy i poprosił już nawet scenarzystów, by napisali pod nią serial. Ponoć poprosił tylko, jak donosił Pudelek, by nie mówić o tych planach, bo nie chce, by jego propozycję odebrano jako formę pomocy dla Jandy, która po sprawie szczepień znalazła się w ogniu krytyki. Niepotrzebnie się tak zamartwiał. Jandzie nic już chyba nie jest w stanie zaszkodzić bardziej. Nawet rola w serialu TVN.

LEPIEJ NIE MYŚLEĆ

Agnieszka Kaczorowska, znana szerzej jako Bożenka z „Klanu”, w minionym roku zaliczyła największy hit swojego celebryckiego życia. Po tym, jak publicznie skrytykowała panującą, jej zdaniem, nie tylko w show-biznesie modę na brzydotę, nic już nie było takie samo. Posypały się na nią gromy, ale ona twardo broniła swojego zdania. W pewnym momencie w ramach promocji piękna pokazała nawet, jak wyglądają jej brzuch i figura cztery miesiące po urodzeniu drugiego dziecka. Okazało się, że wyglądają bardzo ładnie, bo gdyby było inaczej, to niczego by przecież nie pokazała. W każdym razie, zbierając pochwały, zdradziła, że kluczem do sukcesu jest – uwaga, bo to bardzo odkrywcze i oryginalne – samoakceptacja! – Czy moje ciało jest idealne? Jasne, że nie. Jest jednak wyjątkowe, bo jest MOJE – stwierdziła. – Może Was zaskoczę, ale moim zdaniem nie warto o tym za wiele myśleć – zdradziła na koniec. W ogóle nie warto za wiele myśleć. Co Bożenka praktykuje niestrudzenie. I z sukcesami!



FOT. PAMEŁ GROMIŁA

PIĘKNA NIE DO POZNANIA

Celebrytka Blanka Lipińska, ta od powieści erotycznej, na podstawie której nakręcono najgorszy film wszech czasów, spędziła rok na podtrzymywaniu sobą zainteresowania. Co nie było łatwe, bo rozstała się ze swoim chłopakiem i teraz nie bardzo ma o czym opowiadać na Instagramie. Pewnego razu z braku laku pochwaliła się więc, że była u pani makijażystki, która tak ją upiększyła, że nawet ona sama siebie nie poznała. – Madzia jest jedyną osobą, która jest w stanie mnie pomalować tak, że sama siebie

nie poznaję. Po prostu wreszcie jestem ładna, no umówmy się – wyznała Blanka. – Uwielbiam tak wyglądać, bo nie wyglądam jak ja – przyznała jeszcze. Pewnie po cichu liczyła na to, że fani i fanki ruszą z zapewnieniami, że na co dzień Blanka też jest piękna. Cóż. Nie ruszyli. Przykra sprawa w sumie.

PERFEKCYJNA EDUKACJA

Newsów i dram z udziałem Małgorzaty Rozenek-Majdan i jej celebryckiej rodziny było tyle, że trudno było się zdecydować, co wybrać. W końcu stwierdziliśmy, że najbardziej rozzuchliła nas informacja, że Perfekcyjna Małgorzata rozważa powrót do edukacji, bo chciałaby obronić doktorat. – Cały czas o tym myślę. Jestem przekonana, że tak będzie. Niektórzy seniorzy idą na uniwersytet trzeciego wieku, a ja mam taki plan, że na mojej zawodowej emeryturze będę chciała wrócić do tego, żeby to zrobić – zapowiedziała w „Fakcie”. I dodała, że mąż będzie ją wspierał. – Radosław jest facetem, który niesłuchanie buduje mnie jako kobietę i [...] zawsze wspiera mnie we wszystkim – stwierdziła. My też nieustannie wspieramy panią Małgorzatę w pomyśle na dalszą edukację. Co nie znaczy, że wierzymy w jej skuteczność.

KOSMICZNE OPowieści

Nie da się w tym zestawieniu pominąć Edzi Górniak. No nie da się. To, ile głupot nawygadywała na temat pandemii w tym roku, przekracza każdą skalę. Udowadniała, że to spisek, że chęć przejęcia kontroli nad światem (przez kogo, nie wiadomo) i że w szpitalach leżą statyści (miała dowody, ale nie pokazała). Największym hitem jednak okazało się jej wyznanie, że ma nie tylko przecucie, lecz także wiedzę o tym, że istnieje życie pozaziemskie. – Zawsze czułam, ale nie miałam jakby wiedzy na ten temat, teraz zgłębiłam tę wiedzę i absolutnie nie mam wątpliwości, że w naszej przestrzeni galaktycznej są również cywilizacje wyższe, bardziej rozwinięte od nas, i takie, które chcą nas wspierać i bardzo kochają ludzi, i są gotowe pomóc. I też inne, które może nie do końca kochają ludzi – stwierdziła. – Na każdej planecie istnieje życie. Jest to wiedza znana od bardzo dawna, ale chroniona, ukrywana bardzo, bardzo, bardzo szczególnie przez przynajmniej 40 lat, głównie przez głowy państw – ujawniła. No proszę, głowy państw ukrywały prawdę przez 40 lat, a wystarczyła jedna tęga głowa Edzi, by to wszystko zdemaskować! Na koniec okaże się, że sama jest kosmitką. I w to akurat uwierzmy najszybciej! ©©



Zmieniamy oblicze chorób genetycznych

Novartis zmienia kształt medycyny,
aby poprawić jakość życia ludzi
z rzadkimi chorobami genetycznymi.

Wykorzystując najnowocześniejsze
technologie, pracujemy nad
przekształceniem obiecujących terapii
genowych w sprawdzone metody leczenia.

 **NOVARTIS** | Reimagining Medicine



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

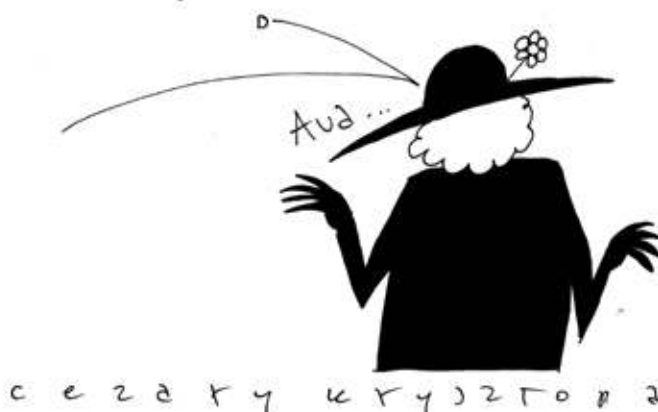
Kochani, a pamiętacie, jak Braun powiedział Niedzielskiemu: „Będziesz pan wisiał”?

Ale to było, nie? Zero klasy, brunatna, tzn. brutalna dosłowność, bez suspensu, jak osobokrowie na rowie. Pamiętacie, jak wszyscy byli oburzeni, słusznie!, językiem nienawiści?

A tymczasem Donald Tusk dedykuje panu Dudzie wiersz Miłosza i słowa: „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy. I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta”. Klasa! Kochamy taki brak dosłowności, żeby wiecie – posiedzieć i się pozastanawiać, o co tu chodziło, jak to interpretować, co poeta i premier Tusk mieli na myśli. I jednocześnie bez pogroźek, wulgarności, straszenia. A poza tym widzimy, iż mamy do czynienia z czytelną, poważną osobą stanu, a nie z jakimś tam fasholem. Teraz musimy przysiąc, wczytać się, spróbować zrozumieć, o czym w ogóle mowa.

Dochodzą nas słuchy, iż nie każdemu z Was mógł się podobać drugi sezon Netflixowego „Wiedźmina”. Kochani, czyżbyście mieli coś przeciwko różnorodności, miąższości fabularnej, kiepskim scenariuszom, słabo napisanym postaciom, niezrozumiałym zachowaniom bohaterów, pustce emocjonalnej czy swobodzie twórczej?

Kaczki rzucają chleb
Krzyszcie Jandzie...



No słuchajcie, na Zachodzie wszystkim, dosłownie wszystkim ten serial się podoba, więc nie wypada nam teraz urządzić jakichś scen oraz pokazów i manifestować, jak to się ten „Wiedźmin” nie podoba. Dlatego jeśli komuś przyjdzie do głowy jakaś krytyka, to niech się zastanowi raz jeszcze, czy na Zachodzie też tak się myśli. No, myśli się tak? No właśnie.

Tak się rozglądamy po Europie i nie dowierzamy. Rządy, jako dysponenci życia i zdrowia SWOICH obywateli, w wielu różnych krajach wprowadzają lockdowny. A w tym kraju co? Jak w lesie, i to ciągle otwartym.

Na Zachodzie jest już tak progresywnie i odważnie, iż lockdowny dotyczą nawet zaszczepionych, a członkowie tych wysoce świadomych społeczeństw, będący przykładowymi obywatelami, dobrze rozumieją, iż nie ma wyboru: trzeba przyjąć każdą kolejną dawkę i cieszyć się na możliwość wyjścia po bułki za okazaniem Super Strong Extra Ultimate Green Pass.

Dotyczy to nawet krajów takich jak Holandia, gdzie w pełni zaszczepionych jest ponad 80 proc. dorosłych obywateli.

A w tym kraju co? Niezaszczepieni mogą wychodzić po bułki bez specjalnych uprawnień, mogą ich kupić, ile chcą, a zjeść na ulicy – iż nie

ma obowiązku noszenia maseczki na otwartych przestrzeniach. Ba, mogą nawet pójść na protest w obronie TVN, ale o tym kiedy indziej, iż czujemy dziwny dysonans.

A tak na koniec, iżby było optymistycznie: jeszcze tylko sylwestrowy koncert z udziałem Zenka Martyniuka i nareszcie można będzie zapomnieć o 2021 r. A w 2022 r. to już wiadomo: ostatnia prosta i wracamy do normalności! xD ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Podatek inflacyjny

Iza, ja czegoś nie rozumiem. O co ci chodziło, jak na Radzie Krajowej naszej mówiłaś, że zainwestujemy w zdrowie z podatku inflacyjnego? Ale Donek, przecież sam mi wtedy biłeś brawo.

Biłem, bo ludzie patrzyli, ale teraz mi wytłumacz. Bo mnie kto może o to zaczepić.
No... Jest inflacja, co nie?

Jest.
A jak jest inflacja, to więcej wydajesz, tak? No to podatku też więcej płacisz. VAT głównie.

No niby tak, ale przecież też pieniądze są mniej warte. Więc ta niby-inwestycja w zdrowie będzie mniej warta. Niż co?

Właśnie sam nie wiem. Ale czekaj, przecież ty mówiłaś, że mamy walczyć z inflacją.
No mówiłam.

Ale jak walczyć, kiedy mamy z tej inflacji coś finansować? Ty, jak można coś finansować z inflacji? Oj, czekaj, bo mnie już głowa rozboleła. Tabletkę muszę wziąć. A w ogóle to są takie liczby, które wynikają z różnych takich działań. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Skapitulowali przed pandemią i drożyzną, ale idą na wojnę z wolnymi mediami”.

DONALD TUSK, były premier, szef PO, na Twitterze o rządzie Zjednoczonej Prawicy

Co będzie w nowym roku? My już wiemy! Co ma być, to będzie! A jeśli ma nie być, to raczej nie będzie. I zaopatrzeni w tę optymistyczno-pesymistyczną wiedzę możemy przejść do składania szczegółowych życzeń na nowy rok 2022.

PREZYDENTOWI ANDRZEJOWI SEBASTIANOWI życzymy, żeby mu ręka nie zadrżała. Jak będzie podpisywał. I chodzi nie tylko o tzw. lex TVN.

PREZESOWI JAROSŁAWOWI KACZYŃSKIEMU życzymy, żeby nie trzeba było się w nadchodzącym roku nagle i pośpiesznie przygotowywać do przedterminowych wyborów parlamentarnych, gdyż planujemy odpoczywać zarówno na wiosnę, jak i jesienią.

SZEREGOWEMU WICEPREMIEROWI PIS JAROSŁAWOWI KACZYŃSKIEMU życzymy udanej reformy partii i okręgów. Bo niby wszyscy zapomnieli, a my pamiętamy. I nie możemy się doczekać.

DONALDOWI TUSKOWI życzymy wytrwałości i powodzenia w lekturze poezji, zwłaszcza Czesława Miłosza. Gdyż jesteśmy pewni, że cytat o gałęzi i sznurze to jedyny, jaki zna z twórczości polskiego noblisty.

SZYMONOWI HOŁOWNI życzymy wytrwałości i powodzenia w robieniu dalej tego, co dotąd robił. Gdyż to, co dotąd robi, nie przynosi w sumie żadnego skutku, co akurat dla Polski nie jest najgorszym rozwiązaniem.

WŁODZIMIERZOWI CZARZASTEMU I ROBERTOWI BIEDRONIOWI życzymy, żeby lewica poszła do wyborów na dowolnej liczbie list i żeby każda z tych list zdobyła nie więcej niż 4,9 proc. głosów.

WŁOSKIM KARABINIEROM życzymy powodzenia podczas łowów na Romana Giertycha, kiedy już zostanie wystawiony za nim międzynarodowy list gończy. Nie zapomnijcie wezwać l'ambulanza, Romano bardzo lubi teatralne wyjścia na noszach.

WSZYSTKIM NARZEKAJĄCYM NA DROŻYZNĘ życzymy obniżek cen i podwyżek pensji, a nie odwrotnie. A Eine Totalopposition przypominamy, że jej rządy kosztowały Polskę osiem lat dryfu cywilizacyjnego. Czyli wyszło dużo drożej niż obecna inflacja.



WŁADYSŁAWOWI TYGRYSOWI-KAMYSZOWI życzymy, żeby skutecznie bronił się przed kontratakami Waldka Pawlaka, który jest jak prawdziwy przyczajony tygrys, ukryty smok (zauważcie, że nawet kolor pasuje – smoki są wszak zielone).

WALDEMAROWI PAWLAKOWI życzymy, żeby skutecznie atakował Władka Tygrysa-Kamysza, gdyż niczego tak nie lubimy jak porządnych partyjnych nawalek, no i poza tym już kupiliśmy popcorn.

ADAMOWI BIELANOWI życzymy udanego poszerzenia większości parlamentarnej za pomocą materiałów wysokiej jakości. Dotąd z jakością bywało bowiem różnie.

WSZYSTKIM DAWNYM KOLEGOM Z EINE TOTALOPPOSITION, nadającym obecnie w województwie lubuskim na Łukasza Mejzę, życzymy rychłej kontroli skarbowej. Tak się bowiem składa, że wiemy, iż z kilkudziesięciu baniek, o które się rozchodzi, Mejza dysponował ledwie drobnymi tysiączkami. A reszta, cóż, powędrowała do ludzi ani trochę niezwiązanych z PiS.

FRANCISZKOWI STERCZEWSKIEMU życzymy wielu udanych sesji treningowych z trenerem personalnym na bieżni w siłowni. Bo to wstyd, żeby młody silny chłop z taką łatwością dawał się dogonić, kiedy biega wzdłuż granicy z reklamówką.

GRZEGORZOWI SKORPIONOWI SCHETYŃE życzymy, żeby świat jeszcze kiedyś o nim usłyszał, na co się w sumie na razie nie zanosi.

KRYSTYŃIE JANDZIE życzymy, żeby ją omijały awarie prądu, bo obawiamy się, że jej się lodówka rozmrozi i zostanie, biedna, bez chleba.

RADKOWI SKNERUSOWI SIKORSKIEMU życzymy, żeby wreszcie dostał zajęcie godne jego błyskotliwych intelektualnych możliwości i szerokich europejskich horyzontów. To znaczy, żeby poprowadził „Szkoło kontaktowe”.

JANUSZOWI KOWALSKIEMU życzymy udanego referendum. Jeszcze nie wiemy jakiego, może zorganizuje sobie jakieś w domu, na przykład na temat „Czy bliższa i dalsza rodzina chce nadal równie często oglądać Jasia w telewizji?”.

ZBIGNIEWOWI ZIOBRZE życzymy mniej Janusza Kowalskiego.

EUROPOSŁOM EINE TOTALOPPOSITION życzymy, by w walce z Nord Stream 2 wykazali choć połowę tego zaangażowania, z którym kiedyś zwalczali budowę Via Carpatia.

WSZYSTKIM W PARLAMENCIE EUROPEJSKIM życzymy – uwaga, mówimy to głośno i wyraźnie – wesółych świąt BOŻEGO NARODZENIA. Robimy to już teraz, na zapas, to znaczy na winter season holiday break 2022. Bo skoro zakazano tam składania życzeń w tym roku, to za rok będzie jeszcze gorzej.

ZARZĄDOWI AGORY życzymy udanej i owocnej walki o zachowanie ładu korporacyjnego w firmie. Gdyż nie po to tyle lat walczyliśmy o wolną Polskę, żeby teraz panował jakiś beład albo – co gorsza – nieład.

CZYTELNIKOM NASZEJ RUBRYKI ŻYCZYMY również bystrego umysłu jak ten, którym wykazał się podpisany po prostu jako „Czytelnik z Podkarpacia”. W e-mailu do redakcji zwraca nam uwagę, że nie możemy, wysyłając Hołownię na drzewo (bez sznura, szanowni państwo, bez sznura), wysłać go na bambus. Gdyż bambus to nie drzewo, tylko trawa. Zgadza się z Czytelnikiem. Inna sprawa, że wszystko pasuje, bo mowa Szymona to mowa-trawa. ©



Unia Europejska potrzebuje moralnej i funkcjonalnej odnowy

Rozmowa z europosłanką Elżbietą Kruk

Pani poseł, jesteśmy w połowie kadencji Parlamentu Europejskiego. Jak pani ocenia jego funkcjonowanie?

Nie będę oryginalna, gdy powiem, że bardzo źle. Błąd wpisany jest już w traktaty, gdzie odchodzi się od trójpodziału władz, w którym poszczególne rodzaje władz nawzajem się kontrolują. Parlament nie ma inicjatywy ustawodawczej. Posiada ją natomiast Komisja Europejska, nie wybierana władza wykonawcza, bez legitymacji demokratycznej i społecznej odpowiedzialności.

Stworzono więc taki potworek, dziś służący już tylko do szerzenia szkodliwej ideologii post-marksistowskiej. Parlament jest jednocześnie zasłoną dymną dla braku demokracji w Unii i dowodem, że niebezpieczny zamysł federalizacji Europy leżał już u zarania tworzenia wspólnoty. Dziś

zamysł ten powrócił z całą siłą, a integracja Europy zmieniła się w dekonstrukcję jej dziedzictwa, a nawet naszej cywilizacji.

O Polsce w Parlamencie Europejskim mówi się przede wszystkim w kontekście tzw. praworządności. Odbývają się debaty, w których nasz kraj poddawany jest ocenom, polskie władze są krytykowane i pouczone. Pani poseł, czemu tak naprawdę mają służyć te działania?

Niestety, jesteśmy świadkami smutnego spektaklu, którego autorami są tzw. elity europejskie. Problem polega na tym, że Komisja Europejska na siłę tworzy własny system wartości Unii Europejskiej tożsamy z ideologią lewicowo-liberalną. Uzurpuje sobie prawo do wywierania wpływu na coraz to nowe obszary, bez umocowania w traktatach. Każdy, kto inaczej myśli, jest krytykowany i tego doświadczamy podczas debat dotyczących Polski. Proszę mi wierzyć, że w tych dyskusjach nie chodzi o merytoryczny spór. Często daje się słyszeć argumenty, które

nie mają potwierdzenia w rzeczywistości, są zbiorem przekłamań i błędnych wyobrażeń o naszym kraju. Im mniejsza wiedza o Polsce, tym głośniejsza i bardziej agresywna krytyka.

Bruksela nie chce rozwiązywać żadnych problemów, wręcz przeciwnie – doprowadza do wewnętrznych kryzysów. W obecnej sytuacji jest to szczególnie niebezpieczne, kiedy mierzymy się z kolejnym kryzysem migracyjnym, tym razem wywoływanym przez reżim Łukaszenki pod patronatem Putina. Unia Europejska dzisiaj potrzebuje jedności, a nie stawiania pod pręgierzem kraju, który broni jej zewnętrznych granic.

Co może leżeć u podstaw takiego działania? Dlaczego liberalno-lewicowe frakcje tak bardzo angażują się w próby przypięcia Polsce łaski niepokornego członka unijnej wspólnoty?

To wynika z zasadniczego sporu o przyszłość Unii Europejskiej. Frakcja



Szczyt Warsaw Summit,
4 grudnia 2021 r.
FOT. PIS.ORG.PL

Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do której należy delegacja Prawa i Sprawiedliwości, chce demokratycznej wspólnoty suwerennych państw, o równych prawach. Sprzeciwiamy się federalistycznym zapędom, o których za sprawą nowego niemieckiego rządu, który – zdaje się – zapowiada budowę IV Rzeszy, mówi się coraz głośniejsze.

Domagamy się ukrócenia nadmiernej biurokratyizacji unijnej, pozbawionej jakiegokolwiek demokratycznej kontroli.

Komisja Europejska jest dziś aroganckim, zideologizowanym organem, działającym ponad głowami wyborców, przywłaszczającym sobie coraz więcej kompetencji kosztem państw członkowskich, nie mając do tego umocowania w traktatach.

Mówimy o tym wprost i taki głos z pewnością nie podoba się tym, którzy przez lata w unijnych strukturach zorganizowali sobie sposób na wygodne, dostatnie życie, budując sieć finansowych zależności i wpływów. Nasza postawa budzi opór tych środowisk, ale już dziś widzimy, że coraz to nowe afery brukselskich elit wychodzą na światło dzienne.

Nawiązując pani zapewne do ostatnich doniesień francuskiego dziennika „Libération”, który w serii artykułów z dziennikarskiego śledztwa ujawnił handel wpływami i inne nieuczciwe praktyki, których mieli dopuszczać się sędziowie Trybunału Sprawie-

dliwości Unii Europejskiej (TSUE), urzędnicy Komisji Europejskiej (KE) oraz politycy Europejskiej Partii Ludowej (EPL).

Proszę zwrócić uwagę, że w tej sprawie nie zwołuje się debaty. Zapadła niezręczna cisza i nikt nie kwapi się do wyjaśnień. Jeśli jednak te doniesienia się potwierdzą, to mamy do czynienia z ogromną aferą, która powinna wstrząsnąć unijnymi salonami. Jeśli ci, którym z ust nie schodzi praworządność, łącznie z sędziami TSUE, byli zamieszani w korupcyjny proceder i lobbingsowe praktyki, to tylko potwierdzi naszą diagnozę.

Unia Europejska potrzebuje moralnej i funkcjonalnej odnowy. Potrzebuje kulturowego odrodzenia. Dziś to już nie jest unia gospodarcza, a polityczna, realizująca projekty multikulturalizmu i lewicowej poprawności politycznej. Od Europejczyków oczekuje się natomiast, by wyparli się samych siebie, europejskiej kultury, tradycji i religii. Aby uzasadnić ten ideowy projekt, pisze się nawet historię Europy na nowo. Jeśli ktoś w to wątpi, to zapraszamy do Domu Historii Europejskiej w Brukseli.

4 grudnia odbyło się w Warszawie spotkanie liderów europejskich partii konserwatywnych Warsaw Summit. W jakim celu Prawo i Sprawiedliwość zorganizowało to wydarzenie?

Sytuacja wymaga tego, aby w obliczu dryfu donikąd, który funduje nam obecna

lewicowa większość, budować sensowną alternatywę.

Unia Europejska w swej istocie powinna być instytucją międzynarodową, a nie ponadnarodową. Trzeba zacieśnić współpracę między ugrupowaniami, które mają poglądy konserwatywne, chcą Europy państw suwerennych, państw narodowych. Takie dążenia zaczynają być coraz bardziej oczekiwane przez społeczeństwa europejskie. Odpowiedzią na to jest mobilizacja środowisk politycznych, które w ten sposób widzą przyszłość Europy. Warsaw Summit to dobry krok, aby skoordynować działania i skutecznie odpowiedzieć na próby federalizacji wspólnoty. Na antynarodową manipulację i rozbijanie wspólnot poprzez napuszczanie ludzi na siebie – czarnych na białych, homo na hetero, szczepionych na niezaszczepionych – i tym samym wzniecanie nienawiści, z którą się niby walczy.

Kolejnym wyzwaniem zdaje się być Zielony Ład, transformacja energetyczna forsowana obecnie przez Komisję Europejską.

Realizacja polityki klimatycznej Komisji Europejskiej wymaga przeprowadzenia rzetelnych analiz, które pozwolą odpowiedzieć na wiążące się z nią pytania. Ile realnie będzie kosztować transformacja energetyczna? Jakie będą skutki społeczne i gospodarcze tego procesu? Co tak naprawdę będzie oznaczała dla ludzi? Czy nie będzie to przede wszystkim ogromny wzrost cen energii dla gospodarstw domowych w krajach Unii Europejskiej?

Już dziś mamy do czynienia z ogromnymi podwyżkami cen gazu. Gaz nie od dziś jest narzędziem nacisku politycznego Rosji. To smutna satysfakcja, że słusznie ostrzegaliśmy przed Nord Stream 2.

Do tego system handlu uprawnieniami do emisji CO₂ – ETS – nie spełnił zakładanych w nim pierwotnie oczekiwań i wymaga pilnych reform lub likwidacji. Spekulacyjna konstrukcja ETS prowadzi bowiem do bezprecedensowych wzrostów cen energii, co stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa energetycznego nie tylko Polski, lecz także całej Unii Europejskiej.

Odejdźmy od unijnej, ideologicznej polityki klimatycznej, by nie doprowadzić do katastrofy, do autodestrukcji Europy.



**EUROPEJSCY
KONSERWATYŚCI
I REFORMATORZY**



Kiedy się zamknie oczy i przypomni sobie np. 2019 r., to jasne, że ktoś, kto wtedy prorokowałby naszą dzisiejszą rzeczywistość, znalazłby się natychmiast w psychiatriku. Myśmy się do tego przyzwyczaili, bo ludzki umysł, by nie zwariować, jest w stanie uznać największy odjazd za normę, ale warunek jest jeden – wielki, przemożny, wszechobecny bodziec. W tym wypadku jest nim strach. Bo przecież pomiędzy – powiedzmy – 2019 a 2021 rokiem mieliśmy jedną różnicę (pomijając nie tak duże, okazuje się, różnice epidemiologiczne). Był nią powszechny strach, że zachorujemy my albo nasi najbliżsi, wirus jest podstępny, nie wiemy do końca (zwłaszcza na początku pandemii), jak działa, a więc trzeba zawierzyć tym, którzy się znają (eksperci), oraz tym, którzy takie przekazy wzmacniają – czyli mediom. A więc trzeba się chronić, i to w zmiennym rytmie nowych rewelacji covidowych, których nie szczędziły widowni obie

Strach ma wielką przyszłość



Jerzy Karwelis

Gdy piszę swój „Dziennik zarazy”, coraz częściej napotykam absurdy rzeczywistości pandemicznej, a jednocześnie widzę, że może nie rośnie, ale krzepnie grupa osób, które to akceptują. Jedynym wytłumaczeniem tej sytuacji jest powszechny, zniewalający strach, który zdominował całą grupę społeczne



wymienione grupy, źródła pandemicznego strachu.

ŹRÓDŁA STRACHU

Jako się rzekło, mamy co najmniej dwa strumyki, a właściwie wielkie rzeki strachu. Pierwsza to eksperci. Kto przedtem w ogóle wiedział, że gdzieś tam siedzą sobie jacyś wirusolodzy, zakaźnicy czy epidemiolodzy? No to teraz mają swoje nie pięć minut, ale parę ładnych lat. Właściwie taka Rada Medyczna (sądząc po decyzjach i wypowiedziach jej członków) jest rządem sanitarnym, który podejmuje z dnia na dzień decyzje stanowiące o losach większości rodzin i interesów w Polsce. Gdy się jednak człowiek przyjrzy, jak to było na początku, to śpiewali oni z innej nutki: dzisiejsze wirusologiczne jastrzębie, np. profesorowie Simon, Gut czy Szymański, wyśmiewali dziennikarzy, że panikują i szukają sensacji, szydzili z масечек i wszystkiego tego, co dzisiaj mają na swoich sztandarach. Dziś, jakby chcieli odpokutować

swoje wtedy stanowisko, nadrabiają sanitarnym ekstremizmem.

To wszystko podchwytują media. To fenomen, bo do tej pory zajmowały się błogostanem konsumpcjonizmu, miało więc być łatwo i przyjemnie, a przede wszystkim bezpiecznie, bo, jak uczy doświadczenie, umierają tylko inni. Okazało się, że strach jest równie dobrym, jeśli nie lepszym towarem do codziennego sączenia. Dlatego, że strach sprowadzony do instynktu samozachowawczego jest w gruncie rzeczy uniwersalną narracją, nawet bez większych różnic kulturowych. Nie trzeba więc bawić się w dotychczasowe subtelności, trzeba tylko walić prosto z mostu. Codzienne serwisy zaczynamy od dynamiki zgonów z respiratorowanymi umierającymi w tle. A jako że media konkurują o klienta, to nakręca się szybko w górę spirala gry pt. „Kto postraszy bardziej”. W dodatku takie narracje są suto sponsorowane przez państwo, które widzi w wywołaniu paniki na skalę populacji remedium

na wirusa: przestraszą się, „zostaną w domu” i będziemy mieli koniec z pandemią. Pamiętają państwo te obietnice tłumaczące konieczność lockdownów na dwa-trzy tygodnie kwarantann narodowych? I co? I nic – pozostał z tego tylko jeszcze większy strach, bo te środki nie zadziałały. Jedynie ich nieskuteczność dodatkowo wzmogła obawy – bójmy się, bo nic nie działa.

Jak daleko w tym zaszliśmy, można było zauważyć... w trakcie konfliktu na granicy polsko-białoruskiej. Wtedy na góra dwa-trzy dni zniknął (z czołówek) temat covidowy. I, ku zdziwieniu społecznemu i mimo przecież ciężkiego tematu agresji na granicę, powiało świeżością. Media przestały na chwilę męczyć tymi statystykami i kasandrami epidemii. I już się zrobiło (na chwilę) luźniej w głowach. Ale temat wrócił, jako uniwersalny klucz do społecznych emocji. Granica dzieliła odbiorców, strach przed COVID był ponad podziałami.

NA DWA SPOSOBY

W końcu strach stał się elementem wyłączającym rozum podwójnie. Po pierwsze – jak pisałem wyżej – dlatego, że tak działa ludzka dusza: ma pewne priorytety, w których, rzecz jasna, instynkt przetrwania nie zajmuje wcale последнего miejsca. Drugi powód strachu polega na tym, że odwołanie się do niego zwalnia z czasem gorzkiej konstatacji, że człowiek dał się zrobić w konia. No bo jak tu sobie przypomnieć, że przecież np. obiecywano tylko dwie dawki szczepień, „ostatnią prostą”, po której mieliśmy wrócić do „nowej normalności”? A co dostaliśmy? Kwarantanny i testy dla zaszczepionych, pełzające lockdowny w firmach i szkołach.

Żeby się nie męczyć z tym dysonansem poznawczym, trzeba się odwołać do czynnika niby zewnętrznego i niby obiektywnego, czyli powszechnego strachu. Tylko on może pomóc wyjść z tego zaułka. A więc trzeba się pompować strawą strachu codziennie serwowaną w mediach: statystykami, filmami z ledwo dyszącymi i Omikronem, który za chwilę opanuje cały świat (a gdzie jest Delta, się pytam?). A więc niektórzy się uzależniają od strachu, bo on dostarcza ciągłego uzasadnienia absurdów dnia codziennego.

To on każe godzić się z najoczywistszymi odjazdami, do których przywykliśmy: że trzeba być zdrowym, by dostać

■ się do lekarza; że się nie leczy, tylko szczepi; że wirus atakuje w restauracji, a nie w tramwaju, i że zamknęliśmy lasy, a w Austrii nosi się maseczki nawet we własnym mieszkaniu.

WYJĄTKOWOŚĆ STRACHU COVIDOWEGO

No dobrze, wiadomo, czasy i tak były ciężkie, ludzkość i przed COVID miała sporo powodów do zbiorowego stresu. To prawda. Ale był jakiś płodozmian, raz walnęło tu, potem przeskakowano gdzieś indziej, bo tam się gdzieś z kolei spaliło. A tu mamy jeden temat, a jak się skacze po globusie, to tylko tam, gdzie są ogniska nowych mutacji tego samego wirusa. (Ja sobie kiedyś odtworzyłem te skoki na globusie, szlakiem greckiego alfabetu, i wyszły mi... ruchy konika szachowego). Skoro więc mamy jeden przemożny temat stresu i strachu, to jak ludzkość może zareagować w takiej sytuacji, w dodatku przy tak długiej ekspozycji na czynnik panikarski? To nowe doświadczenie, nie da się ukryć. Literatura milczy na ten temat z powodów oczywistych. A więc trzeba się było udać do teorii i przemnożyć to przez skalę ludzkości. Przede wszystkim jednostkowo człowiek reaguje na ciągły stres i strach dwojako: prowadzi to do frustracji wywołującej agresję albo samoagresję. Chodzi o to, by pozbyć się jak najszybciej czynnika powodującego stres. Nie można, jak uczy nauka, walczyć jak z zagrożeniem: zaatakować (kogo?) albo uciec, bo strach jest w tobie i przed nim nie uciekniesz, bo będzie on zawsze z tobą, wzmacniany jedynie nieudanymi próbami pozbycia się go, w dodatku w środowisku, które wciąż cię wielowektorowo straszy.

Aby te teorie zweryfikować, trzeba się udać nie do prac, których jeszcze nie ma, ale do praktyków, czyli psychoterapeutów, którzy są na pierwszym froncie walki z covidowym strachem. Porozmawiałem i się dowiedziałem, jakie społeczne efekty przynosi permanentny strach, w którym przebywa ludzkość. Oczywiście reakcje są indywidualnie różne, ale dominuje jedna, ciekawa i jednocześnie ponura. Jest to ogólny strach przed przyszłością, już prawie wcale niezwiązany z samą pandemią. Ten strach wynika z nagłej i powszechnej konstatacji polegającej na obudzeniu się ze snu o własnej sprawczości. Przedcovidowa rzeczywistość tuliła obywatela kołysanką, że ma duży wpływ na swoje życie, że sam może

kształtować własny los, który ma w swoich rękach. I że to od jego aktywności zależy, czy będzie miał dobre, wygodne i... bezpieczne życie. Pandemia skasowała brutalnie takie postawy, sprowadzając je do naiwnych mrzonek.

Bo COVID zrównał wszystkich właśnie strachem i ludzie mieli nieciekawe przebudzenie. Stracili firmę z dnia na dzień, nie wiedzieli, jak tam dalej będzie z ich robotą, ze szkołą dzieciaków, z kasą na to wszystko. Te decyzje znalazły się nagle poza nimi. I okazało się, że są tylko pyłkiem, mierzwą wielkich sił, na które nie mają wpływu, nawet za pośrednictwem kartki wyborczej. Mamy więc do czynienia z przemianą strachu epidemiologicznego w strach egzystencjalny. I może nie wszyscy boimy się wirusa, nie wszyscy nosimy maseczki czy się szczepimy, ale przyszłości boimy się bardzo. Bardziej niż przed COVID. No bo i nie jesteśmy w stanie przewidzieć kierunków, w których podąży świat we wszystkich swoich wymiarach, ale na pewno wiemy jedno – nie będziemy mieli na to wpływu.

CO WYROŚNIE ZE SPANIKOWANEGO SPOŁECZEŃSTWA?

Długotrwałe przebudzowanie strachem prowadzi do deprawacji społecznej. Ludzie wycofują się z kontaktów, te wirtualnie, by w końcu skurczyć się do wymiarów bąbla najbliższych, których przecież też trzeba chronić, więc... ogranicza się kontakty, bo kolejna wersja koronawirusa może przeskoczyć szczepionkową tarczę dowolnej liczby dawek. Mamy więc powszechny wyrzut społecznej depresji, co najgorsze – koszący również najmłodszych. Stajemy się zamaskowanymi samotnikami, nasłuchującymi komunikatów: „Uwaga, nadchodzi”. Zastanawiałem się wspólnie z fachowcami nad tym, co wyrośnie na przyszłość z ludzkości totalnie przestraszonej, zwłaszcza że pałeczkę w sztafecie pokoleń przejmą młodzi, szczególnie zestresowani nagłym resetem obiecanego błogostanu.

Po pierwsze – patrząc na naszą zachodnią cywilizację, która wręcz odtwarza kolejne etapy wchodzenia w totalitaryzm – jeśli się ktoś boi, to dostaje łatwo bęcki od tego, kto się nie boi. A jest parę „cywilizacji alternatywnych”, które nie za bardzo boją się wirusa, i możemy stać się łatwo ich łupem. Po drugie – tak zestresowane strachem społeczności będą traciły swoje więzi, rozpadały się na odizolowane

od społecznej interakcji wysepki indywidualizmu. W dodatku sprowadzone jedynie do realizacji podstawowych potrzeb. Bo pandemia nauczyła ludzi nowej hierarchizacji potrzeb i, co naturalne w przypadku podstawowego instynktu samozachowawczego, sprowadziła je do podstawy przeżywalności: jedzenia, ciepła, odzieży. Po co myśleć o wakacjach, sztuce, pasjach, jeśli nie wiadomo, co będzie jutro? Możemy się odstresować i obkupić w gadżety, ale to tylko reakcja ucieczki od niepewności egzystencji w ułudę zapomnienia konsumpcji. Kim może być ludzkość bez więzi, z egoistycznymi priorytetami, wyzuta z wartości, które okazują się przy tej mizerii celów niepotrzebne? Nieciekawy to może być obraz, choć swoją wyjątkowością może to być fenomen elektryzujący socjologów. Ale czy w takim społeczeństwie w ogóle będą oni istnieć?

NEVERENDING STORY

Pamiętajmy, że inne strachy czekają w kolejce, aż się koronawirus wypali. Bo ludzie jakoś tam do niego przywykną, będą spuszczać w dół zakamarków swej duszy ten strach. Oswoją go. Ale tu, po kopernikańskim odkryciu mediów, że na strachu można zarobić, nie ma miejsca na niszowe bezstresowe. Na horyzoncie wstaje jak czarne słońce strach przed zmianami klimatycznymi. Też systematycznie sączony, z tym że wolniej, nie tak jak rakietą covidowa. Od wielu lat media i całe organizacje, większość celebrytów śpiewają jak ekologiczni świadkowie Jehowy smutną i straszną pieśń o samozagładzie klimatycznej ludzkości. Doszliśmy już do sklasyfikowania nowej jednostki chorobowej. Niedawno obieğa świat wiadomość o zdiagnozowaniu u 70-letniej Kanadyjki depresji klimatycznej.

Też nie ma przed nią ucieczki, bo choćbyś indywidualnie, tak jak za COVID, przestrzegał wszelkich reguł, to nic nie poradzisz. No, chyba że, jak w religii COVID-Zero, wszyscy będą się zachowywać porządnie, to wtedy wirus zniknie, matka Gaja zostanie ocalona (niepotrzebne skreślić) i nastanie upragniony nowy porządek, czyli raj. Cel wygląda na szczytny i w sumie łatwy w realizacji, trzeba już tylko przejść od łagodnej perswazji wobec niechętnych do etapu surowości.

Wygląda na to, że czekają nas czasy dyktatury postrachanych panikarzy.



*Niech Święta Rodzina
z Nowonarodzonym Dzieciątkiem dadzą nam
siłę w pokonywaniu trudów dnia
powszedniego, nadzieję na przyszły rok
i niezachwianą wiarę w drugiego człowieka.*

*Zdrowych i radosnych
Świąt Bożego Narodzenia
życzy*

Elżbieta Kruk

Posel do Parlamentu Europejskiego



EUROPEJSCY
KONSERWATYŚCI
I REFORMATORZY





FOT. SERGEY GUNEEV/SPUTNIK/EAST NEWS

Putin idzie na wojnę



Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli dojdzie do kryzysu na Pacyfiku, to Rosja jest już przygotowana, by to wykorzystać. Kto będzie celem?

Jeśli historia czegoś uczy, to tylko tego, że ludzie niczego się z niej nie uczą – słuszność tej starej zasady właśnie została potwierdzona, przynajmniej w odniesieniu do zachodnich polityków. To, co w mijającym roku zrobiły Stany Zjednoczone i Unia Europejska względem Rosji, do złudzenia przypomina „appeasement”, próbę politycznego „ułagodzenia” agresywności Hitlera sprzed 80 z górą lat. Wciąż można mieć nadzieję, że nie skończy się tak samo – ale bez wątplenia sukces Joe Bidena i Angeli Merkel w stworzeniu nowego systemu bezpieczeństwa w Europie jest równie

wiele wart, co „pokój naszych czasów”, którym chwalił się brytyjski premier Chamberlain po powrocie z Monachium.

Nie trzeba było nawet tak długo czekać. Przywódcy USA i Niemiec umowę – formalnie określającą warunki, pod którymi USA zgadzają się na dokończenie budowy gazociągu Nord Stream 2, a faktycznie ustanawiającą Niemcy namiestnikiem wycofującej się Ameryki na Europę oraz wschodnią granicę Polski jako linię rozgraniczenia niemieckiej i rosyjskiej strefy wpływu – podpisali w lipcu 2021 r.

Kilka tygodni potem satelicki wobec Kremla reżim Łukaszenki zaczął eskalować imigracyjny najazd na Litwę i Łotwę, a potem na Polskę. W narastającym zamieszaniu Rosja przesunęła swe wojska na granicę Ukrainy i zaczęła stopniowo zwiększać ich liczbę oraz nasycenie ciężką bronią, do stopnia wskazującego na zamiar zbrojnej inwazji.

Zachód rozwinął w odpowiedzi cały systemat argumentów, którymi wyjaśnia sobie samemu, że Putin nie odważy się

na tak brutalne naruszenie porządku międzynarodowego, a sama wspomniana wyżej umowa i polityczne koncesje wobec Rosji „wiążą ją” i właśnie oddalają prawdopodobieństwo konfliktu, służąc uniemożliwieniu Rosji wykorzystywania gazu z nordstreamów jako broni. Nie wdając się w szczegóły, uniemożliwianie polegać ma na tym, że oto pokazano Rosji perspektywę wielkich zysków, które utraci, jeśli nie przestanie eskalować żądań. Jakkolwiek w samej umowie nie ma żadnej klauzuli, która by przewidywała konkretne działania w takim wypadku.

ROSYJSKIE ULTIMATUM

Prezydent Rosji, w każdym razie, najwyraźniej się perspektywy utraty potencjalnych zysków z eksportu gazu nie przestraszył, bo w ostatnich dniach jego ministerstwo spraw zagranicznych ogłosiło publicznie ośmiopunktowe ultimatum. Kreml domaga się w nim zerwania przez NATO współpracy z Ukrainą i Gruzją, zobowiązania, że sojusz nie

będzie tworzył nowych baz na terenie byłych republik ZSRS, likwidacji – tak! – już istniejących baz w krajach byłego bloku sowieckiego i, generalnie, wycofania wojsk NATO na pozycje sprzed roku 1997, a także wycofania amerykańskiej broni jądrowej w granice USA.

Spełnienie tych warunków ma zdaniem Moskwy „umożliwić złagodzenie napięć na wschodniej flance NATO”. Co stanie się w wypadku ich niespełnienia, nie zapowiedziano, ale stwierdzenie, że w takim razie „państwa NATO będą odpowiedzialne za skutki”, każe rozumieć, że w takiej sytuacji „napięcia” będą narastać.

Strona amerykańska, wyraźnie skonfundowana ostentacją przedstawionych żądań, na razie zdobyła się tylko na zapewnienie – ustami rzecznik Białego Domu, Jennifer Psaki, a więc na dość niskim szczeblu – że USA nie będą prowadzić w sprawie rosyjskiego ultimatum żadnych rozmów bez udziału partnerów z NATO. Tymczasem Rosja wcale żadnych rozmów w tej sprawie nie proponuje, przeciwnie – wiceszef rosyjskiego MSZ Siergiej Rybakow oznajmił, że ich osiem punktów „to nie jest menu”, z którego Zachód może sobie coś wybrać, tylko „propozycja całościowa”.

Komentatorzy piszą o „powrocie do doktryny Breżniewa” oraz próbie „odbudowy imperium” i wydają się zachwalać Putina zdumieni. Ktokolwiek jednak ma zielone pojęcie o polityce Kremla, od zawsze polegającej na zasadzie: „Głaszcz, gdy cię kopią, kop, gdy głaszczą”, żadnego zdziwienia odczuwać nie może. Moskwa zabiera nogę z drzwi dopiero w ostatniej chwili, gdy Zachód je zatrzaskuje, i natychmiast wciska ją tam z powrotem, gdy drzwi trzymane są słabiej i pojawia się szansa, by je uchylić. Dziś po prostu ocenia stopień determinacji USA w utrzymywaniu mocarstwowej pozycji jako najniższy od czasów Cartera i jest zdecydowana wykorzystać słabość obecnego przywództwa oraz wewnętrzne problemy i napięcia tego kraju.

Nie trzeba przecież dostępu do tajnych danych, by widzieć to, co oczywiste. Administracja Bidena podjęła próbę „zwinięcia frontu”, oceniając, że obecnie Ameryka nie jest już takim mocarstwem, by jak kiedyś nadzorować sytuację na całym świecie, i musi skupić się na obszarach strategicznie najważniejszych – czyli przede wszystkim na Pacyfiku. Rozsądna idea została jednak zrealizowana w sposób fatalny. Próba wycofania

z Afganistanu wszystkich sił naraz, bez określenia porządku ewakuacji sprzętu i osób, skończyła się chaotyczną ucieczką i pozostawieniem talibom wielkich magazynów broni, a nawet gór pieniędzy, która pozbawiła USA szacunku i dotychczasowej siły odstraszenia. Zapalenie zielonego światła dla bismarckowskiej osi Berlin – Moskwa jako przyszłej podstawy stabilności w UE było mniej spektakularne, ale dla nas znacznie bardziej brzemienne w skutki. Co najdziwniejsze, administracja Bidena w obu wypadkach popełniła identyczny błąd. Podobnie jak w Afganistanie, gdzie z zupełnie niewiadomych powodów sądziła, że talibowie spokojnie poczekają w swych kryjówkach, aż US Army skończy proces ewakuacji, nie przeszkadzając w nim, także w wypadku Ukrainy założyła, że stopniowo będzie wycofywać się z Europy, a Rosja będzie się temu przyglądać, nie próbując od razu wcisnąć się w opuszczaną przez Amerykanów przestrzeń.

Może ktoś powiedzieć, że – jak to ujął Mark Twain – wiadomość o zmierzchu imperialnej potęgi USA jest przedwczesna. Rzecz jednak w tym, że decyzje podejmowane są na podstawie wyobrażeń o sytuacji, które nie zawsze muszą być trafne – świadczą o tym liczne przykłady z historii, choćby amerykańska wojna secesyjna, która by nie wybuchła, gdyby Południe było przekonane, że „bawelna jest królem” i bogate dzięki niej rolnicze stany południowe są większą potęgą niż Północ ze swoimi śmierzdzącymi fabrykami.

EKSPANSJA ZE SŁABOŚCI

Andrew Michta, analityk, którego opinie są zawsze bardzo dobrze uargumentowane, napisał ostatnio pesymistyczny artykuł dla „The Wall Street Journal”, w którym zwraca uwagę na jeszcze jedną historyczną prawidłowość: rządzone autorytarnie imperia często szukają rozwiązania wewnętrznych problemów w zewnętrznej ekspansji. Szczególnie imperia słabnące. I w tym sensie Rosja jest dziś szczególnie niebezpieczna, a stworzenie jej szans powodzenia próby odbudowania „zewnętrznego imperium” z czasów ZSRS może okazać się jednym z największych błędów, które popełnił Zachód od wielu lat.

Przywołuję ten artykuł także dlatego, że agresywne działania Putina wpisać trzeba w szerszy kontekst międzynarodowy. Nie bardzo to z polskiej perspektywy dostrzegamy (niewiele w ogóle dostrzegamy, zajęci pozornymi proble-

mami w rodzaju „lex TVN”), ale Moskwa straciła już moc sprawczą w świecie i jej postępowanie jest tylko próbą przygotowania się do wykorzystania sytuacji stworzonej gdzie indziej. Rosja, jak zresztą wiele ośrodków analitycznych na świecie, przewiduje w niedługim czasie starcie zbrojne pomiędzy Chinami a USA o Tajwan. Czy tylko je przewiduje, widząc, że Pekin równie nisko ocenia obecny stan USA, czy ma pewniejsze dane o chińskich zamiarach – nie wiemy. Na pewno Rosja wie jednak, bo to nie jest żadna tajemnica, że USA nie są dziś w stanie interweniować w kilku miejscach jednocześnie. Jeśli Chiny zwiążą siły Ameryki na Pacyfiku, to kto zdoła przeszkodzić „zielonym ludzikom” Putina? Nastawione na sojusz z nim (i na współpracę z Chinami) za wszelką cenę Niemcy? Polska? Łotwa i Litwa?

Jeśli dojdzie do kryzysu na Pacyfiku, a wiele nań w tym roku wskazuje, to Putin jest już przygotowany, by to wykorzystać.

Niestety, wszystko skłania przeciwników Ameryki do wniosku, że moment jest doskonały do stanowczego działania. Joe Biden nie cieszy się szacunkiem, ale jego konstytucyjny następca, Kamala Harris, jawi się jako jeszcze większa katastrofa – na dodatek Ameryka jest rozdarła społecznymi konfliktami i gwałtownie biednieje wskutek zniszczenia mechanizmów wolnego rynku przez neofeudalny system wielkich korporacji. Tymczasem i Chiny, i Rosja wiedzą, że w następnych latach ich armie będą, z różnych powodów, słabnąć.

Nie lekceważyłbym też spraw trudniej uchwytnych. Znajomy przyjaciółki, bardzo zainteresowany wojskowością, pokazywał mi dostępne na YouTube filmy rekrutacyjne Chin, Rosji i USA. O ile dwa pierwsze są apoteozą siły i męskiej przygody, walki oraz zwycięstwa nad wrogami i nad własną słabością, o tyle reklamówki amerykańskie przedstawiają armię jako miejsce, gdzie geje i transi budują kolorową równość i inkluzywność, przy okazji naciskając jakieś guziczki i kręcąc dżojstikami. Nie wiem, jaki jest wpływ tych reklamówek na nabór do US Army, ale w Chinach i Rosji na pewno nie budują one obrazu Ameryki jako państwa, które jest zdolne im w czymkolwiek przeszkodzić. Może mylą się politycy Południa w ocenie potencjału Północy – ale decyzje, które mogą podjąć w poczuciu, że USA wypadły już z globalnej gry, mogą być nieodwracalne.



Maciej Pieczyński

Mało prawdopodobne, by w nadchodzącym roku doszło do pełnowymiarowej agresji Rosji na Ukrainę. Nie oznacza to jednak, że nie może dojść do eskalacji na mniejszą skalę. W tym z udziałem Białorusi

Od wielu miesięcy oczy światowej – a przynajmniej europejskiej i amerykańskiej – opinii publicznej zwrócone są w stronę wschodnich rubieży Zachodu. Najpierw atak służb Alaksandra Łukaszenki na granice państw bałtyckich i Polski. Następnie groźnie wyglądające ruchy wojsk rosyjskich przy granicy z Ukrainą. Zdaniem wielu ekspertów obie operacje to część szerszego planu wywierania nacisków celem wymuszenia konkretnych ustępstw czy koneksji ze strony Zachodu. O ile jednak działania reżimu białoruskiego miały dotąd charakter hybrydowy, o tyle pojawiły się realne obawy, że manewry wojsk rosyjskich to przygotowanie do pełnowymiarowej agresji na Ukrainę. Czy zatem w 2022 r. Moskwa uderzy po raz kolejny, tym razem przy użyciu regularnej armii? Jaki udział w eskalacji konfliktu z Ukrainą i Zachodem będzie mieć Mińsk? Czekamy na ciąg dalszy działań hybrydowych czy otwarta wojna?

Rosja skoncentrowała ponad 92 tys. żołnierzy przy samej granicy z Ukrainą. Moskwa szykuje się do agresji. Armia rosyjska prawdopodobnie uderzy na przełomie stycznia i lutego – przekonywał pod koniec listopada szef ukraińskiego wywiadu wojskowego Kyryło Budanow w rozmowie z amerykańskim portalem Military Times. 9 grudnia w podobnym tonie wypowiedział się na łamach „New York Timesa”. „Nie mamy wystarczających zasobów militarnych, by odeprzeć atak Rosji na pełną skalę, jeśli zacznie się on bez wsparcia dla nas ze strony sił zachodnich” – przyznawał Budanow, w oczywisty sposób apelując za pośrednictwem mediów do administracji w Waszyngtonie o wsparcie.

ESKALACJA JEST NIEUCHRONNA

Grudniowy szczyt Biden-Putin nie przyniósł przełomu. Prezydent USA

Eskalacja czy agresja?



zapowiedział sankcje, wzmocnienie flanki wschodniej NATO oraz wsparcie dla Ukrainy w razie agresji. Przy tym wykluczył bezpośredni udział wojsk amerykańskich w ewentualnej wojnie. Putin z kolei oskarżył Kijów o nierealizowanie porozumień mińskich (m.in. specjalny status Donbasu w granicach Ukrainy), zarzucił NATO „instalowanie się” nad Dnieprem oraz zwiększanie obecności wojskowej przy granicach Rosji, wreszcie – zażądał nierozszerzania się NATO na wschód i niewzmocnienia flanki wschodniej Sojuszu. – Kreml będzie teraz musiał uwiarygodnić ultimatum, które postawił Zachodowi. Dlatego eskalacja jest nieuchronna – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich Wojciech Konończuk.

W jego ocenie najłatwiejszą formą „uwiarygodnienia” będzie przejście do fazy gorącej konfliktu w kontrolowanym przez Rosjan Donbasie, gdzie już rozpoczęła się mobilizacja. Moskwa przysłała separatystom zarówno broń, jak i doradców oraz instruktorów – oficerów armii i służb rosyjskich. – Możliwy jest scenariusz „Donbas+”, czyli przerwanie linii rozgraniczenia i uderzenie z terenu samowznajczych republik na tereny kontrolowane przez Kijów – mówi Konończuk. – Kremlowska propaganda od dawna głosi, że Ukraińcy odpowiadają za akty ludobójstwa na ludności cywilnej z obwodów donieckiego i ługańskiego. Ten przekaz, ostatnio zintensyfikowany, może posłużyć jako pretekst, by zaatakować nie

tylko rękami separatystów, lecz także przy użyciu sił regularnych – dodaje. Jak zaznacza, nie chodzi o pełnowymiarową agresję lądową przy użyciu dużych jednostek taktycznych. Bardziej prawdopodobny jest np. ostrzał artyleryjski z terytorium Federacji Rosyjskiej. Oczywiście nie byłby to pierwszy tego typu przypadek od początku wojny. Tyle że Rosjanie nigdy nie przyznawali się do winy, nawet gdy dowody były oczywiste. „Ich tam niet”, czyli „ich tam nie ma” – tak oficjalnie Moskwa reagowała za każdym razem, gdy padały oskarżenia o udział regularnych wojsk rosyjskich w wojnie na Ukrainie. Fraza ta urosła do rangi symbolu kremlowskich działań hybrydowych. „Zielone ludziki”, najemnicy z Grupy Wagnera, instruktorzy, słowem – rosyjscy żołnierze, walczący „incognito”, nazywani są sarkastycznie „ichtamnieta”.

Dlaczego więc Moskwa tym razem miałaby odstąpić przyłbice? – Ostrzał jednostek ukraińskich można byłoby przedstawić jako sprawiedliwą zemstę na „ludobójcach”, ewentualnie jako konieczną likwidację konkretnych oddziałów „kijowskiej junty”, zanim dokonają kolejnej zbrodni na donbaskich cywilach – mówi wiceszef OSW. – Ponadto Rosjanie często wypominają państwu NATO bombardowanie Serbii podczas wojny w Jugosławii. Teraz mogliby powiedzieć, że skoro Zachód bezkarnie stosował tego typu metody walki, to nie ma prawa krytykować za podobne działania Rosji – dodaje. Zaznacza przy tym, że pełnowy-

Ćwiczenia „Zapad 2021” FOT. EAST NEWS



miarowa agresja i zajęcie całej Ukrainy są w jego ocenie bardzo mało prawdopodobne – Rosja, co prawda, jest w stanie w dość krótkim czasie podbić Ukrainę, ale utrzymać okupację już niekoniecznie.

KOLEJNY BLEF PUTINA?

Anna Maria Dyner z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych uważa inwazję za wariant mało prawdopodobny. – Po pierwsze, Ukraina jest militarnie o wiele silniejszym państwem niż w 2014 r. Armia pozostaje w stałej gotowości bojowej i jest uzbrojona w sprzęt, którzy może sprawić spore problemy ewentualnym agresorom: amerykańskie pociski przeciwpancerne Javelin czy tureckie drony uderzeniowe Bayraktar. Rosjanie wiedzą, że pełnoskalowa operacja wiązałaby się nie tylko z kosztami finansowymi, lecz także z kosztami wewnętrznymi: spodziewane liczne ofiary w ludziach raczej nie przysporzyłyby społecznego poparcia dla operacji – mówi Anna Maria Dyner. – Po drugie, w przypadku inwazji Zachód musiałby wprowadzić drakońskie sankcje i zerwać negocjacje z Kreml, niektóre państwa prawdopodobnie zdecydowałyby się wesprzeć Kijów poprzez dostawę sprzętu i broni. Po trzecie, choć z problemami, to jednak zapewne Rosja byłaby w stanie zająć całą Ukrainę, ale wówczas zaczęłaby się jeszcze trudniejsza walka z ruchem partyzanckim i oporem społecznym – wylicza.

Dlatego, jak twierdzi ekspertka PISM, dla Putina najwygodniejsza jest obecna

sytuacja. Pozorując przygotowania do inwazji, wymusza na władzach w Kijowie utrzymywanie armii w stanie ciągłej gotowości. To kosztuje – Ukraina, wydając środki na siły zbrojne, zaniedbuje inne dziedziny, odkłada na później reformy. Czyli słabnie wewnętrznie, stając się łatwiejszym celem do pozamilitarnych działań. – Łatwiej destabilizować Ukrainę z zewnątrz, niż ją podbić, biorąc tym samym na siebie ciężar utrzymania ponad 44-milionowego kraju. Wreszcie: jeśli Rosja zaatakuje, to nie będzie mogła już straszyć, że zaatakuje, jeśli Zachód jej nie ustąpi – mówi Anna Maria Dyner.

Zachód tradycyjnie już nie prezentuje absolutnie jednolitej linii wobec Moskwy. Wielu przywódców wołałoby przystać na żądania Putina i zmusić Ukrainę do realizacji niekorzystnych dla niej porozumień mińskich. – Paradoks polega na tym, że Kijów absolutnie nie może sobie pozwolić na ustępstwa. Według przeprowadzonego w grudniu sondażu tylko 12 proc. Ukraińców chce, by ich kraj wykonał postanowienia porozumień mińskich. Za ich rewizją i ponownym podpisaniem opowiedziało się aż 54 proc. respondentów. Ustępstwo wobec Moskwy mogłoby dla Wołodymira Zełenskiego oznaczać nowy Majdan – ocenia wicedyrektor OSW.

Wiele wskazuje na to, że Putin po raz kolejny blefuje. Ewentualna nieugiętość Zachodu raczej zniechęci go do ryzyka. Nie straci też twarzy, rezygnując ze swych gróźb, ponieważ... gróźb tych nigdy wprost nie wyartykułował. Zawsze może powiedzieć, że ruchy wojsk to były zwykłe manewry, bez żadnych agresywnych celów. Oczywiście zawsze jest ryzyko, że Kreml jednak w końcu zdecyduje się na frontalne uderzenie. – Inwazja miałaby sens tylko wówczas, gdyby Putin chciał zwycięską operacją podwyższyć obecnie najniższe w historii słupki poparcia. Tyle że to niekoniecznie by pomogło, Kijów to nie Krym – spekuluje ekspertka PISM.

– Rosjanie zainwestowali kilkanaście miliardów dolarów w Nord Stream 2. Putin musiałby oszaleć, żeby wcześniej zaatakować i zaryzykować blokadę gazu – mówi Konończuk. – To pytanie o jego stabilność emocjonalną, która na punkcie Ukrainy jest rzeczywiście zachwiana. Ponadto Putin rzadko podejmuje impulsywne decyzje. Od wieków rosyjska (i sowiecka) kultura strategiczna opiera się na racjonalnej kalkulacji,

tak aby uzyskać jak najwięcej możliwie najmniejszym kosztem. Rosjanie są na swój pokrętny sposób legalistami. Dbają o pozory, stąd też tak konsekwentnie przekonują, że „ich tam niet”. Choć nikt, nawet w Rosji, w to nie wierzy – dodaje.

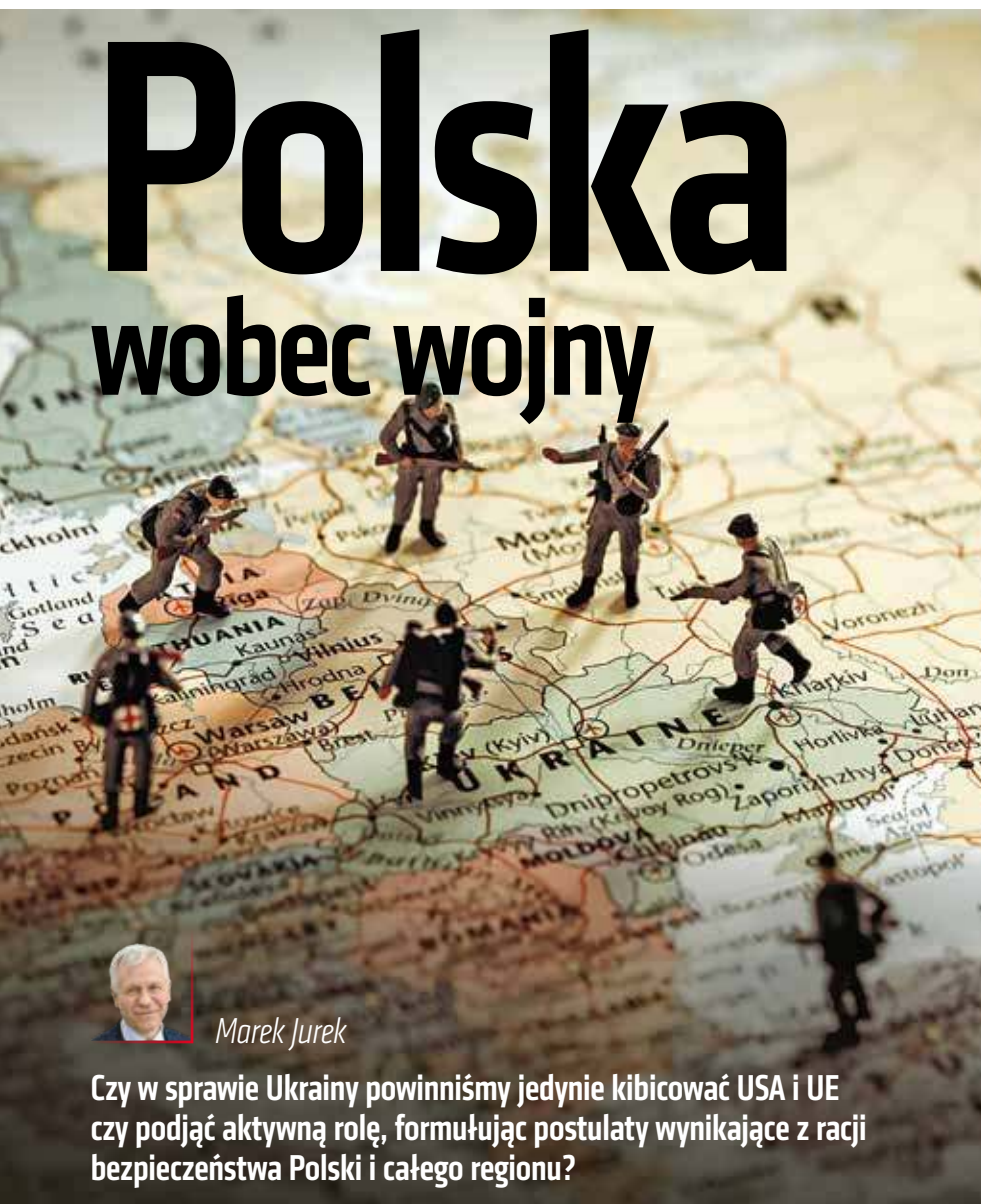
DRUGI FRONT WOJNY

Z działaniami na froncie ukraińskim mogą być ściśle skorelowane działania na froncie białoruskim. – Dopóki płot nie zostanie ukończony, dopóty cały czas będziemy narażeni na presję migracyjną. Zablokowanie lotów do Mińska nie pomoże, jeśli zostanie uruchomiony szlak do Moskwy – mówi wicedyrektor OSW. Jego zdaniem niewykluczone, że część migrantów służby Łukaszenki przerzucą na mniej szczelną granicę z Ukrainą, o ile swój interes będzie miała w tym Moskwa. Tym samym przeciwko Kijowowi zostanie otwarty drugi front wojny, na razie hybrydowej. Migranci przepychani byłiby na Ukrainę nie po to, by następnie ruszyć w kierunku Polski (to byłaby zbyt trudna operacja), ale po to, by destabilizować samą Ukrainę właśnie. Łukaszenka przez wiele lat dbał o stosunkowo dobre relacje z Kijowem. W ostatnim czasie jednak niemal wprost uznał aneksję Krymu. – Chcąc udowodnić Putinowi swoją lojalność, mógłby zaryzykować ostateczne zerwanie stosunków z Ukrainą i przerzucić atak hybrydowy przy użyciu migrantów na południe – zastanawia się Konończuk.

Według Anny Marii Dyner ogrodzenie na granicy z Białorusią nie da gwarancji całkowitego rozwiązania problemu, szczególnie że nigdy nie będzie całkowicie szczelne. – Migranci to tylko jedno z wielu narzędzi hybrydowych, które przeciwko Polsce może zastosować Łukaszenka – mówi. – W przyszłości będziemy się mierzyć z o wiele poważniejszym zagrożeniem, którym będzie rosnąca integracja Białorusi i Rosji, która mocno zmieni sytuację bezpieczeństwa w regionie. Granicę wschodniej flanki NATO i UE patrolować będą nie tylko białoruscy, lecz także rosyjscy żołnierze. Musimy się też przygotować na skoordynowane działania Mińska i Moskwy w zakresie wojny informacyjnej i innych działań hybrydowych przeciwko Polsce i krajom bałtyckim, a także na arenie międzynarodowej, choćby na forum ONZ czy OBWE, której w 2022 r. będziemy przewodniczyć – konkluduje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polska wobec wojny



jednak fatalna, gdy myślimy o bezpieczeństwie narodowym, o podstawach naszej niepodległości, o jej utrwaleniu jako celu i o pokoju jako realizacji tego celu warunku.

Co zatem powinniśmy robić? Czy jedynie kibicować USA i UE, w których konkurować będą rozważania, czy bardziej opłaca się scenariusz konsolidacji zimnowojennej czy Nowa Jałta? Przyglądać się dwustronnym kontaktom Rosja-USA, pomysłom na wznowienie przez Niemcy i Francję formatu normandzkiego, reakcją na rosyjskie propozycje generalnego porozumienia Rosja-NATO? A może jednak podjąć rolę aktywną, formułując postulaty wynikające z racji bezpieczeństwa Polski i całego regionu, więc również Ukrainy? Przedstawić plan wynikający z uznania, że głównym celem polskiej polityki zagranicznej musi być bezpieczny świat dla niepodległej Polski.

CZY WOJNA JEST NIEUCHRONNA?

Co bowiem stanowi casus belli nadchodzącego konfliktu? Niezgoda Rosji na udział Ukrainy w Przymierzu Atlantycznym. Tak jak przyczyną okupacji i aneksji Krymu była niezgoda na rezygnację z sewastopolskiej bazy morskiej na Morzu Czarnym. Do Ukrainy należy sprawa oceny, czy przynależność do NATO jest dla niej wartością nienegocjowalną. Przynajmniej jednak dwie sprawy (zasadnicze dla ich interesów narodowych) mogłyby przedstawić jako warunki rozważenia perspektywy rosyjskiej i szukania innych form stabilizacji swojej niepodległości. Po pierwsze – status Krymu, po drugie – Zagłębia Donieckiego.

Krym ma większość rosyjską, więc nie wróci do Ukrainy drogą demokratyczną. Jeśli Putin nie chciał uruchomić na Krymie demokratycznego ruchu separatystycznego, to nie dlatego, że nie miałyby poparcia, ale dlatego, że oddziaływałyby „demoralizująco” na samą Rosję: zarówno na metropolię, jak i na przykład na muzułmańskie narody północnego Kaukazu. Poza tym sprawa Sewastopola była pilna. Wszystko więc zachęcało Putina do sięgnięcia po Krym siłą. I Krym może wrócić do Ukrainy tylko w wyniku wojny. Bez tego jest jedynie kartą dyplomatyczną, jak na przykład dla powojennych Niemiec niezawarty traktat pokojowy. I karty tej Ukraina może użyć, włączając kwestię krymską do rozmów na temat zapobieżenia wojnie.

FOT. ADAM STOK



Marek Jurek

Czy w sprawie Ukrainy powinniśmy jedynie kibicować USA i UE czy podjąć aktywną rolę, formułując postulaty wynikające z racji bezpieczeństwa Polski i całego regionu?

Jeśli Amerykanie militarnie zaangażują się w obronę Ukrainy, to możemy wiele zyskać. Zrealizuje się marzenie o bezpiecznej geopolitycznej otulinie, odgradzającej nas od Rosji, o przesunięciu strategicznych granic Zachodu daleko na wschód od Polski. Zwycięska obrona ukraińskiej niepodległości miałaby bowiem nieuchronny wpływ na Białoruś – zarówno na nastroje społeczne, jak i na nastawienie elit, które zobaczyłyby Zachód jako realną alternatywę, a przynajmniej biegun dla orientacji geopolitycznej ich państwa. Tylko że tego nie będzie.

Prezydent Biden wyraźnie powiedział, że reakcja na rosyjski najazd będzie miała wyłącznie charakter dyplomatyczny i ekonomiczny. Pomijając polityczną skuteczność tych „drastycznych sankcji”,

ich uruchomienie oznaczałoby tylko jedno. Oczywiście nie zmianę polityki rosyjskiej, bo każda inwazja ma cenę i rosyjscy przywódcy oraz dowódcy nie są tak naiwni, by rozważając wojnę, zakładać, że nic nie będzie kosztować. Tą jedyną konsekwencją byłoby zaostrzenie zimnej wojny, co przy wzmocnionej rosyjskiej obecności na Białorusi (nawet nie zakładając narzucenia prorosyjskiego rządu w Kijowie) oznaczałoby radykalny wzrost zagrożenia rosyjskiego dla naszych granic.

Oczywiście jeśli są politycy zakładający, że to świetna okazja do konsolidacji społeczeństwa (a myślę, że nie brakuje ich po obu stronach wewnętrznej barykady, różnica dotyczy jedynie narodowej lub europejskiej retoryki), to taka perspektywa może być atrakcyjna. Jest

Międzynarodowe negocjacje mogą bowiem status Krymu wzruszyć. Możliwa zmiana oznacza zagwarantowanie – pod co najmniej długoterminową, jeśli nie stałą kontrolą międzynarodową – demokratycznego charakteru organizmów politycznych na Krymie (przy poszanowaniu praw narodowych Rosjan, Ukraińców i Tatarów) i w Zagłębiu Donieckim. Taka międzynarodowa kontrola mogłaby zakończyć zbrojne starcia w Donbasie, usunąć najgorsze następstwa okupacji Krymu i zmniejszyć wywołane nią napięcia. Oczywiście rozwiązania takie można opatrzyć klauzulami dodatkowymi, dotyczącymi ograniczenia rosyjskiej obecności militarnej na Krymie, i ewentualnością przyszłego referendum. Dobrym modelem takiego kondominium (również zakładającego możliwość „transferu suwerenności” w drodze przyszłego głosowania) jest status Irlandii Północnej po porozumieniach wielkopiątkowych.

KLUCZ NASZEGO BEZPIECZEŃSTWA

Do realizacji tych założeń potrzebna byłaby konferencja międzynarodowa. Polska – jako największy sąsiad Ukrainy

Wycofanie wojsk rosyjskich z okręgu królewieckiego radykalnie poprawiłoby bezpieczeństwo Polski i Litwy, więc podstawy niepodległości naszych krajów

i Rosji wśród państw NATO i UE) – ma tytuł, by zaproponować swą rolę gospodarza. I do kwestii omawianych powinniśmy przede wszystkim dołączyć kluczowy polski postulat, będący gwarancją stabilizacji pokoju w Europie Środkowo-Wschodniej: demilitaryzację okręgu królewieckiego (przy potwierdzeniu suwerenności Rosji na tym terytorium oczywiście). Wycofanie wojsk rosyjskich znad południowego Bałtyku radykalnie poprawiłoby bezpieczeństwo Polski i Litwy, więc podstawy niepodległości naszych krajów.

Inicjatywa międzynarodowa dla państwa jest wartością samą w sobie. Pokazuje jego rangę, umiędzynarodawia założenia jego racji stanu, w wypadku realizacji (choćby jej poważnych prób) podnosi jego pozycję. To kolejne szczeble – bo sama prezentacja wizji ładu

międzynarodowego odpowiadającego naszej niepodległości ma znaczenie, bo formułuje kryteria naszego stanowiska. Czas je przedstawiać.

A jeśli rzeczy potoczą się bez naszego udziału, to powinniśmy po prostu pozostać w zjednoczonym froncie Zachodu. Ani nie wybiegając przed szeregiem (żądając „jeszcze większych” sankcji czy zgłaszając inne postulaty, których nikt nie zamierza podjąć), ani nie cofając się poza stanowisko państw decydujących, w pierwszym rzędzie Stanów Zjednoczonych. Zachowując swoje postulaty bezpieczeństwa (z demilitaryzacją Królewca na czele), ze świadomością, że polska racja stanu może być zbieżna z interesami innych państw, może być przesłanką solidarności, ale zawsze pozostaje suwerenną dyrektywą polityki Rzeczypospolitej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Randka Małżeńska 2.0

Stowarzyszenie Diakonia Ruchu Światło-Życie prowadzi kampanię społeczną, dotyczącą rozwiązywania problemów rodzinnych poprzez dialog i usprawnianie komunikacji między małżonkami.

Nowoczesne i lekkie w swojej formie multimedialne materiały służą do samodoskonalenia i rozwoju małżeństw. Głównym narzędziem do pracy nad sobą i swoim małżeństwem jest bezpłatna aplikacja Randka Małżeńska 2.0. Można ją pobrać na telefony z systemem Android i iOS. Materiały dotyczą takich tematów, jak m.in.:

- samodoskonalenie i rozwój małżeństwa,
- rozwiązywanie kryzysów rodzinnych,
- używanie języka korzyści, budowanie jasnego przekazu,
- konstruktywne rozwiązywanie sporów.

Wszystko na stronie:
www.randkamalzenska.pl.

Jak podkreśla Artur Kołaczek, koordynator kampanii ze Stowarzyszenia Diakonia, materiały pomagają w nawigacji przez złożone relacje między małżonkami: „Wystarczy razem obejrzeć warsztat multimedialny i pobrać aplikację, by przy odpowiednich metodach i narzędziach się zainspirować i pobudzać do walki o nierozzerwalność małżeństwa”. I dodaje, że prowadzone w ramach Randki Małżeńskiej działania „są skierowane do wszystkich małżeństw, którym się chce pogłębiać relacje, rozwijać swoje związki i podnosić jakość wspólnego życia”.

Aplikacja mobilna RM2.0 ma pomóc ludziom w wyrobieniu nawyku pracy nad sobą według schematu: „Widzieć – Osądzić – Działać” oraz pomóc wszystkim małżeństwom w prowadzeniu dialogu małżeńskiego.

Wzmacnianie rodziny w dużej mierze zależy od siły miłości i stabilności w małżeństwie – nieustanne dbanie o wspólne relacje w związku pozwala budować szczęśliwy, bezpieczny dom.

Nierzadko jednak w codziennym pośpiechu i wśród obowiązków trudno jest konstruktywnie przyrzeć się swojemu małżeństwu, brakuje również pomysłów i narzędzi, które pomogą poradzić sobie z problemami. Randka Małżeńska 2.0 zapewnia takie narzędzia i rozwiązania. Ich wykorzystanie przyniesie korzyści i samym małżonkom, i całym rodzinom. „Warto powalczyć o swój związek – tak niewiele potrzeba, a tak wiele można zyskać” – podsumowuje Artur Kołaczek.

www.randkamalzenska.pl
Projekt dofinansowany w konkursie
Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej
„Po pierwsze Rodzina!” na rok 2021.



Ministerstwo Rodziny
i Polityki Społecznej



Z prof. Jakubem Politem, historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego rozmawia Tomasz D. Kolanek

Parada czołgów na pl. Tiananmen podczas 70. rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej, 3 września 2015 r. FOT. SASHA MORDOVETS/GETTY IMAGES

Chiny kontra USA

TOMASZ D. KOLANEK: Jak zdefiniowałby pan termin „supermocarstwo”?

PROF. JAKUB POLIT: Najkrócej rzecz ujmując – supermocarstwo. Jest to państwo, które ma albo pragnie mieć globalne wpływy i takie, które bez trudu potrafi poradzić sobie z każdym pomniejszym mocarstwem.

Czym różni się supermocarstwo od imperium?

Te pojęcia się przenikają, co nie zmienia sprawy, że toczy się na ten temat od wielu lat dyskusja.

Jak powszechnie wiadomo, imperium wywodzi się od rzymskiego terminu oznaczającego władzę i panowanie, a więc imperium musi być wielką potęgą.

Istniały wprawdzie stare imperia czy stare potęgi imperialne, które z czasem podupadły, i chociaż niejednokrotnie były one bardzo rozrzucone terytorialnie, to stały się jedynie przebrzmiałymi pięknościami. Takim czymś było na przykład pierwsze i ostatnie imperium kolonialne świata – portugalskie, które swoje mocarstwowe czasy przeżyło w XVI w.

W przypadku dzisiejszych mocarstw sprawa jest jednak skomplikowana. Można powiedzieć, że z imperium mamy do czynienia, kiedy istnieje nierównoprawny status centrum i peryferii. Zazwyczaj takie imperium jest wielkim mocarstwem, ale niekoniecznie musi nim być, ponieważ czasem jedynie do takiego statusu pretenduje.

Oczywiście, ponieważ mamy rozmawiać o Chinach, to one są prawdopodob-

nie celem dwóch powyższych pytań. Są kraje, które od zawsze myślały o sobie jako o imperiach, i to nawet w tym okresie, kiedy nie były mocarstwami. Nawet wtedy, gdy ich realny wpływ na bieg wydarzeń w skali globalnej, a nawet mniej niż globalnej, był bardzo niski, uważały ten stan rzeczy za przejściowy. Tak właśnie jest z państwem chińskim.

Czym w związku z tym są współczesne Chiny – mocarstwem czy imperium, a może jeszcze czymś innym?

Obecne Chiny są zarówno mocarstwem, jak i imperium, natomiast proszę pamiętać, że jeszcze 100 lat temu Chiny nie były żadnym supermocarstwem. Mało tego – nie były nawet mocarstwem. Jeszcze gorzej – były państwem, na którego obszarze usiłowały rozgrywać swoje interesy silniejsze od Chin mocarstwa, a mimo to Chiny dalej pozostawały imperium.

Istnieją tutaj pewne analogie z Turcją osmańską w okresie tzw. sprawy wschodniej. Państwo sułtanów, będąc imperium do swoich ostatnich dni, na długo wcześniej przestało być mocarstwem, ale w umysłach rządzących w Stambule nigdy nie przestało nim być.

Co takiego się stało, że w ciągu 100 lat Chiny stały się faktycznym mocarstwem, a nawet supermocarstwem, i faktycznym imperium, a nie tylko „imperium w głowach”?

Jest to pewien powrót do stanu poprzedniego. Inaczej niż w wypadku cywilizacji europejskiej Chińczycy postrzegają czas nie jako coś linearnego, ale powtarzającego się, cyklicznego. Ich zdaniem jest zwykłym stanem rzeczy, że cesarstwo po pewnym czasie musi się rozpaść, a następnie musi się ponownie zjednoczyć. Zazwyczaj to zjednoczenie następowało na większym niż poprzednio obszarze, przy czym ci, którzy mieli pecha życia w takim interwale – kiedy przytrafił się nieimperialny, niemocarstwowy okres w historii samego państwa – potrafili dążyć do odbudowy poprzedniego statusu. Innymi słowy – to, co miało miejsce 150 lat temu, czyli upadek mocarstwowej pozycji Chin w świecie, odczuwane było przez elity i sporą część mieszkańców tego państwa jako coś nienormalnego. Dążyły one do zmiany tego stanu rzeczy.

W takim razie niewłaściwe z punktu widzenia Chińczyka byłoby pytanie: „Co się takiego stało, że przeżywamy dziś renesans potęgi Chin?”. Oni zapytają: „Jakie czynniki stały za przejściowym i osobliwym zaćmieniem naszego niebiańskiego imperium?”.

Jakie w związku z tym czynniki stały za Chinami Mao Zedonga, kiedy to nie mieliśmy do czynienia ani z supermocarstwem, ani z imperium, tylko z cesarstwem cierpienia i absurdu?

W swoim pytaniu przeciwstawia pan dwie rzeczy, które niekoniecznie muszą być przeciwstawne. Tak odbieram stwierdzenie, że w czasach Mao nie było supermocarstwa, tylko cesarstwo cierpienia i absurdu.

Supermocarstwo jak najbardziej może być cesarstwem cierpienia i absurdu. Zarówno Rzesza Niemiecka z liczbą porządkową III (aczkolwiek „Trzecia Rzesza” to nazwa nieoficjalna), jak i Związek Sowiecki pod rządami Stalina były niewątpliwie prawdziwymi, wielkimi supermocarstwami i jednocześnie miały cechy groteskowo-absurdalne, a przy tym krwawe i przerażające.

W wypadku Mao sytuacja wyglądała osobliwie z dwóch przyczyn. Z jednej strony faktycznie zdołał on, a było to osiągnięcie nie lada, aczkolwiek spowodowane wieloma czynnikami, zjednoczyć rozsypujące się od końca XIX w. państwo chińskie. Już ten sam fakt musiał spowodować, że zaczęło ono przybierać cechy groźne i imponujące dla sąsiadów. Z drugiej strony, ponieważ Mao przez dłuższy czas był skoncentrowany na polityce wewnętrznej i na realizacji swoich fantazji, ponieważ przysłowiowym chińskim murem postanowił odgrodzić swoje mocarstwo od świata, czego symbolem może być fakt, że Chińczycy o lądowaniu człowieka na Księżycu dowiedzieli się dopiero po śmierci Wielkiego Sternika, ów twór zaważył na biegu spraw międzynarodowych w sposób wielce ograniczony, znacznie mniejszy, niż mógł to w rzeczywistości uczynić.

Jest jeszcze jedna sprawa. W czasach Mao państwo chińskie było nie tyle nieudolnie, ile umyślnie w sposób – mówiąc eufemistycznie – bałaganiarski zarządzane. Więziło to potęgę chińską niczym dżina w butelce. Albowiem kraj tej wielkości, tak ludny, o tak wielkich tradycjach i bogactwach naturalnych, zamieszkały przez pracowity i zdolny naród w zasadzie nie ma warunków, żeby nie być supermocarstwem. Żeby nim nie był, komuniści początkowo, mimo nieistnienia wrogów zewnętrznych, musieli bardzo się postarać.

Co takiego stało się po śmierci Mao, kiedy miejsce przewodniczącego zajęli jego uczniowie, towarzysze, wyznawcy i Chiny stały się rzeczywistym mocarstwem?

Śmierć Mao rzeczywiście była cezurą, choć nie tak wyraźną, jak się niekiedy sądzi, ponieważ pewne zasadnicze linie maoizmu były utrzymywane i po jego zgonie. Takim okresem przełomowym

nie jest sam zgon tyrana, tylko historyczne plenum KC partii w grudniu 1978 r., czyli niemal dwa lata po tym, jak Mao „zobaczył się wreszcie z Marksem”. Wówczas faktyczną władzę w kraju przejął Deng Xiaoping, aczkolwiek formalnie nigdy ani stanowiska przewodniczącego rządu, ani szefa partii nie dzierżył.

Przypomnę zresztą, że pewne takie cechy otwarcia na świat, zainicjowania nowych trendów w polityce zagranicznej zaczęły się już za życia Mao i za jego mocnym poparciem. Chodzi oczywiście o historyczną wizytę prezydenta USA Richarda Nixona w Chinach, wyjście Chin z dyplomatycznej izolacji, przyjęcie ChRL do ONZ itd.

Ale wydaje się, że tu rzeczywiście chodziło o inne spojrzenie na sposób budowy komunizmu, budowę przez to samo zresztą pokolenie komunistów. Kwestię tę się zazwyczaj sprowadza do przeciwstawienia, do skontrastowania postawy dwóch ludzi składających się jedynie niepełną dekadą, jeśli idzie o datę urodzenia – Mao i Denga. Pierwszy z nich był swoistym romantykiem uważającym, że wola mas jest wszechmocna i żadne, wymyślone przez jajogłowych obiektywne prawa, choćby fizyki i ekonomii, przewyciężyć jej nie potrafią. Drugi chodził twardo po ziemi, a jego hasłem było „przekraczać rzekę, czując kamienie pod stopami”, czyli utrzymywać realistyczny kurs, i tutaj rzeczywiście Deng wykorzystał pewne osobiste doświadczenia.

Deng w przeciwieństwie do Mao dłużej przebywał w Związku Sowieckim i wiedział na przykład, jakie skutki przyniosła dla państwa stalinowskiego kolektywizacja rolnictwa. W tej dziedzinie zamierzał odkręcić to, co zrobił Mao. Zamierzał realizować hasło czterech modernizacji rzucone jeszcze za życia Mao przez premiera Zhou Enlaia, aczkolwiek bezlistownie dławili tych wszystkich, którzy chcieli dodać do tych czterech modernizację piątą, to znaczy demokrację. Stawiał jedynie na przemiany gospodarcze, przemiany techniczne, przemiany wojskowe.

W ten sposób w Dengu można widzieć w jakimś stopniu naśladowcę takich „nowoczesnych” tyranów jak chociażby Piotr I Wielki.

Czy można powiedzieć, że Chiny są obecnie centrum świata?

Absolutnie jest przedwczesne, żeby tak mówić. Oczywiście w przekonaniu samych Chińczyków tak właśnie jest, ale pamiętajmy, że „centrum” stanowi rzecz względną.

W Białym Domu mapy świata wyglądają tak, że w środku są Stany Zjednoczone, a Azja i Europa znajdują się po prawej i lewej stronie, jako coś doczepionego. W pokoju Andrieja Gromyki – prawie dożywoтного ministra spraw zagranicznych bolszewii – rzecz wyglądała zupełnie inaczej. Tam w środku świata był ZSRS.

Jezuici jeszcze na dworach cesarzy chińskich tak rysowali mapy, żeby Państwo – nomen omen – Środka znajdowało się w centrum świata.

Chiny dzisiaj jeszcze nie są takim centrum. Niemniej nie ulega wątpliwości – jak zresztą mówił człowiek, który w ChRL jest z przyczyn historycznych znienawidzony, a mianowicie amerykański generał Douglas MacArthur – że punkt ciężkości świata przenosi się nad Pacyfik, co nie musi znaczyć, że do Chin. Nad Pacyfikiem wszak leżą też Stany Zjednoczone, Korea, Japonia czy największy katolicki kraj Azji – Filipiny.

Jeżeli więc wiek XXI – i być może również XXII, ale ani ja, ani pan tego nie sprawdzimy – ma być wiekiem Pacyfiku, to niekoniecznie musi być od razu wiekiem Chin.

Czy Chiny, tak jak to sugeruje wielu ekspertów, dążą do dominacji nad regionem i nad światem?

Chiny na pewno dążą do dominacji nad regionem, ponieważ tamtejszym włodarzom wydaje się, z przyczyn historycznych, że taka jest przeznaczona im rola. Innymi słowy – gdyby do tego nie dążyły, byłoby coś nienaturalnego, byłaby to jakaś abdykacja z tej roli, która zdaniem wielu powinna im przypaść.

Natomiast nikt nie wie, jakie są tak naprawdę zamiary obecnego kierownictwa ChRL. Chodzi o pewną zmianę pokoleń. Aż do lat 90. kraj ten był kierowany przez coraz starszych weteranów tzw. długiego marszu chińskich komunistów z połowy lat 30. Ci ludzie z przyczyn biologicznych ustąpili ze sceny. Sam Deng zmarł w roku 1997, ale wtedy publicznie się nie udzielał od co najmniej pięciu lat.

Jego testament polityczny mówił, że należy przede wszystkim skupiać się na rozwoju gospodarczym i na czas późniejszy odkładać ambicje polityczne, bo nie byłoby to ani bezpieczne, ani rozsądne.

Wydało się, że jego dwaj bezpośredni następcy, którzy zresztą nie mieli wielkiego osobistego autorytetu, podążali tym kursem. W zasadzie mało kto wierzył, że mieli jakieś własne plany i zdania, więc

■ trzymali się tego właśnie pomysłu. Dlatego też pewną zagadką dla świata jest obecny przywódca Chin, prezydent Xi Jinping, któremu na początku listopada plenum KC otwarło wrota do władzy teoretycznie dożywotniej. Wcześniej jego poprzednicy ograniczali się do dwóch kadencji.

Xi to człowiek, który z całą pewnością nie pamięta Chin niekomunistycznych. To syn ministra. Jego generacja władzy nie zdobywała, ale z niej korzystała. Mówi się o nim, że jest człowiekiem o dużych ambicjach. Zdaniem części ekspertów po prostu się pospieszył, to znaczy uznał, że nadszedł już rzeczywiście czas, aby ChRL przestała udawać państwo mniej znaczące niż to, jakim naprawdę jest. Pytanie tylko, czy się nie pomylił.

Czy nie jest tak, że za niedługo to przyspieszenie doprowadzi do tego, o czym słyszymy od dłuższego czasu, że Chiny będą współodpowiedzialne za wybuch trzeciej wojny światowej?

Jest w tym jakaś logika. Problem polega na tym, że – zwłaszcza kiedy mamy do czynienia z komunistami – logika nie jest najlepszym doradcą, jeśli idzie o przewidywanie przyszłości.

Przypomnijmy, że badacz na pewno nietuzinkowy, z wyobraźnią – Samuel Huntington – w swojej sławnej, wznowionej nie tak dawno pracy o kolizji cywilizacji przewidywał wybuch wojny chińsko-amerykańskiej na rok 2010.

Przypomnę też, że w XIX w. specjaliści uważali, że wojną, do której musi dojść, jest wojna pomiędzy imperium brytyjskim a rosyjskim o rywalizację w Azji. Tymczasem do takiej wojny nie doszło. Wojna krymska była prowadzona przez Brytyjczyków w sojuszu z Francuzami o nieco inne cele, wcześniej i na peryferiach Europy.

Nie doszło też w sensie klasycznym do wielkiej rozprawy japońsko-sowieckiej, o której w okresie międzywojennym pisano, że jest nieuchronna.

Innymi słowy – jest to logika fałszywa. Jeśli zresztą jest prawdą, o czym sam nie jestem do końca przekonany, że Chińczycy przywódcy są pilnymi czytelnikami nieśmiertelnego mędrca Sun Zi, to trzeba pamiętać, że dla niego największym mistrzem i wojownikiem jest ten, kto pokona wroga bez walki. W związku z tym niekoniecznie taka konfrontacja musi przybrać postać trzeciej wojny światowej. No, chyba że za ostatnią – tę trzecią – wojnę światową uznamy zimną wojnę. W takim razie nadchodząca czwarta woj-

na również powinna być zimna, chłodna, letnia, ale na pewno nie gorąca.

Co to wszystko oznacza dla Polski? Czy RP powinna „puścić oko” w stronę ChRL? Czy Pekin byłby w ogóle zainteresowany współpracą z Warszawą? A jeśli tak, to czy nam się to opłaci?

Jeżeli mamy się stawiać Chińczykom dlatego tylko, że są komunistami, to przypomnę, że wielu mędrców na Zachodzie i na Wschodzie dmie hałaśliwie w puzon propagandy, że ChRL nie buduje żadnego komunizmu, tylko kapitalizm, i to taki, że aż strach.

Nie ulega wątpliwości, że nie leży w naszym interesie zapewnianie świata, iż jesteśmy tym championem, który chce najzärliwiej potępiać łamanie praw człowieka w Chinach. Owszem: wiadomo, że jest to, mówiąc kolokwialnie, państwo nieprzyjemne, ale przypomnę, że w wielu rejonach świata, w tym w wielu państwach, z którymi jesteśmy zaprzyjaźnieni, także postępuje się nieprzyjemnie.

Możemy się starać utrzymywać w miarę poprawne stosunki z Chinami, zwłaszcza stosunki handlowe. Nie widzę najmniejszych powodów, żebyśmy mieli w jakiś szczególny sposób akcentować swoją niechęć do tego państwa na szczeblu państwowym – w sposób formalny, ponieważ nieoficjalnie, osobiście, możemy jako jednostki mówić głośno, co o tym wszystkim myślimy. Najwyżej zostaniemy ukarani zakazem wjazdu do ChRL. Nie ulega jednak wątpliwości, że wszystkie te trendy są dla Polski zasadniczo niepomysłne z bardzo prostych przyczyn. Po pierwsze dlatego, że nasz najważniejszy sojusznik, którym są aktualnie Stany Zjednoczone, będzie się koncentrował na sprawach azjatyckich, a nie na Europie. A to, jak doskonale wiadomo, nie leży w naszym interesie.

Po drugie, prawdopodobnie USA będą chciały pozyskać dla siebie przyjaźń rozmaitych mocarstw pomniejszych i peryferyjnych. Starając się na przykład oderwać Rosję od Chin, będą mogły chcieć ugłaskiwać ją naszym kosztem, a przynajmniej unikać podejmowania akcji antyrosyjskich tylko z powodu Polski.

Po trzecie, chcąc sobie zabezpieczyć tyły skoncentrowane na rozgrywce z Chinami, USA mogą dać wolną rękę sprzymierzeńcom europejskim, przede wszystkim Niemcom, pozwalając im na to, żeby realizowały swoje wizje i fantazje na terenie Europy.

Pozwolę sobie przywołać tutaj świetną pracę dr. hab. Michała Lubiny.

Zwraca on uwagę, że Amerykanie mają z Chinami interesy, a nie mają przyjaźni, natomiast Rosjanie kultywują z ChRL serdeczną przyjaźń bez żadnych szczególnych interesów. Otóż fakt, że Rosja powoli zamienia się w rodzaj zaplecza surowcowego dla Chin, że dostarcza im oprócz surowców głównie broń, że stosunki ludnościowe między Rosją a Chinami stają się coraz bardziej niekorzystne etc. – wszystko to może spowodować, że w Rosji strach przed nowymi Batu-chanami, jak w czasach Breżniewa mówiono o Chińczykach, może spowodować, że nacisk Rosji w Europie się zmniejszy.

Czy w takiej sytuacji Polska będzie w stanie zachować neutralność?

Neutralność wobec czego, proszę pana? Przypomnę, że NATO to pakt ograniczony do Europy i Polska nie jest zobowiązana, nawet teoretycznie, do udzielania pomocy USA w Azji czy na jakimkolwiek innym kontynencie.

Chce pan powiedzieć, że przynależność do NATO nie oznaczała, iż Polska musiała wysłać swoje wojska do Afganistanu i Iraku?

Nie oznaczała. W jakiejś mierze wysłaliśmy tam żołnierzy z własnej woli, uznając, że nam się to opłaci. Czy nam się to rzeczywiście opłaciło? Czy nie mogliśmy się sprzedać za jakąś wyższą cenę niż pewne zaszczyty i gesty dla panów Kwaśniewskiego i Millera, którzy przecież byli w to zaangażowani? To inna sprawa.

Powtarzam: nie jesteśmy zobowiązani do udzielania pomocy USA w żadnym z ich pozaeuropejskich konfliktów, a gdybyśmy nawet chcieli, to z przyczyn technicznych innej pomocy niż symboliczna nie jesteśmy w stanie udzielić.

Nie ma najmniejszego powodu, żebyśmy narażali się Chińczykom, podobnie jak na przykład Japonia – też sojusznik USA – nie musi wykonywać groźnych gestów pod adresem Białorusi.

Polska nie ma najmniejszego powodu, żeby wysuwać się przed szereg. W naszym interesie jest utrzymywanie poprawnych stosunków z Chinami tak długo, jak to tylko się da, aczkolwiek rozmaite marzenia, żeby być jakimś ambasadorem chińskich interesów na terenie UE, żeby zrobić tutaj dla przywódców Państwa Środka jakiś szczególnie sympatyczny pokój, to też są pomysły zarówno naiwne, jak i niebezpieczne.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Golonka

Przełom starego i nowego roku to dobry czas na ocenę debaty dotyczącej obecności Polski w Unii Europejskiej, podjętej przez tygodnik „Do Rzeczy”

Po pierwsze, podjęliśmy temat wykłety w ogólnopolskiej prasie, wywołujący historię u „totalnych”, a po stronie obozu władzy, delikatnie rzecz ujmując, niezrozumienie i irytację, stąd nasza inicjatywa mogła zdawać się z góry skazana na zakrzywienie lub pominięcie milczeniem. Tymczasem, skromnie rzecz ujmując, nie tylko zdołaliśmy zakorzenić temat w dyskursie medialnym i podtrzymać dyskusję, która stopniowo zatacza coraz szersze kręgi, lecz także przede wszystkim nasze stanowisko co do słuszności tej debaty, niezależnie od padających w niej różnych opinii, okazało się jak najbardziej trafne. Parcie Komisji Europejskiej – która przecież zawdzięcza swoją obecną obsadę personalną także poparciu polskiego rządu tudzież prominentnych przedstawicieli europejskiego establishmentu – do utopijnej federalizacji Unii nie budzi już najmniejszych wątpliwości, a zablokowanie, w imię troski o praworządność, należnych Polsce pieniędzy z Funduszu Odbudowy niestety tylko potwierdziło, że przestrogi odnośnie do tego mechanizmu finansowania formułowane w naszym tygodniku okazały się po prostu trafne.

Ponadto krok, na który w grudniu zdecydował się PiS, czyli tworzenie szerokiej koalicji na rzecz Europy Ojczyzn, mimo politycznej ceny takiego posunięcia w postaci odgrzewanego do znudzenia *reductio ad lepenum* ze strony totalnych, potwierdza, że debata o bilansie korzyści i strat z członkostwa Polski w Unii Europejskiej w obecnym formacie – a tu leży właśnie sedno dyskusji o polexicie – jest czymś jak najbardziej pożądanym.

Remanenty, choć konieczne, bywają jednak uciążliwe, zważywszy na trudności obiektywnego zliczenia całego inwentarza, stąd i pokusa naginania rzeczywistości oraz kreatywnej księgowości, tak aby wynik łatwiej pasował do narzuconego nieraz z góry schema-

tu. Gwoli uczciwości muszę bowiem wyznać zachodzącą u mnie utrwaloną od lat i najwyraźniej niereformowalną tendencję uniosceptyka. Głosowanie w referendum akcesyjnym w 2003 r. było moim pierwszym osobistym głosowaniem, w dodatku za granicą (co zawsze wymaga większego wysiłku i determinacji), i wciąż uważam, również pod wpływem dalszego biegu wydarzeń, że mój ówczesny wybór „pod prąd” był słuszny. Chcę przy tym zaznaczyć, że mój ówczesny wybór był bardziej instynktem niż ugruntowanym przekonaniem, co nie znaczy, że nie wynikał on z rozumnych przesłanek. Otóż było dla mnie rzeczą oczywistą, że zachodnie elity polityczne u władzy, a więc te wyznaczające również kierunek i tempo integracji europejskiej, są w najlepszym wypadku obojętne i nieczułe na kwestie chrześcijańskiej tożsamości naszego kontynentu, jego kodu kulturowego i obyczajów, a w prak-

na manowcach potępiania, stąd tchnąca utopią odpowiedź ówczesnego prymasa przyznawała przynajmniej rację samej mojej analizie tamtego stanu rzeczy i wskazanych tożsamościowych zagrożeń. Przy czym w mojej obawie, czy nie będę zbyt nagiął remanentu do swych upodobań, w sukurs przychodzi mi sama Komisja Europejska, rozgrzeszając mnie a priori z możliwych zarzutów o stronniczość czy nadinterpretację. Wszak to wiceprzewodnicząca Komisji, a nie przypadkowy urzędnik, wypowiedziała w ostatnim czasie otwartą wojnę Bożemu Narodzeniu i wszystkim możliwym reliktom chrześcijaństwa w przestrzeni publicznej *par excellence*, czyli w języku...

KORZYŚCI I STRATY

Wracając do meritum: w toczącej się debacie w tygodniku „Do Rzeczy”, a także i poza nim, wybrzmiało w międzyczasie

Zostać czy wyjść z UE?

tyce są nawet nierzadko antychrześcijańskie w swych dążeniach.

Oczywiście ludzie postępowi i oświeceni sklasyfikowaliby moje doświadczenia i odczucia, wywołujące ów instynktowny opór przed referendalnym „tak”, jako nieprzezwykłe we mnie złoże faszyzmu i obskurantyzmu, niemniej moje obawy odnośnie do potencjalnej kolizji tożsamościowej między tym, co kulturowo polskie, a tym, co „uniijne”, były wystarczająco uzasadnione – na tyle, że zapytany przeze mnie w czasie spotkania z polskimi studentami w Paryżu kard. Józef Glemp o powody popierania przez polski Kościół akcesu, mimo wiążących się z nim niebezpieczeństw natury cywilizacyjnej i moralnej, odparł mniej więcej, że „idziemy do Unii po to, aby nawrócić zachodnią Europę”. A ponieważ nawraca się osoby błędzące

głosy publicystów i polityków utworzyły mapę kluczowych punktów za polexitem i przeciw niemu, wraz z wątkami pochodnymi.

Te różnorodne stanowiska miały zresztą punkty zbieżne, poczynawszy od tego, że nasi rozmówcy wychodzili z założenia, iż chodzi przede wszystkim o kwestię bilansu korzyści i strat związanych z danym wyborem, choć, ma się rozumieć, nie pojmują oni jednolicie kryterium tego bilansu. Jeśli np. w wypowiedziach redaktora naczelnego „Do Rzeczy” przeważało podkreślanie imperatywu bezwarunkowej obrony naszej suwerenności, nie tylko politycznej, lecz także – i zwłaszcza – suwerenności tożsamościowej, to z kolei głosy przeciwnie, jak choćby ministra Konrada Szymańskiego, podkreślały, że w obecnym rozdaniu geopolitycznym przynależność do Unii

Europejskiej jest właśnie gwarantem naszej suwerenności i bezpieczeństwa. Między tymi dwoma, zdającymi się nie do pogodzenia stanowiskami jest cała paleta odcieni, mniej lub bardziej ze sobą kompatybilnych: Rafał A. Ziemkiewicz głosił, że debata o polexicie jest potrzebnym straszakiem w negocjacjach z Unią, mających stanowić jeśli nie początek reformy tego tworu, to przynajmniej zahamowanie zapędów unijnych urzędników i federalistów.

W kontekście skutków finansowych unijnego Zielonego Ładu Łukasz Warzecha stawiał na debatę o polskim członkostwie w Unii w sposób pozbawiony dogmatów i emocji, ale z kolei punkt widzenia polityka, którym jest europoseł Ryszard Czarnecki, podkreślał, że – sondażowo rzecz ujmując – większość Polaków opowiada się za członkostwem w Unii, postrzegając w nim na razie przewagę korzyści nad bolączkami. I nie był w tym głosie odosobniony, Krzysztof Bosak z Konfederacji, czyli ugrupowania, które szło do swych pierwszych wyborów z wyraźnym uniosceptycznym przekazem, w swych wypowiedziach mówi mniej więcej to samo. Owszem, ugrupowania prawicowe wyrażają wobec swych wyborców nieraz bardzo krytyczny przekaz wobec działań i mechanizmów Unii – w obozie władzy czyni to poniekąd z urzędu Solidarna Polska – jednak głosy Czarneckiego i Bosaka ukazują, że polityk, chcąc rządzić, pozostanie częściowo więźniem nastrojów społecznych, w tym straszenia przez opozycję tematem polexitu na rzecz zbijania kapitału w polityce krajowej.

EKONOMIA

Kolejne głosy w debacie skupiały się na mniej lub bardziej precyzyjnym wyliczaniu ekonomicznego bilansu naszej przynależności do Unii. Na naszych łamach próby takiej oceny dokonał Tomasz Cukiernik, sugerując istotną dysproporcję między przepływami finansów do Polski i z Polski, co z kolei, już w wymiarze ogólnopolskiej debaty, szczegółowo wyliczał raport Patryka Jakiego sporządzony we współpracy z dr. Zbigniewem Krysiakiem ze Szkoły Głównej Handlowej oraz z prof. Tomaszem Grossem z Uniwersytetu Warszawskiego. Raport ten wprawdzie „wywołał burzę” z zarzutami o rażące błędy, jak to określano, ale trzeba przyznać, że w tej wrzawie bardziej niż o merytoryczną krytykę i dyskusję nad metodologią wy-

liczeń chodziło o oburzenie unioentuzjastów, zszokowanych faktem, że ktoś ma w ogóle czelność podobnych wyliczeń dokonywać. W ich mniemaniu przynależność do Unii, a zatem i wynikające z niej teoretyczne korzyści, jest bowiem niepodważalnym dogmatem. W końcu należy podkreślić stanowisko reformatorów, choćby prof. Ryszarda Legutki, wykazujących kierunki bezwzględnie koniecznych reform wewnątrz Unii na rzecz powrotu do Europy Ojczyzn, jeśli takowa rzeczywiście kiedykolwiek istniała w ramach konstrukcji europejskiej.

Debata toczy się zatem w dużej mierze między wątkiem suwerennościowym, ekonomicznym i sondażowym. Interesującą ilustrację problemu suwerenności można znaleźć w wypowiedzi Radosława Sikorskiego, który w debacie z Robertem Winnickim stwierdził, że Polska pozo-

staje krajem w pełni suwerennym, gdyż w każdej chwili może cofnąć scedowanie pewnych elementów swej suwerenności, którego dokonała w ramach unijnych traktatów dla osiągnięcia różnych korzyści. Teoretycznie tak, w praktyce z jednej strony jest to niemożliwe – wystarczy zobaczyć histeryczne reakcje choćby wśród mediów i elektoratu związanego z obozem Platformy Obywatelskiej na – wydawałoby się banalne i oczywiste – orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, które podkreślało konsekwencje prawne mniej więcej tego samego zjawiska, które opisał sam Sikorski.

Po drugie, działanie jest drugą naturą człowieka poprzez przyzwyczajenie, a zatem funkcjonowanie w trybie raz po raz cedowanej suwerenności oznacza w praktyce oswajanie się z procesem, który w swej logice prowadzi do etapu



FOT. ADRIAN STOK



nie musi zatem oznaczać nieubłaganej integracji politycznej i zideologizowanych, wszechwładnych urzędników.

SPÓŁECZNA ŚWIADOMOŚĆ PROBLEMU

Odnosząc się do sondaży, wszystko zależy od stawiania tez badawczych, ale nie ma wątpliwości, że w Polsce przeważa poparcie dla modelu Europy współpracujących ze sobą zrzeszonych, ale realnie suwerennych państw; a w młodym pokoleniu Polaków przeszło 20 proc. poparcia dla idei polexitu w ogóle.

Cała kwestia, w praktyce, sprowadza się zatem obecnie do dwóch rzeczy. Pierwsza to świadomość problemu, i tu niewątpliwie podtrzymywanie w społeczeństwie szeroko rozumianej debaty o polexicie i jej pogłębianie jest jak najbardziej pożądane, podobnie jak każde inne dostarczanie elementów refleksji i decyzji w kluczowych sprawach. Druga to wola polityczna ewentualnej reformy Unii.

Paradoksalnie większym problemem od praktycznej niemożności skorygowania mechanizmu konstrukcji europejskiej jest niemożność polskiego rządu do wykorzystywania narzędzi, które teoretycznie wciąż posiadamy, nawet w ramach obecnego systemu unijnej współpracy. Możliwość skorzystania z prawa weta jest postrzegana jako opcja atomowa, a przez to nigdy niewykorzystywana. Politycy czując się w obowiązku osiągnąć europejski konsensus, jeśli cokolwiek takiego w ogóle istnieje, akceptują raz po raz niekorzystne dla Polski, nawet skrajnie niekorzystne, nawet gruntownie sprzeczne z własnym programem wyborczym opcje, takie jak wygaszanie polskich kopalń. Następnie te osobiste decyzje premiera ratyfikuje, być może z bólem serca, ale bez zająknięcia, polski parlament, bo tak trzeba, bo nie można łamać dokonanych ustaleń, tak że w ostatecznym rozrachunku podobny mechanizm decyzyjności jest największym wrogiem jakiegokolwiek reformy całego systemu. Innymi słowy – jeśli rzeczywiście chcemy innej Unii, choćby tej domniemanej Unii współpracy gospodarczej, do której wstępowałyśmy, która miała rzekomo nie ingerować w naszą tożsamość obywatelską i kulturową, to po pierwsze trzeba tego rzeczywiście chcieć, po drugie chcieć i jeszcze raz autentycznie chcieć. Trudno w tym temacie o lepszy cel i postanowienie na nowy rok: nauczyć się rzeczywiście czegoś chcieć, ponad werbalnymi deklaracjami.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

nieodwracalnego, czyli cesji definitywnej w ramach tworzenia europejskiego superpaństwa. Nie wydaje się też przekonujące stanowisko, że obecność Polski w Unii Europejskiej jest silnym gwarantem naszego bezpieczeństwa narodowego, a przynajmniej przypomina się tu kawał sprzed kilku lat: „Rosja zajęła Krym, na co w odpowiedzi Bruksela zajęła stanowisko”. W każdym razie nie istnieje jedna spójna polityka zagraniczna Unii, co wyraźnie pokazały zarówno kryzysy migracyjne, jak i ten obecny czy projekty typu Nord Stream 2, uderzające w europejską solidarność.

W rzeczywistości częściową, i tylko częściową, gwarancją naszego bezpieczeństwa są nasze partykularne relacje z różnymi europejskimi stolicami, z Berlinem i Paryżem na czele. Co ważne w tej dyskusji, relacje z Berlinem są też kluczowe ze względu na obopólny,

sąsiedzki interes ekonomiczny z Warszawą. Abstrahując od tego, że priorytetową dla naszej gospodarki przynależność do unijnego rynku nie jest zarezerwowana li tylko dla państw członkowskich Unii (nie mówiąc już o tym, że często myli się przynależność do Unii z zasadami wolnego przepływu ludzi w strefie Schengen), trzeba podkreślić, że wymiana handlowa z Polską pozostałaby w interesie Niemiec niezależnie od faktu naszego członkostwa. Zresztą na świecie działają różne międzynarodowe strefy wolnego handlu, z czego największa z nich, obejmująca Azję Południowo-Wschodnią oraz Australię i Oceanie, nie zna w ogóle odpowiednika wszechwładnej Komisji Europejskiej czy innych unijnych instytucji, w których DNA wpisane jest stopniowe przejmowanie prerogatyw suwerenności państwowej. Wspólny rynek

Zgodnie z ustawą Prawo energetyczne z 1997 r. (która m.in. powołała do życia URE) spółki energetyczne mogą przedłożyć prezesowi urzędu do akceptacji nowe taryfy nie tylko wówczas, gdy kończy się okres obowiązywania dotychczasowych, lecz także wtedy, gdy warunki rynkowe to uzasadniają. I to właśnie nastąpiło.

Prezes URE bada złożone wnioski w ramach postępowania administracyjnego i zatwierdza propozycje firm, o ile uzna, że są uzasadnione. Często firmy wnioskują o podwyżki większe niż te, do których ostatecznie dochodzi, bo działa tu swego rodzaju proces negocjacji z URE. To, co wydarzyło się w połowie grudnia, jest jednak bezprecedensowe. Tak ogromnych podwyżek w historii jeszcze nie było.

URE jest organem administracji rządowej, a jego prezes jest powoływany przez premiera na pięcioletnią, nieodnawialną kadencję. URE nie epatuje zatem opinii publicznej swoimi decyzjami. Przeciwnie – stara się je nie tyle może pomniejszyć, ile przedstawić jako względnie mało dotkliwe. Jego rolą jest przecież również w miarę możliwości pogodzenie interesów konsumentów i firm.

DRASTYCZNA PODWYŻKA DLA FIRM

W informacji przekazanej przez urząd możemy zatem przeczytać, że rachunki za prąd wzrosną średnio o ok. 21 zł miesięcznie, a za gaz – raptem o 9 zł na miesiąc. Taka jest też narracja obozu władzy: owszem, procentowo wydaje się dużo, ale realnie Polacy wcale nie zbankrutują. Tyle że to półprawda. Po pierwsze – wiadomo, jak to jest ze średnią. Jeśli pan X zarabia 5 tys. zł, a pan Y – 50 tys., to średnio każdy z nich zarabia miesięcznie po 27,5 tys. zł.

Po drugie – odbiorcy prądu doświadczali już znaczącej podwyżki na początku tego roku, kiedy pojawiła się opłata mocowa. Ten faktycznie kolejny podatek w cenie energii (która przecież obłożona jest już m.in. akcyzą) ma, według URE, zapewnić pieniądze na modernizację sieci i zapewnić nieprzerwane dostawy prądu. Cóż, płacić trzeba już teraz, ale efektów jeszcze długo możemy nie zobaczyć – jeśli kiedykolwiek je zobaczymy – bo przecież pojawiają się zapowiedzi, że w 2022 r. mogą nas w Polsce czekać częste black-outy, czyli wyłączenia prądu wynikające albo z niedostatku mocy albo właśnie ze słabości infrastruktury.

Zielony Ład dusi Polskę



Łukasz Warzecha

Przed świętami Bożego Narodzenia Rafał Gawin, prezes Urzędu Regulacji Energetyki, dał Polakom prezent pod choinkę: nowe, o wiele wyższe rachunki za prąd i gaz. Średni wzrost cen dla odbiorców indywidualnych to w przypadku prądu ok. 24 proc., a gazu – aż o 54 proc.

Po trzecie – niektórych faktycznie podwyżki mogą zabołec w ograniczonym stopniu, szczególnie że ta dotycząca gazu została rozłożona na 36 miesięcy. Jednak innych zabolą potężnie, a już zwłaszcza tych, którzy uwierzyli w zieloną propagandę, wzięli jednorazowe dopłaty i zmienili swoje „kopciuchy” na nowoczesne i podobno ekologiczne ogrzewanie gazowe. Może ktoś faktycznie zapłaci o 30 zł miesięcznie więcej (a dla niektórych nawet to jest poważnym ciosem), ale wielu będzie musiało dołożyć nawet po kilkaset złotych. Dotyczy to szczególnie właścicieli domów.

To wciąż jednak tylko połowa historii. Z wizerunkowego punktu widzenia najkorzystniej jest mówić o liczonych w złotychkach podwyżkach dla indywidualnych użytkowników, lecz firmy mają inne taryfy i w ich przypadku wzrost kosztów prądu, a zwłaszcza gazu, jest wyniszczający. W mediach trudno znaleźć na ten temat informacje, ale polskie firmy – szczególnie te z sektorów, gdzie gaz jest wyjątkowo istotny – już mają problemy lub zmuszone są do drastycznych podwyżek cen. Jednym ze skutków są bardzo krótko obowiązujące cenniki. Dotyczy to m.in. nawozów sztucznych, przekładających się na cenę

żywności, oraz materiałów budowlanych, co przekłada się na ceny remontów, a za moment będzie mieć drastyczne odbicie w cenach nowych mieszkań czy domów. Firmy produkujące ceramikę, styropian czy płyty gipsowo-kartonowe aktualizują cenniki co miesiąc, dwa, czasami nawet co tydzień. Inwestorzy – w tym drobni – nie są w stanie zaplanować kosztów budowy, bo w jej trakcie przedsięwzięcie może się okazać nagle znacząco droższe. Jedna z największych polskich firm produkujących ceramikę użytkową (swego czasu z wielką pompą odwiedzona w ramach gospodarskiej wizyty przez premiera Morawieckiego) musi obecnie płacić 600 zł za metr sześcienny gazu. Rok temu było to 70 zł. Mamy zatem wzrost ceny rok do roku o ponad 750 proc.

GLOBALNY PROBLEM

W niektórych państwach UE – wzrost cen gazu jest bowiem jest zjawiskiem dotykającym cały kontynent – doprowadziło to już do czasowego wstrzymywania produkcji, która zwyczajnie staje się nieopłacalna. W Polsce w dramatycznej sytuacji znalazło się wiele mniejszych biznesów. Na przykład Zarząd Główny



FOT. ADRIAN STOK

za tonę (czyli wyraźnie poniżej 30 euro). Gdyby pokazano ceny od początku działania systemu, zaczynałyby się od 5–10 euro za tonę. Wykres doprowadzono do listopada tego roku i ceny 300 zł za tonę. To i tak mniej niż rekordowa cena, która niedawno sięgnęła blisko 90 euro za tonę (potem nieco spadła), czyli ponad 400 zł! To bezpośrednia przyczyna wzrostów cen prądu.

Wiążą się z tym wzrosty cen gazu, który w UE – w Polsce również – jest traktowany jako paliwo przejściowe w drodze do rozwiązań w pełni „zielonych”. Agencja ratingowa Fitch wskazuje na kilka przyczyn rekordowych stawek duszących Europę. Po pierwsze – jest to trwające wciąż rozbudzenie po pierwszym roku pandemii, gdy większość państw wchodziła w głęboki lockdown. Innymi słowy – można założyć, że podwyżka cen byłaby mniejsza, gdyby nie koronawirusowa histeria, prowadząca do czasowego zamrażania całych sektorów gospodarki oraz sztucznego tłumienia popytu. Ten czynnik – zwiększony popyt – będzie najpewniej trwał nadal w 2022 r. Po drugie – konkurencja o surowiec (przede wszystkim LNG – skroplony gaz naturalny) z Azją, gdzie spadku produkcji i popytu na miarę europejską nie było, a która rozwija się bardzo dynamicznie. Również ten czynnik nie zniknie w nowym roku. Po trzecie – potraktowanie sytuacji przez Rosję jako okazji do wywarcia presji za pomocą Gazpromu. Przekaz jest jasny: przestańcie blokować uruchomienie Nord Stream 2, a zaczniemy wam dostarczać więcej gazu i ceny spadną.

Fitch wylicza, że średnie zużycie europejskich rezerw gazu w połowie września w latach 2015–2020 wynosiło 86 proc., podczas gdy całość zgromadzonych w tej samej porze roku rezerw w roku 2021 to raptem 72 proc. zwiększonej ilości. Innymi słowy – Europa ma potężny deficyt gazowy w stosunku do średnich wartości.

Fitch zrewidował na początku września w górę swoje prognozy cen gazu dla Europy, zaznaczając jednak, że powinny one być niższe niż w 2021 r. W raporcie z połowy grudnia nie był już jednak tak optymistyczny: „Ceny gazu naturalnego najpewniej pozostaną na wysokim poziomie w pierwszym kwartale 2022 r., zwłaszcza w Europie i Azji, z powodu wysokiego popytu na tym drugim kontynencie, wąskich gardeł w produkcji oraz

niepewności wokół Nord Stream 2, a także niskiego poziomu rezerw gazowych w Europie”.

PONURE PROGNOZY

O ile cena gazu, poza jego rolą jako paliwa przejściowego w odchodzeniu od węgla (czy atomu – w Niemczech) będzie zależeć bardziej od krótkoterminowych czynników, w tym od pogody tej zimy – globalne ocieplenie, gdyby miało miejsce, byłoby tutaj naszym sojusznikiem – o tyle cena prądu jest uzależniona od przyjętej przez UE długoterminowej polityki obciążania produkcji energii dodatkowymi podatkami od emisji dwutlenku węgla. Tutaj próżno oczekiwać zmian na lepsze. Podczas niedawnego szczytu Rady Europejskiej w Brukseli Mateusz Morawiecki starał się przekonywać partnerów, że trzeba zawiesić system handlu uprawnieniami do emisji CO₂, bo ten stał się obiektem spekulacji windującej ceny. Po pierwsze – można zadać sobie pytanie, dlaczego szef polskiego rządu postanowił zrobić w tej sprawie cokolwiek dopiero teraz, skoro nie tylko specjaliści, lecz także niektórzy politycy problem z ETS sygnalizowali już kilka lat temu. Po drugie – Komisja Europejska dysponuje raportem ACER (unijna Agencja ds. Współpracy Regulatorów Energetycznych), według którego spekulacja uprawnieniami odbywa się obecnie na zbyt małą skalę, aby wpływać na ich cenę. To odpowiedź na zarzuty wysuwane dotychczas nie tylko przez Polskę, lecz także przez dotkniętą w bardzo dużym stopniu energetycznym kryzysem Hiszpanię.

Nałożmy teraz sytuację z cenami gazu i prądu na polski (ale też europejski) problem z inflacją, a dostaniemy pełnię ponurego obrazu na rok 2022. Analitycy Pekao SA po ogłoszeniu decyzji URE już zrewidowali swoją prognozę inflacyjną na nowy rok do średniej wartości nawet 8 proc., a szczytowej niemal 10 proc.

Tymczasem przed Polską stoi wyzwanie polityczne na 2022 r. w praktyce nie do przejścia: negocjacje w Radzie UE w sprawie poszczególnych elementów pakietu „Fit For 55”. Na pakiet jako całość założeń już się zgodziliśmy, więc nasze pole manewru jest znikome. Możemy jedynie próbować budować w Radzie koalicję głosów na rzecz łagodzenia poszczególnych rozwiązań. Co nie zmienia faktu, że obecne kłopoty z cenami prądu i gazu to czułe pieśczęty w zestawieniu z tym, co zafunduje nam „FF55”.

Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Mechaników Polskich, będący wieczystym użytkownikiem imponującego barokowego zamku w Rydzynie, zmuszony był ogłosić zawieszenie działalności hotelu. „Pomimo dużych zobowiązań i postępu do kwietnia tego roku zamek poradził sobie z problemami i we wrześniu spłacił ostatnie zobowiązania – wyjaśnia kierownictwo obiektu na Facebooku. – Niestety pojawił się drugi – jak się okazuje, równie poważny – wróg – nasza rodzima spółka PGNiG! [...] W dniu wczorajszym otrzymaliśmy fakturę za listopad na kwotę ponad 30 tys. zł. Przy identycznym zużyciu przed rokiem zapłacilibyśmy ok. 12 tys. zł”. Zamek, będący zabytkiem pod ścisłą kontrolą konserwatora, nie może stać się „ekologiczny” (czyli np. być docieplony), a podwyżka cen dla gości, która wyrównałaby podwyżkę ceny gazu, sprawiłaby, że mało kto decydowałby się w zamku zatrzymać. Takich historii jest mnóstwo.

URE wyjaśnia, jakie są przyczyny podwyżek, zamieszczając nawet na swoich stronach stosowne grafiki. Jedną z nich przedstawia ceny uprawnień do emisji CO₂ w ramach systemu EU ETS, lecz tylko od maja 2019 r., gdy koszt wynosił 100 zł

Bez łatwych recept, ale z wiara



Piotr Semka

**Coraz więcej wierzących w Polsce
zadaje pełne niepokoju pytanie:
Jak uratować autorytet Kościoła?**

Kryzys Kościoła katolickiego w Polsce już od kilku lat, a szczególnie od czasu wybuchu pandemii, dokumentowany jest badaniami na temat spadku liczby uczestników nie-

dzielnych mszy świętych, liczby chrztów i wskaźników uczęszczania na lekcje religii w szkołach. Bardzo charakterystyczne są reakcje na te wyniki badań. Po stronie krytyków Kościoła widać wyraźną satysfakcję, która skłania do głoszenia tez o powtórzeniu się schematu Irlandii. Czyli kraju, który kiedyś był bardzo mocno zanurzony w katolickiej świadomości społecznej, a dziś gwałtownie się laicyzuje. Katolicy spod znaku „Kościół otwartego” powołują się na dane jako potwierdzenie swych wezwań do gwałtownych zmian. Wpisywać się one mają w szersze wezwania papieża

Franciszka do „rabanu”, który ma odrodzić Kościół. Po stronie tradycjonalistów bardzo głębokie jest rozgoryczenie związane z papieskim motu proprio, które znacząco ogranicza możliwość sprawowania liturgii przedsoborowej.

To bolesne doświadczenie sprawia, że nie wierzą w synodalne dyskusje i „wysłuchiwanie wszystkich”, bo z nimi nikt nie rozmawiał przed arbitralną decyzją papieską. Najbardziej milcząca jest w tej dyskusji ta część konserwatywnej opinii katolickiej, która w Polsce znalazła się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Z jednej strony przyzwyczajeni oni byli



nia coraz więcej wierzących w Polsce do pełnego niepokoju pytania: Jak uratować autorytet Kościoła?

NOWE DOŚWIADCZENIE

Aby jednak próbować odpowiedzieć na to pytanie, trzeba sobie uświadomić, że obecna dezorientacja wynika z nietypowego dla wielu krajów braku rozczarowań Polaków wobec Kościoła. Kardynał Stefan Wyszyński w czasach PRL bardzo ostro reagował na sugestie komunistycznych władz, że Kościół zdradza naród. Prymas Tysiąclecia przypominał, że tradycją polską było występowanie w imieniu narodu zawsze wtedy, gdy jego egzystencja była zagrożona. Jak podkreślał, Kościół nigdy nie zostawił Polaków samym sobie w sytuacji kryzysów i wojen. Istotnie, dla Polaków możliwość odwoływania się do Rzymu była wielokrotnie ratunkiem. Tak było np. w konfliktach z Krzyżakami i tak było w czasach rozbiorów.

Tymczasem inne narody miały odmienne doświadczenia. Patrioci z Italii ubolewali nad tym, że świecka władza papieża używana jest przeciw zjednoczeniu ziem włoskich. W Czechach po klęsce zrywu narodowego w 1620 r. uzależniony od Habsburgów Kościół katolicki odegrał spórą rolę w gaszeniu narodowych aspiracji.

Polacy byli w tej komfortowej sytuacji, że oprócz casusu Austrii z lat rozbiorów dwa pozostałe mocarstwa rozbiorowe – Rosja i Prusy – zwalczały Kościół jako czynnik wzmacniający poczucie polskości. Oczywiście zdarzali się papieże, którzy potępiali powstania, infamią otaczano nazwiska hierarchów, którzy podlizywali się Rosjanom lub brali udział w targowicy. Ale dla Polaków o wiele ważniejsze było zaangażowanie się zwykłych księży we wspieranie ducha narodowego. Tacy kapłani jak ks. Stanisław Brzóska przemaszyli do wyobraźni mocniej niż ugodowi hierarchowie.

Ale ten długi okres nienormalności życia politycznego w Polsce, trwający z 20-letnią przerwą od połowy XVIII w. do 1989 r., odzwyczaił nas od sytuacji, w której Kościół nie musi wypełniać zastępczej roli wobec braku państwa, które spełnia aspiracje Polaków. Polski Kościół miał okresy stagnacji w XVIII i XIX w., w tej pierwszej epoce wielu hierarchów przypominało raczej chciwych i ambitnych magnatów niż ludzi sumienia. A w II połowie XIX w. modne trendy scjentyzmu i socjalizmu odwróciły sporą część polskiej inteligencji od Kościoła.

Teraz, gdy od 30 lat poziom życia w Polsce rośnie, a jednocześnie kraj dosięgły impulsy laicyzacyjne z Zachodu, sytuacja ta jest tak nowa, że pokolenie dzisiejszych 40- i 50-latków jest totalnie wytrącone z równowagi. Niezwykle długa epoka Jana Pawła II istotnie wprowadziła dużą część hierarchii kościelnej w stan samozadowolenia i pychy. Zawstydzające przypadki obojętności wobec losu ofiar molestowania mszczą się dzisiaj z zaskakującą siłą. Jakie mogą być wskazania dla kierunków wyjścia z tej drastycznej sytuacji?

WIĘCEJ SPOKOJU

To, co powtarza się w argumentach modernizatorów, to nacisk na szybkie działanie. Tworzy ono sytuację swoistego szantażu wobec hierarchii. „Albo zmienie się gwałtownie i bez dyskusji, albo szczytnie”. Towarzyszy temu moralna dyskredytacja na fali ujawniania przypadków nadużyć seksualnych. Nasila się przesłanie: „Kościół utracił moralny autorytet do pouczania kogokolwiek”. Dla konserwatywnych katolików przypomina to okres lat 50., kiedy to w Kościele niemieckim, belgijskim czy holenderskim poczucie nieczystego sumienia Kościołów, którym można było zarzucić zbytnią bierność wobec nazizmu, było punktem wyjścia do żądań „postępowych” zmian. Dzisiaj jest podobnie. Tyle że polityka ta zupełnie pomija refleksje nad skalą nieprawości na tle całego Kościoła.

Publicyści wzywający do kościelnego rachunku sumienia odpowiadają na to: „Choćby nawet był jeden przypadek skrzywdzenia ofiar, to powinien być on dla chrześcijan nie do zniesienia”. Takie stawianie sprawy znacznie utrudnia dyskusję nad kierunkiem zmian, bo stawia Kościół w roli penitenta, który musi teraz prosić o wybaczenie wszystkich. Skoro wszystkich, to także ludzi, którzy od lat znani są z chęci ograniczania wpływów Kościoła.

Papież Franciszek wzywając do synodu, zachęca do wsłuchiwanie się w głosy wszystkich chętnych do udziału w dyskusji o Kościele. Czyli tym samym nie tylko ludzi dobrej woli, lecz także tych, którzy spoza wspólnoty Kościoła pouczają go, jak ma się zmienić. A często po cichu marzą o jego marginalizacji. Jedną z ważnych nauk, która płynie z dotychczasowej dyskusji o synodzie, jest to, że nie udają się akcje, których wierni nie rozumieją albo które kojarzą z nieodmienną tendencją ateistów do pouczania wierzących w sprawie zasad ich wiary. W rezultacie, co dobrze widać

do tradycyjnego w Polsce szacunku dla autorytetu Stolicy Apostolskiej. Z drugiej strony coraz bardziej zdumiewające wypowiedzi papieża Franciszka wywołują niepokój u przeciwników przemeblowywania zasad wiary. Sytuację dodatkowo pogłębia dziwny stan paraliżu Episkopatu Polski, który nie bardzo potrafi przemawiać jednym głosem. Zmiany z 1992 r. zredukowały znaczenie urzędu prymasa Polski, a praktyka Konferencji Episkopatu nie dała przewodniczącemu KEP wystarczająco silnej władzy, aby stworzyć wrażenie jednego stanowiska wszystkich biskupów. To wszystko skła-

z polskiego punktu obserwacyjnego, Kościół w naszym kraju zaczyna bezrefleksyjnie dołączać się do aktualnych haseł polityki papieża Franciszka. Zaordynowano dyskusję synodu, choć nawet wielu biskupów, którzy odwiedzili niedawno Rzym w ramach wizyt „ad limina”, nie potrafiło zrozumieć, jak konkretnie wyglądać mają takie dyskusje.

Dla konserwatystów mało wiarygodnie brzmią papieskie wezwania do swobodnej dyskusji w sytuacji, gdy Franciszek działa autorytarnie, kiedy tylko jest to mu wygodne. Skoro uderzało to w konserwatystów, to liberalne media nie zająknęły się nawet, że papieskie motu proprio było przykładem braku chęci dyskusji.

Polskę dotyka też inne zjawisko, które wcześniej nie było tak dotkliwe. Chodzi o coraz częstsze orientowanie się niektórych biskupów na mody duszpasterskie papieża Franciszka – np. wręcz idealizację migrantów i unikanie niepokojących cech ostatniego naporu na polskie granice. Podobne zjawisko po raz pierwszy objawiło się na przełomie lat 60. i 70., gdy środowiska „Więzi” i „Tygodnika Powszechnego” naciskały na szybkie wprowadzanie zmian soborowych. W obu wypadkach Watykan stawał się czynnikiem wprowadzenia zmian, na które Polacy nie byli przygotowani. Ale wtedy zapędy te były łagodzone z jednej strony przez silną jednoosobową władzę prymasa Wyszyńskiego nad Kościołem, a z drugiej strony przez efekt żelaznej kurtyny, która osłabiała docieranie nad Wisłę najbardziej radykalnych „nowinek”. Fakt, że zbiegła się w latach 70. i 80. władza Jana Pawła II nad Kościołem z kryzysem komunizmu, spowodowała, że w Polsce konserwatywni katolicy nie widzieli żadnej sprzeczności ze specyfiką polską a polityką Rzymu.

Teraz jednak takie rozdziwki są coraz bardziej widoczne. Nie jest przypadkiem, że w żadnych mediach katolickich nie udało mi się zauważyć informacji, ile pieniędzy polscy wierni wrzucili do skarbonki zbiórki 21 listopada br. na rzecz emigrantów. Informacje, które oficjalnie dochodzą z episkopatu, wskazują, że apel o hojność wiernych został bez ostentacji, ale zignorowany. Ten cichy bunt mas katolickich jest dla polskiego episkopatu ostrzeżeniem, że mechaniczne wykonywanie gestów dobrze widzianych w Watykanie może zetknąć się z dezaprobatą wiernych. Jeśli w Kościele frakcja przyjaciół wpływowego kard. Konrada Krajewskiego zacznie obejmować kolejne

Czas pokazywał, że rzekomo absolutny triumf ideologii odrzucających Boga miał krótkie nogi

stolice arcybiskupie, to stan podziału w episkopacie może jeszcze narastać.

Całą sytuację wzmacnia jeszcze bierność wielu biskupów i bezczynne oczekiwanie na ścisłe instrukcje z Rzymu. Oczywiście można sobie dośpiewać, że do tego stanu rzeczy z chęcią włączają się liberalne media wychwalające modernizatorów i wyszydzaające „wsteczników”.

Nie tłumaczy to jednak, dlaczego w episkopacie nie może dojść nawet do częściowych dyskusji dotyczących prób wyjścia z impasu. Nikt nie odnosi się na przykład do trafnych uwag, że polskich diecezji jest za dużo i tym samym poziom nadmiernie namnożonych seminariów musi być kiepski. Skoro kandydatów do kapłaństwa jest znacząco mniej niż jeszcze 20 lat temu, to kształcić powinno ich parę seminariów, które zatrudniałyby wszystkich najlepszych wykładowców w polskim Kościele. Skoro ordynowanych księży jest także mniej, to lokalni biskupi powinni znajdować znacznie więcej czasu dla budowania ich formacji.

Kolejny problem to pęknięcie, które obejmować będzie media katolickie. Tysiące świeckich, którzy angażowali się w ich działalność, będą zmuszone do wyboru: albo konserwatywna wrażliwość „dołów”, albo uleganie modernistycznym tendencjom Watykanu. Już teraz w czasie sporu o migrację iluś zaangażowanych dziennikarzy świeckich i redaktorów naczelnych skarżyło się na rozdziew między tym, co oni sami myślą, i jakie są trendy, których źródłem jest nuncjatura. Albo w tej sytuacji biskupi będą potrafili mówić o swoich poglądach, albo polski Kościół zostanie zdominowany przez zwolenników świętego spokoju, którzy będą bez większego zaangażowania dostosowywać się do linii Watykanu. Wszystko to w warunkach tradycyjnego posłuszeństwa polskiego Kościoła wobec Stolicy Apostolskiej może tworzyć wewnętrzny konflikt, który dodatkowo jeszcze utrudni sytuację nad Wisłą.

JAK Z TEGO WYJŚĆ

Po pierwsze, polski Kościół musi mieć odwagę uczestniczyć w dyskusjach i prze-

stawiać swoje spojrzenie, nawet jeżeli ono nie będzie pasować do poglądów papieża Franciszka. Bo w kwestiach doktrynalnych mamy sytuację, w której prezentowanie swoich idei przez zwolenników zmian uważane jest jako ubogacanie Kościoła, a opór tradycjonalistów przed zmianami uważany jest jako bunt przeciwko papieżowi. Nie można ulegać takiej perswazji, która w dużej mierze lansowana jest przez przeciwników Kościoła. Po drugie, na nowo musi pojawić się zjawisko silnej katolickiej opinii publicznej. Naukowcy, prawnicy, intelektualści, którzy uważają się za ludzi wierzących, muszą nauczyć się samoorganizować i głosić swoje poglądy. Taktyką obozu liberalnego będzie używanie moralnego szantażu. Skoro polemizujecie z linią papieską, to jesteście heretykami, z którymi Kościół powinien rozprawić się twardą ręką.

I wreszcie podstawowy czynnik. Nie wolno dać się wpędzać w atmosferę paniki i ciągłego bicia się w piersi. Wymaga to ze strony Kościoła odwagi w wyjaśnieniu wszystkich ponurych tajemnic z przeszłości. Każdy przejaw odsuwania od siebie problemów z przeszłości kompromituje Kościół. Ale nie oznacza to, że teraz Kościół ma już wiecznie przepraszać za wszystko i unikać zajmowania kwestii cywilizacyjnych. Jak znaleźć właściwy ton między gotowością do naprawy dawnych grzechów a konsekwencją w obronie zasad naszej cywilizacji – będzie dylematem hierarchów przez najbliższe lata. Ale bez odwagi głoszenia swoich poglądów katolicyzm stanie się wymuszka.

Ostatni czynnik, który przypomina nam postać Jana Pawła II. W niezliczonych poprzednich epokach katolikom wydawało się, że najnowszy kryzys jest tak niszczący, że pozycja wiary będzie gwałtownie spadać. Tak było w czasach, gdy do Polski docierały wolnomyślicielskie powieści Woltera w XVIII w., tak było w XIX w., gdy na fali wznoszącej były scjentyzm i racjonalizm, i tak było w połowie XX w., gdy świat wydawał się należeć do komunizmu. A jednak zawsze znajdowali się wtedy ludzie, którzy ze spokojną pewnością siebie przestrzegali przed ślepą wiarą w komunizm lub nazizm. Czas pokazywał, że rzekomo absolutny triumf ideologii odrzucających Boga miał krótkie nogi. To właśnie tej spokojnej wiary i pewności siebie najbardziej dziś brakuje polskim katolikom. Odważnych biskupów i księży daj nam, Panie Boże.



Koncert Kolęd

**Magiczny koncert pełen kolęd
w Telewizji Republika!**

31.12.2021, godz. 19:00

Usłysz Państwo skrzypce o skali
ludzkiego głosu oraz harfę o niezwyklej
barwie. Wyjątkowe trio smyczkowe
zaaranżuje popularne kolędy,
wykorzystując skrzypce, altówkę i wiolonczelę.

Partner strategiczny:

Partner główny:

Partner:



ElektroOdzysk



FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIĘDŹ

budimex

CECHINI
MUSZYŃ

Pocztex

zabka



Z Józefem Orłem, filozofem, byłym posłem, twórcą Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac

Prawica już nie jest zjednoczona

KAROL GAC: Wiele się zmieniło od czasu naszej ostatniej rozmowy. Porozumienie znalazło się poza rządem, w efekcie czego powstał nowy układ w Zjednoczonej Prawicy. Czy był to jedyny możliwy ruch?

JÓZEF ORZEŁ: Efekty nie są dobre. PiS został sam z Solidarną Polską i Zbigniewowi Ziobrze łatwiej jest zyskiwać kolejne ustępstwa na rzecz budowania swojego imperium. Czy była alternatywa? Jarosław Gowin zapewne zmierzałby w kierunku wyjścia z koalicji, w dodatku stawiając warunki. Jarosław Kaczyński zaczął więc wyjmować ludzi Gowina, tworząc z tego partię Adama Bielana. Alternatywa: przyspieszone wybory, przed którymi przy układaniu list wyborczych Ziobro dostałby mniej, niż ma, oraz poszerzenie koalicji.

O kogo?

Są dwie partie, z którymi PiS może rozmawiać – PSL i SLD. Efekty rozmów z częścią SLD widzieliśmy, gdy SLD poparł Krajowy Plan Odbudowy. Nie wiadomo jednak, czy ta współpraca może wyjść poza taktyczne głosowania. Drugim partnerem jest PSL, w którym odbywają się wielokierunkowe ruchy. Na przykład jako szef Rady Naczelnej PSL wrócił Waldemar Pawlak, co może stworzyć pole do ewentualnych rozmów z PiS.

Jak pan ocenia postawę Jarosława Gowina? Lider Porozumienia zachowywał się tak, jakby liczył, że w końcu zostanie wyrzucony z rządu. Krytykował np. Polski Ład, pod którym się wcześniej podpisał.

Krytyka Polskiego Ładu nie była niesłuszna. Tyle tylko, że to ją mogą powiedzieć jako analityk. Gowin był koalicjantem, który najpierw go podpisał, a potem zaczął go krytykować. Jeżeli już, to powinien na niego wpływać przed jego uchwaleniem. Kariera Jarosława Gowina jako polityka jest skończona. Nie tylko dlatego, że inni nie będą mu wierzyć, lecz także dlatego, że nikt nie wie, czego Gowin chciał.

W miejsce Porozumienia weszły mniejsze partie, Paweł Kukiz oraz pojedynczy posłowie. Czy Zjednoczona Prawica jest teraz bardziej sterowana?

Mamy tu dwie kwestie: wewnętrzną sterowność PiS oraz układu koalicyjnego. Jeśli chodzi o tę drugą, to przy tych ambicjach Ziobry spada ona coraz bardziej. Moim zdaniem osiągnęła wartość krytyczną i prawica zjednoczona już

Prawo i Sprawiedliwość musi walczyć o utrzymanie pozycji partnera, który dyktuje warunki

nie jest. Co więcej, to PiS musi walczyć o utrzymanie pozycji partnera, który dyktuje warunki. Jedną z przyczyn słabej sterowności koalicji jest słaba sterowność w PiS. Jarosław Kaczyński ma absolutnie niekwestionowaną pozycję, ale jednocześnie nie panuje nad wszystkimi procesami, które mają miejsce. Niesłuchanie rosną rozdawanie stanowisk, nepotyzm i korupcja polityczna. Widać, że aparat PiS zaczął się obawiać przegrania kolejnych wyborów. Równolegle PiS stracił większość w Sejmie i musiał ją ekspresowo uzupełniać o posłów, z którymi zapewne by nie współpracował, gdyby nie musiał. Nawet jeśli większość da się utrzymać, to z dnia na dzień.

Przejdźmy do opozycji. Ostatnio powiedział pan, że powrót Donalda Tuska do polskiej polityki może być tym, co naruszy obecną równowagę. Tak się stało?

Na pewno nie jest to powrót rycerza na białym koniu. Tusk błyskawicznie opanował Platformę, ale już nie opozycję, a co dopiero całą scenę polityczną. I już nie opanuje. W PO nie było zbyt dużego oporu, ale ambicje wielu polityków Platformy pochowały się w partyjnych pudełkach i czekają, aż będą mogły wyskoczyć. Zobaczymy, czy Trzaskowski będzie kandydatem PO na prezydenta czy nie, ale Donald Tusk ma tu kłopot, bo sam nie może startować.

Dlaczego?

Straciłby kontrolę nad polityką i nie miałby wpływu organizacyjno-politycznego na PO. Tusk musi więc zostać kandydatem na premiera, a to oznacza konieczność opanowania całej opozycji. Wydaje się, że Donald Tusk nie wykonał tego zadania.

Nie jest pan zaskoczony powrotem Donalda Tuska? Mówi to samo, co Borys Budka i Grzegorz Schetyna – PiS jest złem. Niby więc Tusk wrócił, ale narracja pozostała ta sama.

To mnie bardzo dziwi, bo uważam Donalda Tuska za inteligentnego poli-

tyka. Wydaje się, że zwycięski program PO można dość prosto ułożyć – zachować ciągłość prospołecznej polityki PiS, wprowadzić prounijną postawę z domieszką ekologii oraz brak przesady w rewolucji obyczajowej i świetne relacje z Unią.

Byłaby w tym wiarygodna z Tuskiem na czele? W końcu jako premier podwyższył wiek emerytalny, a sama PO jeszcze niedawno krytykowała prospołeczne rozwiązania PiS.

Od strony narracyjnej dałoby się to łatwo zrobić. Wystarczy, że Tusk powiedziałby, iż był w Europie, widział, jak to funkcjonuje, a niektóre rozwiązania chciałby przenieść do nas. Dlaczego tak się nie stało? Prawdopodobnie nie miałby poparcia PO w takiej sprawie. Zdobyć władzę w partii było łatwo, ale przekonać ją do wyjścia z anti-PiS może być niemożliwe.

Czy PiS nie zabrnął w ślepy zaułek? Jeśli popatrzymy na problemy, z którymi muszą się zmierzyć rządzący, to mamy agresywną Rosję, spory z Unią Europejską i USA, zamrożone fundusze europejskie, wysoką inflację i pandemię. Jak to wszystko rozwiązać?

Sun Tzu w książce „Sztuka wojny” pokazuje sytuację rannego wojownika, przeciwko któremu występuje czterech zdrowych. Co powinien zrobić? Raczej nie walczyć, bo przegra od razu. Odpowiedź: uciekać. Jak będzie uciekał, to najpierw dogoni go ten najszybszy i zawsze są jakieś szanse na pokonanie go. Potem dogoni go kolejny, ale już trochę słabszy. I tak do końca. Problemy trzeba rozwiązywać po kolei, niekoniecznie atakując.

Główny problem to spór z UE i brak pieniędzy, ale nie tylko z Funduszu Odbudowy, lecz także z budżetu unijnego (770 mld zł). Polska bez nich nie upadnie, ale to już nie będzie Polska, która rośnie i się rozwija, a w dodatku nie będzie w niej rządził PiS – jeśli nie załatwi problemu funduszy z UE do wyborów. PiS ma jednak alternatywę.

Jaką?

Taką, że premier Mateusz Morawiecki zawrze jakąś ugodę z KE i pieniądze będą w drugiej połowie przyszłego roku. Ale to znaczy, że będzie niebezpiecznie blisko wyborów i pieniądze nie będą już bronią PiS, bo zwyczajnie nie zdążą, choć po prostu się nam należą. Obawiam się też, że wtedy to pieniądze zostaną przez KE podzielone na raty,

■ a przed przekazaniem kolejnej UE będzie stawiała nowe polityczne warunki.

Pytanie tylko, jak rozmawiać z Unią Europejską. Wydaje się, że bardzo często gra ona znaczącymi kartami. Ścieżka dialogu premiera Mateusza Morawieckiego nie przyniosła efektów, a twierdzi kurs pewnie jeszcze bardziej zaogni konflikt.

Gdyby przyjąć polityczną drogę awantury z Unią, proponowaną przez Ziobrę, to Rosjanie tylko na to czekają. Wówczas mamy faktyczny polexit. To nie jest tak, że trzeba nas wyrzucić z Unii. Wystarczy, że zostaniemy państwem drugiej prędkości, państwem unijnej szarej strefy – bez gwarancji bezpieczeństwa.

Przejdźmy do drugiego problemu, czyli do walki z pandemią. Z jednej strony widzimy, jaką politykę prowadzi Europa Zachodnia, z drugiej zaś Polska nie podejmuje tak radykalnych decyzji jak na Zachodzie. Jak pan na to patrzy?

Od początku epidemii mówiłem, że trzeba powołać dwie instytucje – pełnomocnika rządu ds. walki z pandemią w randze wicepremiera i Instytut Covidowy, który zająłby się rozpoznaniem tego, czym jest koronawirus i jak z nim walczyć. Mieliśmy wtedy sytuację, w której kierownik walki z pandemią nie byłby utożsamiany z PiS i byłby merytorycznie niezależny od rządu. Taki pełnomocnik mógłby prowadzić walkę racjonalnie i nie przejmowałby się elektoratem. To oczywiście niesłychanie uszczupliłoby władzę PiS i dlatego ten się na to nie zgodził. Anthony Fauci mylił się w USA nieustannie, ale ma taką pozycję, kieruje walką z pandemią i to na nim skupiają się negatywne emocje.

Mamy jednak sytuację inną.

PiS balansuje i raczej wybiera korzyść polityczną, ponieważ jest dowodzony politycznie. Balans się może załamać w sytuacji, w której po raz drugi i na dłużej dojdzie do takiego kryzysu w szpitalach, który rok temu mieliśmy (krótko) na jesieni. Będzie wtedy radykalnie ograniczona możliwość leczenia ludzi na inne choroby, czyli będziemy mieli jeszcze większą liczbę nadmiarowych zgonów. To dramat i powód, dla którego można przegrać wybory.

Tylko czy Polacy w ogóle postrzegają pandemię i sposób walki z nią w sposób polityczny? Czy nie jest też trochę tak, że uważamy ją po prostu za chorobę, z którą nikt nie potrafi walczyć, a wobec tego nie wpływa to na preferencje polityczne?

Ma pan w zupełności rację, dlatego też pandemia jest zarządzana politycznie,

PiS dał ludziom tyle pieniędzy w tarczach antykryzysowych, że nic dziwnego, iż inflacja jest wyższa niż w innych krajach

a nie merytorycznie, bo ludzie nie zwracają na to specjalnie uwagi. Natomiast problem polega na tym, że w kampanii wyborczej, przy dużym natężeniu emocji, będzie tak, że nieduża część elektoratu, ale wystarczająca, żeby przechylić szalę na drugą stronę, będzie kwestie zarazy traktować politycznie. I to wystarczy, bo będą to bardzo spolaryzowane wybory.

Idźmy zatem w stronę rosyjskiego niedźwiedzia. Mamy konflikt przy granicy polsko-białoruskiej oraz wzrost napięcia na Wschodzie. Jak pan ocenia wszystko to, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach?

Kryzys graniczny jest tylko ubocznym produktem strategii rosyjskiej. Chodzi w nim o sprawdzenie spójności państwa i społeczeństwa. W pierwszej sprawie Rosja z Białorusią przegrały, bo państwo okazało się działać efektywnie, ale osiągnęły sukces w punkcie drugim.

Rosja nie chce Związku Sowieckiego 2.0, tylko Rosji imperialnej i gracza, który będzie siedział przy tym samym stole co USA, Chiny oraz Unia Europejska. Dla Zachodu kluczową rzeczą jest konflikt z Ukrainą, ale Rosji chodzi o to, żeby nie prowadząc żadnej inwazji, dostać takie ustępstwa ze strony Zachodu, które pozwalają na przesuwanie granicy strefy wpływów. Chodzi o elastyczne negocjacje ze światem, aby Rosja przy tym stole miała coraz większe krzesło. Ale w tym ukrywa się strach Rosji, która nie ma żadnych szans w konkurencji z Chinami i która wie, że prędzej czy później to Chiny będą zjadać Rosję od wschodu. Dlatego ta chce swoją strefę wpływów przesunąć na zachód.

Ostatnim problemem jest gospodarka. Borykamy się z wysoką inflacją, którą odczuwają Polacy każdego dnia. Może to jest najpilniejszy problem rządu?

Jeśli dajemy ludziom pieniądze, to jest ich więcej na rynku. PiS dał ich tyle w tarczach antykryzysowych, że nic dziwnego, iż inflacja jest wyższa niż w innych krajach. Co można zrobić? Powoli oraz bardzo starannie

i spokojnie podnosić stopy procentowe. Chodzi o to, żeby nie zatrzymać rozwoju Polski, który zależy od aktywności milionów Polaków. Ważne więc, by stopy procentowe nie utrudniały im działalności, a Polska ciągle była jednym z krajów Unii z najszybszym rozwojem. To może być kiedyś najważniejszy argument za pozycją Polski w Unii Europejskiej.

Który z tych czterech problemów – wojowników u Sun Tzu – będzie tym najszybszym?

Inflacja, także przez ogromną kampanię mediów opozycyjnych. Natomiast najgroźniejszy jest konflikt z Unią Europejską wraz z groźbą utraty pieniędzy (albo groźbą pieniędzy za suwerenność).

Tymczasem PiS na koniec roku odgrał konflikt o TVN. Sejm na ostatnim posiedzeniu odrzucił weto Senatu w sprawie nowelizacji ustawy medialnej, a ustawa trafiła już na biurko prezydenta. Opozycja domaga się od niego weta, a w tle mamy relacje z USA. Po co to wszystko?

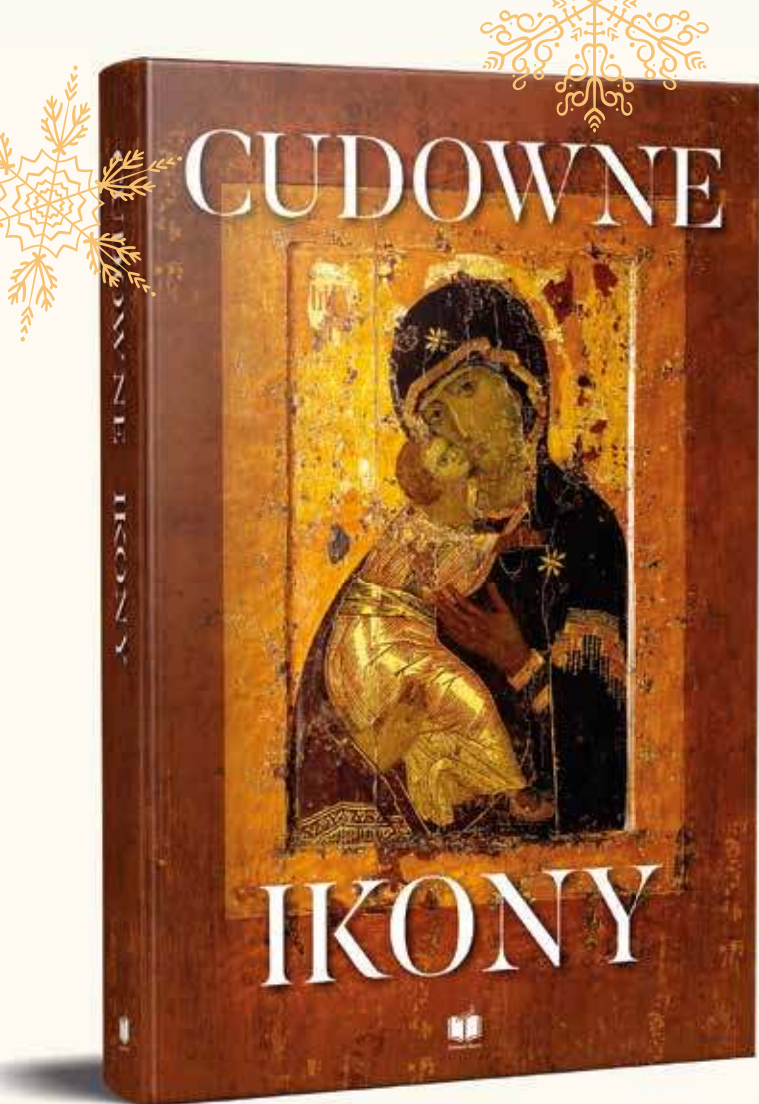
PiS wykorzystał to, że układ właścicielski w TVN nie jest zgodny z prawem – większość kapitału należy do Amerykanów. Problem w tym, że to prawo jest nonsensowne – traktuje biznes z USA jak przeciwnika politycznego. A co by z USA się działo, jest i będzie naszym sojusznikiem militarnym i geopolitycznym – na razie coraz bardziej trudnym, nietraktującym Polski jako partnera. Innego jednak nie mamy, bo UE nie jest mocarstwem. PiS więc straszy Amerykanów utratą prawa do kierowania TVN. W dodatku tylko straszy, bo USA sobie z tym problemem poradzą. A PiS tworzy wrażenie, że nie jest za wolnością mediów, a więc i za wolnością mediów antypisowskich.

TVN24 na narracji (wyłącznie) antypisowskiej zbudował swój biznes i publiczność. Tego się nie da zmienić na drodze administracyjnej czy prawnej. TVN24 przetrwa i nadal – wobec słabości opozycji – będzie odgrywał główną rolę filaru obozu antypisowskiego. A USA, chcąc czy nie chcąc, będą zawsze jego obrońcą.

Rozmawiamy na przełomie roku, co zawsze skłania do refleksji, ale i wybiegania w przyszłość. Patrzy pan na nią z optymizmem?

Bardzo dużo zależy od jakości kierowania państwem. Byłbym optymistą, gdyby para, która będzie nim dowodziła, nazywała się Kaczyński-Morawiecki, a skłaniałbym się ku pesymizmowi, gdyby była to para Kaczyński-Ziobro.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

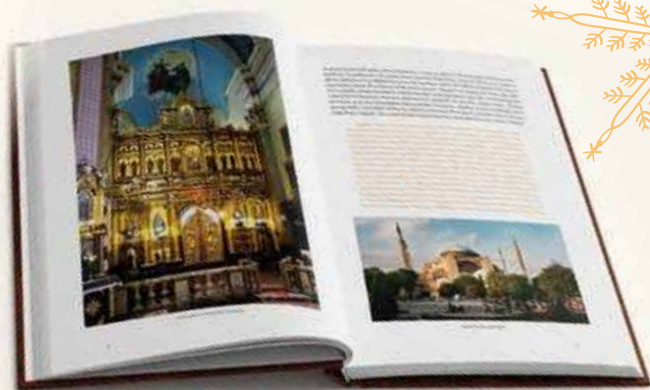


Barwne ilustracje cudownych ikon!

Opowieści o cudach!

Mamy tu przedstawioną historię ikonopisarstwa, najważniejsze rodzaje i techniki pisania ikon. Omówiono też znaczenie symboli i atrybutów przedstawionych na ikonach, ich kolorystykę symbolikę wykorzystanych barw, kanon ikonograficzny, najsłynniejsze szkoły pisania ikon oraz ich największych twórców. W książce znajdziemy szczegółowe opisy najsłynniejszych cudownych ikon oraz związanych z nimi niezwykłych zjawisk – *mirotoczenia*, samoodnawiania (czyli samoczynnego odnawiania się ikon), upomnień, przepowiedni, ozdrowień. Niektóre ikony wslawiły się uchronieniem całych miast przed epidemią, kataklizmem czy działaniami wojennymi, które to wydarzenia również zostały opisane w tej publikacji.

Dzieło wzbogacono też o słownik terminów technicznych dotyczących sztuki pisania ikon i ich historii.



Wiera Kulikowa (red.)

Cudowne ikony

AROMAT SŁOWA, 24x33, s. 160, twarda, kolorowe ilustracje

Wspaniała monografia przedstawiająca najsłynniejsze ikony – cudowne nie tylko ze względu na ich wielką artystyczną i duchową wartość, ale przede wszystkim na związane z nimi nadzwyczajne, niewytłumaczalne zjawiska, ze szczególnym uwzględnieniem tzw. *mirotoczenia* – wydzielania przez ikony cudownego oleju (*miro*), niejednokrotnie posiadającego ozdrowiające właściwości.



Zadziwiający jest fakt, że w naszych czasach zjawisko *mirotoczenia* stało się niemal masowe. Ikony płaczą, wydzielają przyjemną woń i krwawią. Przypadków *mirotoczenia* jest dziś tak wiele, że przy Patriarchacie Moskiewskim powołano specjalną komisję zajmującą się badaniem owych cudownych znaków, i to z pomocą specjalistów z kręgu nauk ścisłych i przy wykorzystaniu najnowszych metod, którymi posługują się te nauki.

Dzieło można zamówić w księgarni internetowej: www.Religijna.pl lub pod numerem tel. 12 345 42 00



Kamila Baranowska

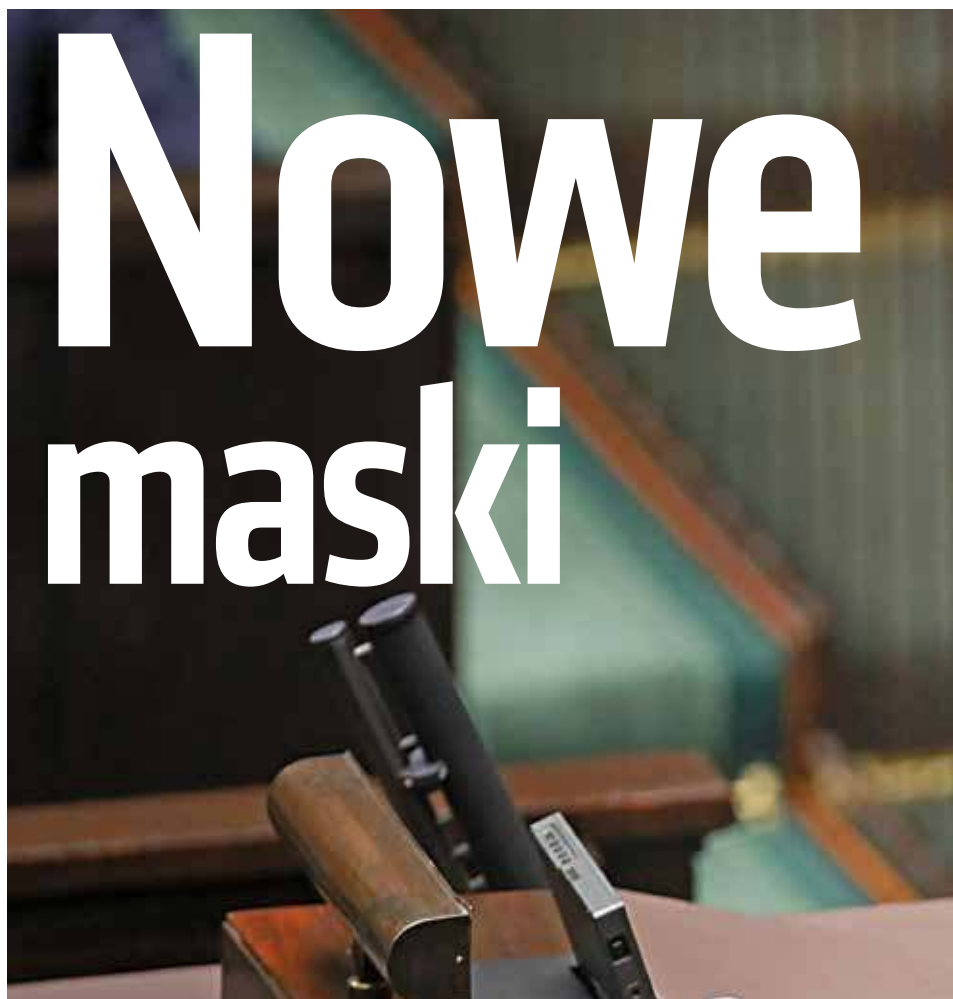
W polityce mnóstwo jest ludzi, którzy wchodzili do niej, ciesząc się powszechnym autorytetem. Takich, którzy mieli łączyć, a nie dzielić. Dlaczego tak szybko zamieniają się w partyjny beton?

Niedawno w „Do Rzeczy” opisywaliśmy przypadek Janiny Ochojskiej, znanej działaczki społecznej, założycielki Polskiej Akcji Humanitarnej, która w 2019 r. postanowiła kandydować do Parlamentu Europejskiego. Do tamtego momentu była jedną z niewielu osób, które swoją działalnością budziły szacunek u większości osób, niezależnie od poglądów politycznych. Wydawało się, że z takim kapitałem ma szansę zrobić coś, co nie udaje się większości polityków – próbować zasypywać podziały. Nic z tego. Szybko okazało się bowiem, że Ochojska mimo deklaracji, że „nigdy nie chciała być politykiem”, stała się nim w 100 proc. Jej publiczne wypowiedzi są agresywne i przekracza w nich kolejne granice. Ostatnio zaszokowała wszystkich porównaniem Straży Granicznej do „niemieckich i sowieckich katów”. Od tygodni aktywnie komentuje sytuację na granicy polsko-białoruskiej. Krytykuje wszystko, co robi polski rząd, apeluje o pomoc migrantom, nie dostrzegając zupełnie odpowiedzialności reżimu Łukaszenki za całą tę sytuację.

Ochojska jest najlepszym przykładem tego, jak w krótkim czasie stracić autorytet wśród całkiem sporej części społeczeństwa. Ale nie jedynym. Do polityki często trafiali ludzie, wobec których oczekiwania były większe niż wobec pozostałych ze względu na ich osiągnięcia, życiorysy, tytuły naukowe, doświadczenie życiowe. I równie często nadzieje, że wniosą do życia publicznego coś pozytywnego, okazywały się, niestety, płonne.

GRODZKI, GDULA I INNI

Iwona Hartwich dała się poznać opinii publicznej jako pełna poświęcenia matka niepełnosprawnego syna, walcząca jak lwica o godne życie dla rodzin i opiekunów osób niepełnosprawnych. Była



nieformalną liderką obu strajków w Sejmie – w latach 2014 i w 2018. Rok po tym ostatnim dostała propozycję startu w wyborach z list Koalicji Obywatelskiej. Do wyborów szła z obietnicą walki o prawa osób z niepełnosprawnościami. Gdy została posłanką, zaczęła grać wedle partyjnych reguł. Szybko zrozumiała, że aby zaistnieć, trzeba mówić ostro i atakować przeciwnika w każdy możliwy sposób i pod każdym możliwym pretekstem. „Korea Północna” – tak na przykład skomentowała zdalne wykonanie hymnu narodowego na konwencji Andrzeja Dudy. „Gdzie jest pierwsza dama, która powinna stać po stronie kobiet? Nigdy nie stała i nie będzie!” – atakowała w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Pod adresem Mateusza Morawieckiego i Michała Dworczyka krzyczała zaś w Sejmie: „Dlaczego pan kłamie?!”, tarasując im przejście i wdając się w przepychanki. Hartwich całkiem dobrze kombinuje – im będzie o niej i o jej akcjach czy kontrowersyjnych słowach głośniejsze, tym większa popularność i szansa na poselski mandat w kolejnej kadencji.

Z zupełnie innym kapitałem – naukowym – wchodził do polityki Maciej Gdula, jeden z rozsądniejszych socjologów i autorów w środowisku „Krytyki Politycznej”, o którym zrobiło się głośno, gdy po wyborach z 2015 r. zaczął analizować sukces wyborczy PiS w małych miasteczkach. Był współtwórcą Wiosny Roberta Biedronia i wielu zadziwił sam fakt jego zaangażowania w politykę. Później przyszło zadziwienie stylem, w którym postanowił w tej polityce zaistnieć. „Socjolog na wojennej ścieżce” – pisał o nim w „Do Rzeczy” Piotr Semka, zarzucając, że przybiera „pozę politycznego zagończyka, szokującego agresywnymi i wyzywającymi wypowiedziami”. Gdula pisał na przykład o tym, że „Polacy zamordowali w czasie wojny 200 tys. Żydów”, powtarzając kłamstwa autora „Sąsiadów” Jana Grabowskiego. „Tylko 38 proc. wiernych bierze udział w niedzielnych mszach. Czy sądzicie, że można ich nazywać zboczeńcami?” – pisał na Twitterze, wiedząc, że wywoła skandal, by następnie tłumaczyć się, iż tylko parafrazował ministra edukacji Przemysława Czarnecka i jego opinie na temat Parady Równości.



Maciej Gdula wchodził do polityki z kapitałem naukowym. Potem pisał np., że „Polacy zamordowali w czasie wojny 200 tys. Żydów” FOT. ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

„Mówią wandalizm, ja widzę desperację” – próbował bronić aktu wandalizmu, którym było wymalowanie sprayem elewacji budynku MEN przez uczestników Strajku Kobiet. „Chcą torturować, ale ich czas u władzy jest policzony. Wspierajmy się!” – komentował z kolei wyrok TK w sprawie aborcji. „Będziesz przeklęty, Prezisie” – pisał jeszcze później. I pomyśleć, że kiedy wchodził do polityki, uznawany był za merytorycznego i wyważonego eksperta, który miał firmować zwrot lewicy ku sprawom społecznym.

Postacią, która miała wnieść powiew świeżości do Senatu, wydawał się także szanowany lekarz z tytułem profesorskim i doświadczeniem, czyli Tomasz Grodzki. Gdy w wyniku politycznych układank po stronie opozycji przypadła mu w udziale funkcja marszałka Senatu, wierzył, że w polityce może osiągnąć wiele. I z lekarza stał się pełnowymiarowym politykiem. Z coraz większymi ambicjami, coraz ostrzejszym językiem i determinacją, by znaczyć więcej.

Ochojska, Hartwich, Grodzki czy Gdula to nazwiska (i rozczarowania) nowe

w polityce. Są jednak i takie, obecne w polityce od dawna, które po latach budzą zaskoczenie zmianą zachowania. Niegdyś zaliczani do polityków koncyliacyjnych, wyważonych i skupiających się na merytoryce, a nie personalnych potyczkach i atakach, nagle stają się własnym przeciwieństwem. Atakują w sposób głośny, ostry i bezpośredni. Taki zawód sprawił m.in. Paweł Kowal, o którym jego dawni koledzy z PiS mówią, że „ma syndrom neofity i po tym, jak znalazł się w Platformie, musi się ciągle uwiarygadniać, że nic z PiS-iora w nim nie zostało”. To także przypadek Tomasza Siemoniaka, byłego szefa MON w rządzie Platformy. To polityk, który jako jeden z niewielu potrafi pochwalić swoich przeciwników za dobre pomysły czy słuszne oceny, co czyni go ewenementem. Niestety, nie chcąc podpaść twardemu elektoratowi opozycyjnemu, musi też bywać agresywny i ostry w swoich komentarzach. Zapamiętał dobrze, jak wyborcy Platformy ocenili jego obecność na urodzinach u Roberta Mazurka, gdzie został sfotografowany z politykami prawy.

PiS też ma swoich polityków, którzy w polityce „nie biorą jeńców”, a którzy wchodząc do polityki, wydawali się być całkiem inni. Najlepszym przykładem jest prof. Krystyna Pawłowicz, którą studenci wspominają jako świetnego wykładowcę – bardzo merytorycznego i z ogromną prawniczą wiedzą. U prof. Pawłowicz polityka wyzwoliła emocje, którymi zaskoczeni są ci, którzy znali ją wcześniej. Ostрым językiem i nie zawsze przemyślanymi komentarzami Pawłowicz często szkodzi sobie, zwłaszcza teraz, gdy została członkiem Trybunału Konstytucyjnego. Kilka razy obiecywała rezygnację z mediów społecznościowych, słowa jednak nie dotrzymała.

TO IDZIE MŁODOŚĆ

Największym mitem polskiej polityki okazało się przekonanie, że jej oblicze odmieni młode pokolenie. Patrząc na to, jaką jakość prezentuje młody narybek w partiach, trudno o optymizm. Klaudia Jachira i Franek Sterczewski z Koalicji Obywatelskiej czy Dominik Tarczyński, Kamil Bortniczuk albo Łukasz Mejza (reprezentują dziś Zjednoczoną Prawicę), o niektórych posłach Konfederacji nawet nie wspominając, pokazując, że młodzi w polityce oznaczają jeszcze większą jej infantyлизację i degenerację. Jeśli dodamy do tego chęć zaistnienia za wszelką cenę, czemu służyć mają kontrowersyjne wpisy i komentarze, oraz autopromocję jako cel nadrzędny swojej obecności w Sejmie, to skutek może być tylko jeden – miało być lepiej, a jest tak samo, tylko głupiej. Niestety.

Kiedys jeden z polityków, zasiadających w parlamencie od wielu lat, zapytany przeze mnie w kuliarowej rozmowie, dlaczego zamieszcza komentarze, które tak bardzo nie pasują do jego dotychczasowego spokojnego i merytorycznego wizerunku, odparł, że polityka się radykalizuje, więc politycy też muszą, bo inaczej wypadną z obiegu – przestaną być cytowani, zapraszani i w efekcie staną się dla wyborców anonimowi. A to z punktu widzenia każdego polityka z aspiracjami największe niebezpieczeństwo. Tłumaczył też, że po części to wina mediów, bo ci wyważeni politycy, uznawani za nudnych i nijakich, gorzej się sprzedają i są rzadziej zapraszani do telewizji czy udzielania wywiadów. Pytanie, czy aby na pewno ściganie się na radykalizm (i infantyлизizm przy okazji) z taką Klaudią Jachirą wychodzi politykom i partiom, które reprezentują, na dobre?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zwichrowany świecznik

W kwietniu podlaska policja zatrzymała kierowcę. Okazał się nim znany prezenter telewizyjny, obecnie jeden z prowadzących „Fakty” TVN – Piotr Kraśko. Widocznie tym razem medialna rozpoznawalność nie pomogła, bo policjanci sięgnęli do bazy danych. No i dowiedzieli się, że Kraśko sześć lat temu stracił uprawnienia do kierowania. Popęłiał tyle wykroczeń na drodze, że przekroczył dopuszczalną liczbę punktów karnych [24 punkty – przyp. red.] i zgodnie z administracyjną procedurą starosta odebrał mu prawo do prowadzenia pojazdów.

Prezenter „Faktów” nie wyszedł wtedy do mediów, nie napisał nic w social mediach i nie ubolewał nad własnym postępowaniem. Zrobił to dopiero, gdy całkiem niedawno całą sprawę ujawnił „Super Express”. Kraśko został bowiem już skazany przez sąd. Tu warto przypomnieć, że prowadzenie pojazdów, gdy się nigdy nie miało prawa jazdy, jest wykroczeniem. Jednak wsiadanie za kierownicę, gdy się utraciło uprawnienia lub gdy sąd zakazał prowadzenia pojazdów, to już przestępstwo opisane w Kodeksie karnym.

Od 2015 r. Kraśko nieraz wsiadał za kierownicę. Jest na to mnóstwo dowodów, bo brylował w plotkarskich serwisach. Z rozmysłem więc przez wiele lat dopuszczał się przestępstwa – prowadził samochód, choć nasz społeczny system uznał go za niebezpiecznego dla innych na drogach i nakazał sprawdzić, czy nadaje się do prowadzenia pojazdów na kolejnym egzaminie państwowym. Sąd skazał go za to na... rok zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych i 7,5 tys. zł grzywny.

To wtedy Kraśko nagle zrozumiał, że musi się podzielić ze społeczeństwem własną skruchą. Na Instagramie zamieścił zdjęcie z zafazowanymi oczyma i przeprosił fanów. Jednak jak to zwykle w tych sytuacjach u celebrytów bywa, uniknął napisania, że to on zrobił coś złego. Użył bezosobowej formy: „Prowadzenie samochodu bez prawa jazdy nigdy nie powinno się wydarzyć i jakiegokolwiek usprawiedliwienia tego nie zmienią”. Zaznaczył też, że poniósł konsekwencje prawne, jakby to miało być już formą odkupienia. No i przeprosił.

FRONT OBRONY „GWIAZD”

Na Instagramie Kraśki natychmiast pojawiła się lawina komentarzy, które



Łukasz Zboralski

Nie wiadomo, co jest straszniejsze – to, że polscy celebryci jeżdżą samochodami po pijanemu lub bez prawa jazdy, czy to, że po takich wypadkach wciąż słyszą głosy wsparcia



Piotr Kraśko stracił prawo jazdy, ale dalej prowadził samochód. Za to przestępstwo skazał go teraz sąd. FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

muszą zdziwić. Wiele osób nie tylko nie potępiło popełniania przestępstwa, lecz także dawało do zrozumienia, że uważa, iż nic wielkiego się nie stało. Że przecież „każdemu się może zdarzyć”.

Tak pisali ludzie, którzy mogli być po prostu zapatrzeni w swoją „gwiazdę” z mediów. Jednak – o zgrozo! – nie tylko oni. Natychmiast tę sprawę na Twitterze skomentował prawnik i były wicepremier Roman Giertych. „Odczepcie się od Kraśki! To jego prywatna sprawa. Nikomu krzywdy nie zrobił. Poniósł przewidzianą prawem karę i tyle. Każdego, kto w tej sprawie ma inne zdanie, zachęcam do wyrażenia go. Ban murowany” – napisał.

Jeszcze bardziej zdumiewające słowa powiedział w obronie kolegi z mediów znany publicysta Jacek Żakowski. „W Polsce mamy populistyczną nagonkę na elity profesjonalne – lekarzy, prawników, dziennikarzy. To jedno z największych zagrożeń publicznych” – powiedział Żakowski o sprawie Kraśki portalowi Wirtualnedia.pl. Przekonywał, że pracownik TVN, „jeżdżąc z prawem jazdy, jest tak samo świetnym dziennikarzem jak bez prawa jazdy”. Stwierdził, że za przestępstwo nie powinien ponosić zawodowych konsekwencji. I wytłumaczył dlaczego: „Wybitni, utalentowani ludzie jak Piotr Kraśko są skarbem publicznym. Nie ma wielu takich. Jeśli będziemy marnowali ich pochopnie, to skazemy się na beztalencja i sami się ukarzymy”.

Jednak i to nie było jeszcze najbardziej kuriozalnym komentarzem. Głos w sprawie zabrał bowiem Piotr Czarnowski – twórca pierwszej polskiej firmy PR, współzałożyciel Polskiego Stowarzyszenia Public Relations i współtwórca polskiego Kodeksu Etyki PR, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla komunikacji. „Jeżdżenie bez prawa jazdy, wprawdzie nielegalne, ale już dawno przestało być naganne, a w niektórych środowiskach należy wręcz do właściwego stylu – powiedział Czarnowski portalowi Wirtualnedia.pl. I uznał, że właśnie dlatego ta sprawa nie będzie miała większego wpływu na wizerunek gwiazdy TVN.

„SIĘ WYDARZYŁO”

Nie sposób zauważyć, że nie tylko Kraśko zachował się właśnie w ten sposób, gdy wyszło na jaw, że prywatnie nie trzyma się reguł polskiego prawa. Nie



Beata Kozidrak tłumaczyła, że jest gotowa ponieść karę za jazdę po pijanemu. Jednak jej obrońca złożył odwołanie od wyroku

FOT. RADOŚLAW NAWROCKI/FORUM

inaczej było z wokalistką Bajmu. Przypomnijmy – cztery miesiące temu zdumieni mieszkańcy Warszawy zawiadomili policję o tym, że kierowca bmw jeździ po mieście od krawężnika do krawężnika. Za kółkiem patrol napotkał Beatę Kozidrak. Wydmuchała dwa promile w policyjny alkomat, czyli jeździła samochodem kompletnie pijana.

„Kochani, przepraszam wszystkich. Wiem, że Was zawiodłam. Z całego serca żałuję tego, co się wczoraj wydarzyło. Bardzo się tego wstydzę. Wiem, że muszę ponieść konsekwencje tego, co się stało. Jestem na to gotowa” – napisała Kozidrak na Facebooku po tym, jak przyłapanie przez policję ujawniły media. Tak jak w przypadku Kraśki zwraca uwagę bezosobowa forma dotycząca popełnienia przestępstwa. W przypadku Kozidrak to „się wczoraj wydarzyło”.

Sprawa trafiła do sądu, bo prowadzenie samochodu, gdy ma się w organizmie ponad pół promila, to przestępstwo. Sąd Rejonowy Warszawa-Mokotów wobec celebrytki wydał wyrok nakazowy, bez rozprawy. Nakazał jej zapłacić 10 tys. zł grzywny na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej – czyli kwotę równie niewielką jak Kraśce, bo nawiązka w przypadku Kozidrak mogła wynieść od 5 tys. zł do 60 tys. zł. Wokalistka dostała też zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na pięć lat. W jej przypadku sąd uznał również, że właściwe będą prace społeczne. Nakazał jej ich wykonywanie przez 20 godzin.

Adwokat gwiazdy estrady mec. Marcin Mamiński złożył odwołanie od wyroku nakazowego. Dlaczego? Bo – jak tłumaczył w mediach obrońca – „kara jest zbyt

surowa”. Przy okazji – nie odmawiając Kozidrak, jak każdemu, prawa do obrony w sądzie – trudno jednak nie zauważyć, że jej facebookowa ekspiacja nie była szczerą. Okazało się przecież, że nie jest gotowa ponieść kary zaproponowanej przez sąd.

Justyna Steczkowska zamieściła na Instagramie zdjęcie z Kozidrak i zaapelowała: „[...] proszę Was Kochani o wyzbycie się wszelkich ocen. Każdy z nas ma swoje trudne lekcje w życiu i nie nam je oceniać”.

DŁUGA LISTA

Kraśko i Kozidrak to tylko dwie osoby ze świecznika, które w ostatnim czasie mocno rozczarowały swoją postawą.

Tuż za pijaną Kozidrak rozbijającą się bmw po Warszawie wpadła inna znana postać – tym razem ze świata sportu. Maciej Szczesny, były bramkarz reprezentacji Polski w piłkę nożną i komentator TVP Sport został w październiku zatrzymany nad ranem w Alejach Jerozolimskich w Warszawie przez patrol drogówki. Wydmuchał 0,6 promila. I tu warto zauważyć, że publiczna telewizja od razu go zawiesiła. – Zero tolerancji dla ludzi, którzy siadają za kółko pod wpływem alkoholu – tłumaczył tę decyzję portalowi Wszelkie.com Marek Szkolnikowski, dyrektor TVP Sport.

W ubiegłym tygodniu Szczesny miał już usłyszeć wyrok w swojej sprawie. Jak podał na Twitterze Konrad Mazur z portalu Meczyki.pl, Szczesny dostał zakaz prowadzenia pojazdów przez trzy lata. Musi też zapłacić 5 tys. zł nawiązki. Dodatkowo sąd nakazał mu odbyć 60 godzin prac społecznych.

A przed nimi prawo jazdy po pijanemu (niektórzy po użyciu alkoholu, inni w stanie nietrzeźwości) traciła cała plejada ze świata telewizji czy sportu: Borys Szyc, Ilona Felicjańska, Joanna Liszowska, śp. Kamil Durczok, Renata Dancewicz, Tomasz Stockinger, Daniel Olbrychski, Rafał Olbrychski, Ewa Farna, Michał Żewłakow, Witold Dębicki, Katarzyna Figura, Bohdan Łazuka...

A gdyby wziąć pod uwagę tych, którzy łamali prawo w innych sprawach, lista ta mocno się wydłuży. Znalazła by się tam wówczas np. Krystyna Janda, która kilka lat temu publicznie wyznawała, że straciła prawo jazdy, bo oszukiwała i wykroczenia synów zarejestrowane przez fotoradary brała na siebie – bo tak jej kazało „serce matki”.

Tata w praktyce



Agnieszka Niewińska

Już nie siedem minut, a dwie godziny dziennie – średnio tyle czasu polski ojciec poświęca swoim dzieciom. W modelu ojcostwa doszło w ostatnich dekadach do kolosalnej zmiany



Dzisiaj mam etat szofera, już siedem razy byłem w szkole. Akurat jestem na zwolnieniu, opiekuję się chorym trzylatkiem. Budujemy z klocków Lego, zaraz będziemy robić naleśniki. Takie dostałem dziś zamówienie – opowiada Paweł Chodkiewicz, ojciec trojga dzieci. – Jak wygląda współczesne ojcostwo? Mam trzech synów, więc powiedziałbym, że to pole walki – śmieje się. I zaraz dodaje, że współczesny ojciec jest bardziej zaangażowany w wychowanie dzieci i obowiązki domowe, niż było to jeszcze dwie, trzy dekady temu. – W pokoleniu moich rodziców częstszy był podział ról: kobieta zajmowała się domem, mężczyzna zarabiał na utrzymanie. Dziś kobiety rozwijają się zawodowo, często nawet z większym sukcesem niż mężczyźni. Obowiązkami domowymi i rodzicielskimi

po prostu trzeba się podzielić. Tak jest w mojej rodzinie i w wielu innych. Nikogo już nie dziwi widok ojca z dzieckiem na placu zabaw, jak to było jeszcze w pokoleniu moich rodziców – zaznacza.

Z WÓZKIEM NIE TYLKO ZŁOMIARZ

Większe zaangażowanie ojców w wychowanie i opiekę nad dziećmi potwierdzają badania. W grudniu wyniki ankiety na reprezentatywnej próbie ponad 2 tys. osób zaprezentowała społeczność ojców Tato.Net rozwijana przez Fundację Cyryla i Metodego. Z danych zamieszczonych w raporcie STATO'21 „Czas na tatę” wynika, że 70 proc. ojców spędza ze swoimi dziećmi blisko dwie godziny dziennie.

– Co więcej, ten fakt potwierdza badanie opinii matek dzieci, choć ich zdaniem

ten czas jest nieco krótszy, niż widzą to sami ojcowie – mówi dr Dariusz Cupiał, pomysłodawca Tato.Net. Nie ma jednak wątpliwości, że dokonała się kolosalna zmiana. – Kiedy 17 lat temu powstał serwis internetowy www.tato.net i rozpoczęliśmy monitoring funkcjonowania wzorców i praktyk ojcowskich, ówczesne badania wskazywały, że statystyczny ojciec poświęcał swojemu dziecku siedem minut dziennie, czyli czas tylko nieco dłuższy niż potrzebny na wypalenie papierosa. To było porażające – mówi dr Cupiał. Jeden z uczestników I Forum Tato.Net stwierdził wtedy, że jeśli na ulicy widać mężczyznę z wózkiem, to zapewne jest to złomiarz. Zaczęliśmy poprzez różne kampanie społeczne pobudzać ojców do aktywności. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Wystarczy wyjść

w którym wyrażanie emocji jest nie tylko uprawnione, lecz także wręcz pożądane – wskazuje socjolog.

SPACERY, PLANSZÓWKI, POMOC W LEKCJACH

Z badania STATO'21 wynika, że ojcowie najczęściej spędzają z dziećmi czas na świeżym powietrzu (45,4 proc.), bawią się (43 proc.), grają w gry planszowe, układają puzzle i klocki (38,1 proc.), oglądają filmy, grają w gry wideo (34,5 proc.), pomagają w nauce i odrabianiu lekcji (32,5 proc.). 12,2 proc. ojców wskazywało, że uczy dzieci majsterkowania albo jazdy samochodem.

Dariusz Cupiał podkreśla, że znaczenie ma nie tylko długość czasu spędzania z dziećmi, lecz także jego jakość, czyli zagospodarowanie. – Niejednemu tacie twórcze zaprojektowanie czasu z dzieckiem sprawia problemy, dlatego społeczność Tato.Net oferuje narzędzia dla ojców, którzy chcą się rozwijać, podnosić swoje kwalifikacje i świadomość. Udostępniamy je w internetowej czytelnicy i księgarni Tato.Net. Zachęcamy też do tego, by dołączać do małych grup inspiracji i rozwoju – lokalnych Ojcowskich Klubów lub tworzyć nowe. W Ojcowskich Klubach mężczyźni inspirowują się nawzajem, wymieniają doświadczeniami i wspierają. Tworzą też i realizują indywidualne „TatoPlany” do bycia coraz lepszym i spełnionym tatą.

Paweł Chodkiewicz przyznaje, że stara się nie tyle być obecny w domu, ile w wartościowy sposób spędzać z dziećmi czas. – Nie jest to łatwe w epoce komputerów, Internetu i smartfonów, ale co jakiś czas robimy z dziećmi detoks i spędzamy dzień off-line – na powietrzu, grając w planszówki, rozmawiając. Od razu okazuje się, że czasu jest dużo więcej – mówi Chodkiewicz. I dodaje, że w ojcostwie stara się doskonalić. – Kiedy byłem dzieckiem, tata był obecny w domu, miał swoje męskie obowiązki, takie jak np. domowe naprawy. Jeśli gdzieś mnie zabierał, to raczej do pomocy np. przy pracach, które trzeba było wykonać u babci, a nie specjalnie po to, by spędzić ze mną czas. I tak mieliśmy ten dzień dla siebie, ale gdy sam zostałem tatą, to nie przyszło mi do głowy, że mogę gdzieś zabrać synów specjalnie po to, by pobyć razem. Inspiracją w wychowaniu i miejscem ulepszania mojego ojcostwa jest społeczność Tato.Net. Dzięki niej np. w tym roku z jednym z synów wybrałem się na spływ kajakowy, z drugim

na wyprawę motocyklem w Bieszczady. To miejsca, gdzie nie ma zasięgu, nie ma jak korzystać ze smartfona, więc trzeba rozmawiać z ojcem. Z żoną jesteśmy innymi rodzicami, niż byli nimi nasi rodzice. Będąc dzieckiem, wiedziałem, że tata to pierwsza instancja, a mam druga. My mamy wspólny front i dzieci to wiedzą.

Okres pandemii okazał się dla wielu ojców czasem umacniania więzi rodzinnych, okazją do wspólnego spędzania czasu. 32,7 proc. ojców twierdzi, że w ciągu ostatniego roku na lepsze zmieniła się ich sytuacja w obszarze rodziny. W 2020 r. poprawę sytuacji w rodzinie dostrzegło 28 proc. z nich.

„TAK” DLA WIĘKSZEJ RODZINY

Z badania STATO'21 wynika, że aż 57,5 proc. ojców, którzy wzięli udział w badaniu, chciałoby mieć więcej dzieci. Jednak połowa z nich jest zdania, że w ich przypadku to raczej nie nastąpi. – Wbrew temu, co często akcentują politycy, kwestie ekonomiczne, choć ważne, przez samych ojców nie są postrzegane jako pierwsza z barier w posiadaniu większej liczby dzieci. W badaniu ojcowie wskazywali przede wszystkim na wiek – zaznaczali, że jest już zbyt późno na decyzję o posiadaniu dzieci – oraz na kwestie zdrowotne. Dopiero na kolejnym miejscu były kwestie finansowe. Zwracali również uwagę, że kluczowe według nich dla podjęcia decyzji o powiększeniu rodziny są takie sprawy jak wzajemna miłość partnerów, ich dobre relacje, dojrzałość osobowości – wskazuje dr hab. Dariusz Wadowski.

– Ojcostwo daje dużo radości, u nas w domu jest wesoło – podkreśla Paweł Chodkiewicz. I dodaje: – Dzieci uczą się od nas, naśladują nas, obserwują, nasze relacje, ale i my uczymy się od dzieci. Jestem informatykiem, ale nieraz synowie mówią mi: „Tata, weź. Tego się tak nie robi”.

Dariusz Wadowski nie ma wątpliwości, że coraz większe zaangażowanie ojców w życie dzieci będzie naśladowane przez kolejne generacje. – Z pokolenia na pokolenie reprodukujemy sposób wychowania, jaki dokonuje się w naszej rodzinie. Ci, którzy mają zaangażowanych ojców, zapewne też będą się angażować w wychowanie dzieci. Oczywiście wzorce nie będą reprodukowane automatycznie, lecz ulegną twórczej transformacji – wyjaśnia socjolog.

na ulicę, do parku i popatrzeć na rodziców z dziećmi. Przynajmniej połowa z nich to tatusiowie.

– To, że ojcowie spędzają więcej czasu z dziećmi, wiemy nie tylko z tego jednego badania. To już trend, który obserwujemy od dłuższego czasu – mówi dr hab. Dariusz Wadowski, socjolog z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. – To, w jaki sposób ojcowie zagospodarowują ten czas, na jakie aktywności się decydują, zależy w dużej mierze od wieku dziecka. Nie ma jednak wątpliwości, że ojcowie w coraz większym stopniu są obecni w życiu swoich dzieci i włączają się w obowiązki domowe. Badania STATO'21 wskazują także na duże zaangażowanie emocjonalne ojców w relacje z dziećmi. Dzisiejsi ojcowie wspólnie z matkami starają się kształtować styl wychowania,

FOT. ADRIAN STOK

Nowe otwarcie w Zachęcie



Tomasz Rowiński

Przez trwającą od lat 90. uległość Ministerstwa Kultury wobec roszczeń środowisk artystycznych wzmacniano głównie artystów będących w zgodzie z lewicowo-liberalnymi dogmatami

Zmiana na stanowisku dyrektora Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki (odeszła Hanna Wróblewska, a przyszedł Janusz Janowski) budzi wiele emocji. Zawsze tak jest, gdy zarządzające instytucjami kulturalnymi, szczególnie tymi poświęconymi sztuce nowoczesnej, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, podejmuje decyzję niebędącą w zgodzie ze światopoglądem tzw. środowisk artystycznych głównego nurtu i oklaskujących je mediów. Te zaś mają bardzo określone

przekonania – przeważnie lewicowe lub skrajnie lewicowe, a w najlepszym razie liberalne – oraz poczucie, że w rzeczywistości to one, a nie państwo, powinny decydować o kształcie polityki artystycznej w Polsce.

Konsekwencje trwającej od lat 90. uległości Ministerstwa Kultury wobec roszczeń środowisk artystycznych nie przyniosły zbyt dobrych owoców. Jednym z nich jest pewna jednostronność ujęcia ideowego produkowanej i prezentowanej sztuki, a także wzmacnianie



Od nowego roku galeria Zachęta ma nowego dyrektora – Janusza Janowskiego. FOT. PIOTR BEDNARSKI

instytucji sprawujących pieczę nad sztuką. Siłą rzeczy naturalny obieg krytyczny musiał w takich okolicznościach zamierać albo przynajmniej ulegać znacznemu ograniczeniu. Specjalistami od oceniania sztuki nowoczesnej zwykle okazywali się albo sami twórcy funkcjonujący w kręgu wzajemnej adoracji, albo ich polityczni czy środowiskowi akolici tworzący sieć zawodowych krytyków lobbystów. Sztuka nowoczesna, krytyczna, stała się w znacznej mierze albo odwzorowaniem określonej monotonnej agendy ideologicznej, albo selektywnym mimetyzmem prądów i mód artystycznych zawleczonych nad Wisłę, gdzieś z Berlina czy Nowego Jorku.

Czy jednak zarzut takiego jednostronnego partykularyzmu można było postawić Hannie Wróblewskiej? Jak słyszę w Ministerstwie Kultury, premier Piotr Gliński był zadowolony z pracy Wróblewskiej właśnie dlatego, że prowadziła Zachętę zrównoważoną ręką. Nie powodowała poważnych konfliktów i kontrowersji wokół Galerii, a jednocześnie pokazywała sztukę ciekawą. Sama Wróblewska pytana przez Jakuba Majmura, czy była krytykowana za sposób prowadzenia Zachęty, tak podsumowywała swoje relacje z prof. Piotrem Glińskim: „Wręcz odwrotnie, [premier] podkreślał, że prezentacje Zachęty były bardzo różnorodne i nawet jeśli nie wszystkie wystawy się mu podobały i nie ze wszystkim się zgadzała, to je akceptuje. Nie padł więc żaden konkretny zarzut. Raczej usłyszałam ogólne komplekty za ostatnie cztery lata”.

Jednocześnie, jak wynika z tego samego wywiadu – którego Wróblewska udzieliła „Krytyce Politycznej” – premier zasignalizował, że po ponad dziesięciu latach jej pracy chce zmiany. Z kolei w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, była dyrektorka Zachęty, dodawała: „Prywatnie nie akceptuję decyzji ministra Glińskiego, ale ma on do niej prawo”. To bardzo ważna opinia w kontekście zmasowanej krytyki, która spotkała w ostatnim czasie Ministerstwo Kultury w związku z zaordynowanymi zmianami w Zachęcie. Nominacja Janusza Janowskiego spotkała się z różnymi niewybrednymi wypowiedziami sygnalizującymi przede wszystkim wściekłość i chęć podważenia autonomii decyzyjnej ministra kultury. Pozwól sobie zacytować za „Gazetą Wyborczą” niektóre z hasel obecnych w przestrzeni medialnej mających wywołać panikę moralną, a co za tym idzie – polityczną mobilizację „w obronie” Zachęty: „degradacja najważniejszej galerii

w Polsce”, „urbanizacja polskiej kultury”, „jak Zenek Martyniuk w Filharmonii Narodowej”, „decyzja bez podstaw merytorycznych”, „trzydzieści lat pracy wyrzucone w błoto”, „niszczenie kultury polskiej”.

Krytyka Janusza Janowskiego była zmasowana, totalna i dotyczyła absolutnie każdego aspektu jego dotychczasowej działalności. Przez to, tylko z wielkim trudem, można było doszukać się w niej elementów merytoryczności. Równocześnie z wielką siłą narzucało się przekonanie, że w przeprowadzonej akcji medialnej chodzi o podważenie podstawy godnościowej – inaczej mówiąc: o zniszczenie człowieka, który nie jest akceptowany przez „środowisko” Zachęty. Na miejsce Wróblewskiej, dyrektor umiarkowanej, która była wcześniej długoletnim kuratorem w Narodowej Galerii Sztuki, zdaniem krytyków Janowskiego powinien przyjść ktoś namaszczonej przez swego rodzaju „moralny zarząd” instytucji.

LIST, KTÓRY NIE POMÓGŁ

O co chodzi? W lipcu 2021 r. został wystosowany do premiera Glińskiego list otwarty podpisany m.in. przez dwie byłe dyrektorki Zachęty: Andrzej Rottenberg i Agnieszka Morawińska. Zawierał on postulat zachowania Hanny Wróblewskiej na stanowisku dyrektora Galerii. Gdy jednak list nie przyniósł spodziewanych efektów, retoryka została zaostrzona. W ramach akcji „Objęcie Zachęty”, zorganizowanej przez niektóre środowiska artystyczne i wystawiennicze, pojawił się krótki, ale w wymowie uzurpatorski manifest. Deklarował on wolę odebrania Ministerstwu Kultury przynajmniej części autonomicznej władzy, którą ma ono nad Narodową Galerią Sztuki. „Nie zostawimy Zachęty. Nie przestaniemy się o nią upominać. Nasz głos musi zostać uwzględniony” – pisano. „Zachęta to my: zespół, artystki i artyści, publiczność. Od lat tworzymy miejsce otwarte i dostępne, czule na problemy współczesności. Przestrzeń dyskusji i budowania wspólnoty”. „Dziś, gdy zapadają arbitralne decyzje dotyczące przyszłości galerii, nasz głos – żądanie konkursu na stanowisko jej dyrektora – nie jest brany pod uwagę”.

Kwestia nierozpisania konkursu na nowego dyrektora Zachęty przez premiera Glińskiego stała się centralnym argumentem, który miał kompromitować działania Ministerstwa Kultury w oczach opinii publicznej. Narrację tę podjęła – a może nawet była jej inspiratorką, jak wynika z treści rozmowy – także Hanna Wróblewska

głównie tych artystów, którzy są w zgodzie z lewicowo-liberalnymi dogmatami.

MONOPOL NA SZTUKĘ

Na argument, z istoty już dyskusyjny, że innej dobrej sztuki po prostu nie ma, można odpowiedzieć – trudno się temu dziwić. Skoro mecenasi, czyli np. polskie państwo, nie wytwarzali zapotrzebowania na dzieła o innej niż lewicowa inspiracji. Skoro monopol na opinię o tym, co jest dobre, a co złe, wciąż kształtują te same środowiska, mające jednocześnie dostęp do

■ w przywoływanym już wywiadzie dla „Krytyki Politycznej”.

„Pan Janusz Janowski mógłby [w czasie konkursu – przyp. T.R.] przekonać do swojej kandydatury więcej osób, rozwiązać związane z nią obawy. Wtedy jego proces przejmowania władzy w Zachęcie byłby bardziej pokojowo-transparentny” – mówiła była już dyrektor Zachęty. To, że właśnie ta opinia została wybrana na tytuł całego wywiadu, wskazuje, w którą stronę zmierzają zabiegi „środowiska”, gdzie upatrywano nadziei na przechylenie decyzyjnej szali. „Miałam jednak nadzieję, że tak jak rekomendowałam w rozmowie z premierem Glińskim, mój następca zostanie wyłoniony w procedurze konkursowej. Obiecałam panu ministrowi, że do konkursu nie przystąpię” – mówiła Wróblewska.

Jest jednak wątpliwe, czy w postulacie konkursu chodziło o transparentność, czy raczej o utracenie decyzji ministra, „do której miał prawo”. Ewentualnie o skuteczne przyprowadzenie Januszowi Janowskiemu „gęby” osoby skrajnie niekompetentnej. Nikt z krytyków nie wspominał, że dyrektor Wróblewska także nie została wyłoniona w drodze konkursu. Podobnie tzw. przedłużenia jej kadencji były w rzeczywistości po prostu nowymi nominacjami wykonywanymi z woli ministra kultury. Można ironicznie napisać, że pierwsza nominacja Hanny Wróblewskiej – z roku 2010 – miała miejsce w czasach, gdy w Polsce panowała „demokracja”, więc wszystko się zgadzało, konkurs nie był potrzebny. „Demokracja” to bowiem – jak wiadomo – ustrój, który polega na tym, że rządzi przedstawiciele lewicowo-liberalnego establishmentu, a nie, w którym zachowywane są demokratyczne procedury. By jednak nie było wątpliwości, zarówno Bogdan Zdrojewski, minister w rządzie Donalda Tuska, jak i Piotr Gliński, mieli prawo podjąć takie decyzje, jakie podjęli i to w trybie, który uznali za właściwy oraz zgodny z ustawą.

Powyżej zarysowane, specyficzne ujęcie demokracji, znajdziemy we wspomnianym manifestie opublikowanym w ramach akcji „Objęcie Zachęty”. „Od kilku lat w Polsce dokonywany jest zamach na kulturę, a kolejne instytucje padają jego ofiarą. W wyniku politycznych rozgrywek niszczone są budowane latami programy, cierpią na tym pracownicy, ce i twórcy, czynie, ale przede wszystkim cierpi społeczeństwo. Zachętę odwiedzają setki osób dziennie, tysiące tygodniowo, dziesiątki tysięcy rocznie – osób, które chcą doświadczać

sztuki współczesnej we wszystkich jej przejawach. Nie można ich lekceważyć”. Czy rzeczywiście lewicowo-liberalna dominacja zapewnia obecność „wszystkich przejawów sztuki”? Czy inspiruje ona do artystycznego nonkonformizmu, czy raczej skłania do monotonnego powielania klisz? Czy odwiedzający nie byłiby zadowoleni, gdyby raz na kilka lat – szczególnie w instytucjach wystawienniczych związanych ze sztuką – po prostu zmieniała się wiodąca koncepcja? Jest to możliwe tylko wtedy, gdy stery przejmuje ktoś nowy, o odmiennej od dotychczasowej perspektywie.

Pojawienie się w Zachęcie nowego dyrektora może przynieść tej instytucji ożywienie

Hannie Wróblewskiej warto oddać sprawiedliwość – starała się uniknąć sytuacji, w której stałaby się narzędziem politycznej przepychanki. Sygnalizujące pogardę wobec Janowskiego pytanie Majmurek, otwierające wywiad dla „Krytyki Politycznej”, zamknęła celną ripostą odsłaniającą intencje dziennikarza. „Spodziewała się pani, że na stanowisku dyrektora Zachęty zastąpi panią ktoś taki jak Janusz Janowski?” – pytał Majmurek. „Co to znaczy: ktoś taki?” – odparła Wróblewska.

DOWÓD NA SZTUKĘ

Pojawienie się w Zachęcie nowego dyrektora może przynieść tej instytucji ożywienie. Tak stało się w Centrum Sztuki Współczesnej, gdzie rządy objął rok temu Piotr Bernatowicz. On także był bezpardonowo atakowany przez media liberalne i lewicowe pod pretekstem braku kompetencji. W rzeczywistości powodem tych ataków był jego krytyczny stosunek do dominujących politycznie w Polsce nurtów sztuki nowoczesnej. Tymczasem zorganizowana przez CSW w pierwszym roku pracy nowego dyrektora wystawa „Sztuka polityczna” osiągnęła efekt świeżości i przyciągnęła uwagę opinii publicznej oraz publiczności. Jej krytyka miała, w znacznej mierze, rytualnie antyprawicowy charakter, jednak chybiła celu – CSW pokazało artefakty sztuki, których do tej pory nie mieliśmy okazji oglądać.

W sierpniu 2021 r. w rozmowie z Polską Agencją Prasową Piotr Bernatowicz mówił: „Chcę [...] podkreślić, że ta ekspozycja nie jest jednowymiarowa. Doniesienia medialne o wystawie w tej chwili koncentrują się na tym, że prezentowane będą prace, które atakują lub też podważają polityczną poprawność. Jednakże na ekspozycji znajdują się również inne dzieła. Pokażemy np. wiele prac o charakterze feministycznym. Są to dzieła współczesnych artystek, które mówią o problemach kobiet w krajach mużułmańskich. To bardzo aktualne dziś prace. To nie jest wystawa, jak próbuje się ją przedstawić, konserwatywna czy prawicowa. Ona jest bardzo różnorodna. W sposób pluralistyczny ukazuje rozmaite próby ujęcia tego tematu, jakim jest »sztuka polityczna«. Przede wszystkim mówi o wolności sztuki”.

Choć wolność mają na ustach prawie wszyscy artyści, część reakcji na „Sztukę polityczną” pokazuje, z jakim trudem przychodzi zaakceptowanie jej w praktyce.

Ministerstwo Kultury, które poprosiłem o opinię na temat zamieszania wokół Zachęty, w nadesłanej odpowiedzi zwróciło uwagę zarówno na prawne podstawy swojej decyzji, jak i na rozległe doświadczenie zawodowe Janusza Janowskiego w zakresie zarządzania instytucjami związanymi z prezentacją i popularyzacją sztuki, a także organizacją życia artystycznego. „W przekonaniu ministra dr Janowski dysponuje zarówno niezbędną wiedzą merytoryczną, jak i umiejętnościami organizacyjnymi, co potwierdzili sami artyści sztuk wizualnych, dwukrotnie wybierając go na prezesa Związku Polskich Artystów Plastyków, który zrzesza ponad 4,5 tys. osób i jest obecnie najliczniejszą organizacją środowiskową” – napisała Anna Pawłowska-Pojawa, dyrektor Centrum Informacyjnego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Zapewne można na temat kompetencji nowego dyrektora dyskutować, jednak do tej pory mieliśmy do czynienia przede wszystkim z ich umniejszaniem przez przemilczenie lub z ogólnikowym lekceważeniem. Janusz Janowski, gdy z nim rozmawiałem niedługo przed przejęciem nowej funkcji, zadeklarował, że z początkiem roku przedstawi konkretny program dla Zachęty. Warto w tej sprawie trzymać dyrektora Janowskiego za słowo, bo Zachęta na dobry, konsekwentnie realizowany program po prostu zasługuje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kończący się rok 2021 stał się okazją do uhonorowania 90. rocznicy śmierci Frederikke Bolette Hansen (1855–1931). Była pierwszą norweską artystką, która zdobyła międzynarodową sławę. Jej twórczość rozpoczęła norweską secesję i porównać ją można z dziełami plastycznymi Stanisława Wyspiańskiego. I jeszcze w jednym Frida Hansen była podobna do twórcy z Krakowa. Jej odrodzenie wzorów czerpanych ze sztuki ludowej było elementem kampanii na rzecz uzyskania przez Norwegię niepodległości. Twórczość Norweżki to niesamowita podróż w świat motywów biblijnych, scen z mitologii greckiej i wreszcie wydarzeń z historii Norwegii.

ROZKWIAT PÓŁNOCNEJ RÓŻY

Mało kto w Polsce pamięta, że Norwegia przez ponad 500 lat nie była niepodległym krajem. Po zbudowaniu swego państwa na początku XI w. w 1397 r. weszła wskutek unii kalmarskiej do wspólnego państwa Norwęgów, Szwedów

Frida Hansen, czyli sennik nordycki



Piotr Semka

Zbudowała pomost pomiędzy norweską tradycyjną sztuką tkacką a europejską awangardą sztuki secesyjnej. Dziś Norwegia czci ją jako pierwszą Norweżkę, która zdobyła międzynarodową sławę

dów i Duńczyków. W 1537 r. rosnąca w siłę Szwecja opuściła ten związek. Norwegia szybko spadła do poziomu dzikiej północnej kolonii pod władzą

silnej wtedy Danii. W 1814 r. w ramach porządków po epoce Napoleona Norwegię zabrano Duńczykom i oddano Szwecji, choć z zapewnieniem pewnej

■ formy autonomii. Od drugiej połowy XIX w. coraz silniejszy staje się postulat niepodległości Norwegii. Wiąże się z tym gwałtowny rozwój sztuki norweskiej opartej na narodowych wzorach.

To ożywienie przynosi wspaniałe owoce w różnych dziedzinach sztuki i kultury. Świat odkrywa wtedy dzieła Henryka Ibsena oraz noblisty w dziedzinie literatury Bjørnstjerne Bjørnsona (nagroda w 1908 r.). Niezwykłą popularność w Europie zdobywają powieści Knuta Hamsuna oraz Sigrid Undset. W muzyce najwyższe poziomy artysty osiąga kompozytor Edvard Grieg. Norwegowie, jak wiele innych narodów, najpierw wykreowali swoją sztukę narodową, a potem zażądali pełnej niepodległości, która stała się faktem w 1905 r.

W tym niezwykle twórczym dla Norwegii okresie dochodziła do pełnoletności Frida Hansen (1855–1931). Przyszła na świat w Stavanger, bogatym kupieckim porcie na zachodnim brzegu południowej Norwegii. Jej ojciec prowadził bogaty dom handlowy Køhler & Co. Miesiące zimowe rodzina spędzała w centrum miasta, ale prawdziwym świętem dla Fridy były wakacje letnie, gdy rodzina Helliesenów przenosiła się do wiejskiej posiadłości w Hillevåg. Frida Hansen wielokrotnie wspominała, że to tam nabrała miłości do kwiatów, których najprzeróżniejsze gatunki jej ojciec sadził w ogrodzie.

Frida po ukończeniu szkoły dla panien zainteresowała się sztuką. Bogaci rodzice zapewnili jej lekcje malarstwa i rysunku. Po 18. urodzinach obiecano jej wyjazd na studia malarstwa za granicą. Artystyczne zainteresowania sygnalizowała już postać wybranka Wilhelma Severina Hansena, brata wybitnego norweskiego malarza Carla Sundta-Hansena. Młoda para zamieszkała w dworze w Hillevåg, gdzie Frida sadziła rzadkie i egzotyczne rośliny, stworzyła wybieg dla pawi i papug oraz akwarium z żółwiami i egzotycznymi rybami. Ogród był otwierany dla publiczności.

Ten świat beztroski zakończył się na przełomie lat 70. i 80. XIX w. Kryzys gospodarczy, który wstrząsnął wówczas Europą, spowodował, że domy handlowe Hansenów i Helliesenów zbankrutowały w 1883 r. Frida wraz z matką i siostrą Marie oraz trojgiem dzieci zmuszona została do przeprowadzenia się do znacznie uboższego mieszkania w Oslo. Mąż Wilhelm musiał wyjechać za granicę



„Droga Mleczna”, 1898 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Frida Hansen przy krośnię tkackim

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

złudne rzemiosło, gdyby nie zlecenie naprawienia całej paki starych tradycyjnych ubrań wyszywanych w kwietne wzory. Ambitna Frida Hansen otrzymała stare krosno do naprawy tradycyjnych ubrań. Szybko zainteresowała się tradycyjnymi splotami używanymi w starych norweskich ubraniach i tkaninach dekoracyjnych. Odzienia, które zostały jej powierzone do reparacji, zafascynowały 30-letnią hafciarkę.

Zacząła studiować stare techniki tkackie i podejmować eksperymenty. Zapragnęła odrodzić najlepsze tradycje norweskiego tkactwa, które rozwinęły się tutaj ze sporym stopniem mistrzostwa. To mistrzostwo nie wzięło się znikąd. Norwegia do dziś jest obok Islandii jednym z najślabiej zaludnionych krajów Europy. W osamotnionych gospodarstwach chłopcy byli skazani na samowystarczalność. Symbolem jakości tkactwa w krajach nordyckich jest do dziś tzw. tkanina z Bayeux, zwana inaczej kobiercem królowej Matyldy.

Frida chłonęła wszystkie te wzorce i zaczęła wprowadzać własne pomysły. Tradycyjna przędza wełniana, dostępna wówczas w Norwegii, była całkiem niezła, ale jej kolory nie mogły się równać z intensywnością barw starych haftów norweskich. Frida zaczęła pielgrzymki do starych kobiet ze wsi – hafciarek w Jæren i Ryfylken. Przejęła od nich tajemnice starych kolorów uzyskiwanych dzięki barwnikom z rzadkich roślin. Wtedy wybrała trzy podstawowe kolory w swoich tkaninach: niebieski, czerwony i żółty.

w poszukiwaniu pracy w przemyśle wydobywania węgla.

W tym ciężkim czasie zmarło dwoje z trojga dzieci. Frida musiała znaleźć pracę przynoszącą dochód, i to szybko. W 1855 r. założyła hafciarnię. I być może jej praca nie wyszłaby nigdy poza

Jej tkaniny zaczęły cieszyć się powodzeniem. Dzięki handlowym tradycjom rodziny Frida miała żyłkę do biznesu i udało się jej stworzyć prężny biznes farbiarski. W 1890 r. otwarte zostało studio artystyczne Pani Hansen Atelier Ręcznie Tkanych Dywanów Norweskich. Biznes szedł tak dobrze, że dwa lata później Frida przeprowadziła się do Oslo (wówczas nazywało się ono jeszcze Christianią) i uruchomiła sporą tkalnię w Tullinløkka.

ZACHŁYŚNIĘCIE ŚWIATEM

Frida Hansen ma już dobrze prosperujący biznes, więc może pozwolić sobie na wyprawę do Europy w celu chłonięcia najnowszych trendów. W 1895 r. wyjeżdża najpierw do Kolonii, a potem do Paryża. Akademia artystyczna nie przyjmowała w tamtych czasach jeszcze studentek, dlatego w Kolonii zgłębia tajniki rysunku w publicznej szkole. Fascynacje wzbudza u niej niemiecka sztuka późnego średniowiecza. Liczne symboliczne nawiązania do rozmaitych roślin, które były modne w średniowieczu, uruchomiły w niej wspomnienia z dzieciństwa w Hillevåg. W Paryżu z kolei Frida odkrywa w 1895 r. nowy styl, który od jednej z galerii nosi nazwę Art Nouveau. Frida doskonale się odnajduje w burzliwym świecie paryskich artystów. Poznaje Alfonsa Muchę, Czecha tworzącego secesyjne plakaty, oraz dwóch prekursorów francuskiej secesji – Eugène Gasseta i Paula Berthona. Pod wpływem ówczesnej popularności grafik z Kraju Kwitnącej Wiśni jej gobeliny nabywają cech nurtu „japonizmu”.

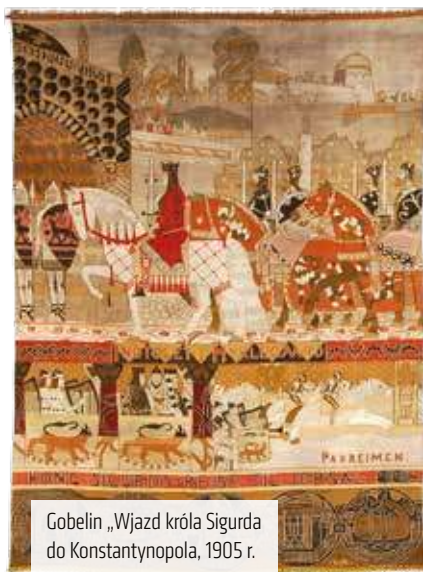
W 1897 r. Frida Hansen wraca do kraju i tworzy potężną firmę Det norske Billedvæveri A/S. Firma produkuje dywany i kilimy według projektów Fridy, a także wykonuje zlecenia od innych artystów. Frida Hansen zaczyna przechodzić do dzieł, które są bardziej tkanymi obrazami, a nie tylko użytkowymi dywanami. Głębokie przesłanie jej prac wynika z doskonałej znajomości Biblii, która w protestanckiej Norwegii była obiektem ogromnego kultu. Sławni byli niektórzy norwescy pastory, którzy znali cały Stary i Nowy Testament niemal na pamięć.

W dużym gobelinie „Droga Mleczna” z 1898 r. Frida podejmuje motywy z Biblijnej Księgi Rodzaju, werset 15: „I na firmamencie nieba rozbiłyś światło, które oświeciło ziemię. I tak się stało”. W tej niezwykle subtelnej kompozycji anioły suną po ciemnoniebieskim, wysadzonym gwiazdami niebie, trzymając gwiazdny

welon – Drogi Mleczną. U spodu Frida Hansen umieściła cytat z Księgi Rodzaju po hebrajsku.

Ten niezwykle piękny gobelin użytkuje na wystawie światowej w Paryżu w 1900 r. złoty medal, a artystka otrzymuje kolejne cenne wyróżnienie za swoje umiejętności. Sukces gobelinów wynika z użycia nowatorskiej techniki tzw. otwartych nitek osnowowych. Tworzy on wrażenie, jakby jej gobeliny mieniły się wewnętrznym światłem.

Pięć lat później powstaje inny głośny gobelin – „Semper Vadentes”. Przedstawia cztery niewiasty, które niosą rozmaite atrybuty rzeczy wzniosłych, ale i marnych. Anniken Thue, biograf artystki, pisze, że są to personifikacje z jednej strony bogactwa i próżności, a z drugiej strony sztuki i prawdziwej miłości. Bogactwo symbolizuje trzoz z pieniędzmi, próżność



Gobelin „Wjazd króla Sigurda do Konstantynopola, 1905 r.”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

– sznur pereł, prawdziwą miłość – zapaloną świecę w dłoniach pielgrzymującej, a prawdziwe piękno sztuki znamionuje pęk bratków. Łacińska sentencja wyszyta na dole obrazu głosi w tłumaczeniu: „Zawsze pielgrzymujące, zawsze błogosławione, zawsze podążające za życia do wieczności, Panie”. W 1907 r. Frida Hansem wyjaśniała: „Te postacie reprezentują nieustanne podróżowanie człowiecze ku oceanowi wieczności, który jaśnieje przed nami w oddali”.

Kolejne lata to przejście do tematów z historii Norwegii. Na gruncie aktywny był również inny norweski twórca Gerhard Munthe. Duże uznanie zdobywa gobelin Fridy Hansem o pielgrzymce w 1100 r.

średniowiecznego króla Norwegii Sigurda do Konstantynopola i do Grobu Pańskiego w Jerozolimie, gdzie został przyjęty przez Baldwina – władcę państwa krzyżowców, brata Godfryda de Bouillona.

W 1913 r. otrzymuje zamówienie od cesarza Niemiec Wilhelma II na całą serię kilimów, którymi Hohenzollern chce ozdobić swój pałacyk myśliwski w Puszczy Rominckiej koło Gołdapi. Na szczęście dla Fridy Hansen wybuch pierwszej wojny światowej, w której Norwegia zachowuje neutralność, i artystce udaje się wykreślić z niezręcznego zamówienia.

ZŁOTY ZMIERZCH

W 1915 r. otrzymuje złoty królewski medal zasługi. Jednak secesyjny styl gobelinów Fridy Hansen po zakończeniu pierwszej wojny światowej powoli wychodzi z mody. Pojawiają się nowe zamówienia od instytucji państwowych. Gobeliny Fridy Hansen ozdabiają pałac królewski w Oslo. Jej ostatnim wielkim dziełem był wielki gobelin ku czci św. Olafa, który powstawał z myślą o tysięcznej rocznicy chrztu Norwegii datowanej symbolicznie na 1030 r. W trakcie pracy nad tym monumentalnym dziełem Frida Hansen umiera w Oslo 12 marca 1931 r. Jej córka Signe Diurhuus Levy kończy górną część dzieła. Dywan zostaje zakupiony przez jej rodzinne miasto Stavanger i umieszczony w miejscowej katedrze.

Jeszcze przed drugą wojną światową dzieła Fridy Hansen przechodzą w zapomnienie. Bardzo wiele jej gobelinów zostało wykupionych przez miłośników jej sztuki z zagranicy, głównie z USA. Dopiero w latach 70. odkryto jej twórczość na nowo. Zaczęto porównywać jej dzieła z teoriami inspiracji naturą brytyjskiego malarza Williama Morrisa, jednego z założycieli brytyjskiego ruchu wzornictwa przemysłowego Art and Craft. Ze sztuką Morrisa łączyła ją fascynacja pięknem natury. Frida jako dziecko bardzo lubiła kwiaty i ogród różany swojej babci uważała za absolutny ideał piękna. Zbudowała pomost pomiędzy norweską tradycyjną sztuką tkacką a europejską awangardą sztuki secesyjnej. Dziś Norwegia czci ją jako pierwszą Norweżkę, która zdobyła międzynarodową sławę. Warto, by jej geniusz poznali także Polacy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Najwięcej prac Fridy Hansen w jednym miejscu zobaczyć można w galerii gobelinów poświęconej jej osobie w Muzeum Sztuki w Stavanger. Interaktywne zwiedzanie wystawy w formule 360 stopni na stronie: www.stavangerkunstmuseum.no.



Piotr Gciek

**„To była ręka Boga”,
najbardziej osobisty film
Paola Sorrentina, zaczyna się
od cudu i cudem się kończy**

Na straganach z wszelkiego rodzaju bądziwem, wypełniających wąskie uliczki starego Neapolu, można oprócz figurek Maradony, Jana Pawła II, Małego Mnicha czy Pinokia kupić także figurkę Paola Sorrentina. Włoski reżyser ubrany jest odświętnie i trzyma w dłoni Oscara (otrzymał go za film „Wielkie piękno”). Któż powiedział, że na ten rodzaj upamiętnienia trzeba czekać do śmierci? W Neapolu wszystko jest możliwe, istnieją obok siebie żywi i umarli, sacrum i profanum, teraźniejszość i przeszłość (a nawet rozmaite przeszłości), to, co prawdziwe, i to, co zmyślane. Miasto, w którym urodził się Sorrentino, odwdziczyło mu się, jak potrafi; teraz on odwdziczył się z kolei Neapolowi, który jest na ekranie piękny, jest na ekranie niezwykle, jest na ekranie miejscem cudów.

Film „To była ręka Boga” („È stata la mano di Dio”) zaczyna się od cudu i cudem się kończy. Oto piękna Patrizia (zniewalająca Luisa Ranieri) trafia do pałacu tajemniczej postaci przedstawiającej się jako San Gennaro – to nie bogaty gwałcieciel, lecz św. January we własnej osobie (postać dla Neapolu szczególna). Święty January przedstawia Patrizii postać z bogatych włoskich wierzeń ludowych: Małego Mnicha, który sprawi, że jej jałowe łono znów będzie mogło być brzemiennie. Mały Mnich wróci na ekran w chwili, gdy główny bohater filmu, nastoletni Fabietto (wzruszająco kruchy Filippo Scotti), stanie się dorosłym Fabio. To znaczy, gdy odkryje swoje powołanie, gdy gotów będzie, by z trosk zbyt wcześnie zakończonej młodości wykuć własne przeznaczenie jako artysty.

Jeśli coś może irytować w dziele Sorrentina, to właśnie nachalność metafory i jej egocentryzm, narcyzm, nazbyt częste podkreślanie: „I tak właśnie stałem się artystą”. Ironiczny tytuł „To była ręka Boga”, odnoszący się do słynnej bramki strzelonej Anglikom ręką przez Maradonę, robi się wielce pompacyjny, gdy zinterpretu-



FOT. MATERIAL PRISONIERE

jemy go jako twierdzenie, że Pan Bóg obojętnie tknął młodego Paola, niczym św. January tyłek Patrizii, i uczynił go płodnym artystą. Cóż, ktoś tknąć go musiał, bo jest reżyserem wybitnym, a jego najnowszy film to wielkie kino. W wielkość artysty, zdaje się, musi być wpisana odpowiednia doza narcyzmu i bezczelności. „Tchórze nie śpią z pięknymi kobietami” – mówi młodemu Fabietcie jeden z jego mentorów, reżyser Antonio Capuano. Dalej więc będę już tylko chwalił.

WYCIECZKA DO WŁASNEJ PRZESZŁOŚCI

Fabietto jest prawdziwy, Capuano jest prawdziwy, Neapol jest prawdziwy, a jednocześnie wszystko to jest nieprawdziwe, bo mamy do czynienia z barwnym prawdziwym zmyśleniem. W wycieczce do własnej przeszłości Sorrentino jak alchemik wytapia w tyglu złoto z tego, co pod ręką, to znaczy z tego, co ma w pamięci. A pamięć rządzi się swoimi prawami, jedne rzeczy omija, inne nadmiernie uwidatnia, w dodatku nieustannie tasuje hierarchie – to, co było ważne dekadę temu, dziś zdaje się nieistotne, to, co było dwie dekady ledwie drobniakiem, naraz urasta do rangi sprawczego wydarzenia.

Tworzy więc Sorrentino własną przeszłość, lekce sobie ważąc chronologię: na ekranie trwa jedno długie lato, podczas

którego dzieje się naraz wszystko: Maradona przychodzi do Napoli, Maradona gra na mundialu (w rzeczywistości dwa lata późniejszym); rodzice żyją, rodzice umierają; zmysłowa Patrizia jest boginią seksu i pensjonariuszką zakładu dla obłąkanych; przygodnie poznany przemysłnik pruje motorówką wody zatoki, grając na nosie policji i odsiaduje wyrok; Antonio Capuano kręci film, który Fabietto ogląda w kinie – co jest niemożliwe, bo pierwszy film Capuano powstał w roku 1991. Nawet Federico Fellini zapłatał się do tego zamieszania, bo niby szuka aktorów do jakiegoś filmu; filmu, którego jedynym rezultatem jest depresja starszego brata Fabietta. Przystojny Marchino marzył o karierze aktora, ale usłyszał od Felliniego, że ma „zupełnie zwyczajną twarz”.

Krytycy wskazują, że „To była ręka Boga” to jest Sorrentinowski „Amarcord”. Wspomnijmy, że tytuł słynnego filmu Felliniego wziął się od „a m'arcòrd”, czyli „pamiętam”. (Nie bez powodu autobiograficzne wyznania aktora Marcela Mastroianniego nosiły tytuł „Pamiętam. Tak, pamiętam...”). „Amarcord” był jednak innym rodzajem snienia, upajającym i słonecznym, ale zarazem groteskowym i mrocznym. Sorrentino idzie własną ścieżką. Podpowiadałbym oglądanie „To była ręka Boga” wkrótce po obejrzeniu „Wielkiego piękna” – te filmy korespondują ze sobą,

arcydzieła



uzupełniają się, wyjaśniają nawzajem. Toni Servillo grał w „Wielkim pięknie” starzejącego się sybarytę, któremu nic już nie smakuje, który poszukuje w świecie (a więc i we własnej pamięci) tego, co olśniewające, czyste, piorunujące. Chwila, na którą natrafił pod koniec swych poszukiwań, mogłaby znaleźć się w „To była ręka Boga”. Jej odpowiednikiem jest moment, w którym Fabietto, wracając z rodzinnego pikniku, spogląda na Patrizię na tle zachodzącego słońca. To ułamki sekund decydują o naszym przeznaczeniu. Wielka tajemnica sztuki polega na tym, że nie jesteśmy w stanie ich złapać ani odtworzyć, ale jesteśmy w stanie je przetworzyć.

Drugim momentem olśnienia dla Fabietta jest ów moment, gdy widzi na ekranie kina tę samą scenę, którą widział w prawdziwym życiu, mijając plan filmowy. Widzi ją jednak zupełnie inaczej: oto naoczny dowód, jak sztuka może przekształcać życie i zamieniać to, co zwykłe, w niezwykłe. Ale aby to robić, trzeba czegoś więcej niż tylko umiejętności obserwacji i pielęgnacji własnego cierpienia. To Fabietto usłyszy od brutalnie szczerzego reżysera Capuano w jednej z ostatnich scen filmu. Swoją drogą w dziele niemal doskonałym ta kluczowa wymiana zdań brzmi nieco płasko, może właśnie dlatego, że jest zbyt wprost. Nowe dzieło Sorrenti-

na jest filmem wybitnym, ale od arcydzieła znajduje się jeszcze o pół kroku. Może właśnie przez niepotrzebną nachalność i dosłowność w kilku momentach.

Nie zmienia to faktu, że jeśli kino jest snem, to jakże wspaniały jest to sen! Tak jak po obejrzeniu „Wielkiego piękna” nie mogłem doczekać się chwili, kiedy znów zobaczę ten film, tak po ostatnich ujęciach filmu „To była ręka Boga” myślałem o tym, jak bardzo chciałbym znaleźć się na powrót w tym świecie.

EROS I TANATOS

Ten Neapol lat młodzięcych przepojony jest bowiem olbrzymią czułością, ciepłem i miłością. Toni Servillo i Teresa Saponangelo w rolach rodziców Fabietta są rewelacyjni, Marlon Joubert tworzy wspaniałą kreację jako jego starszy brat Marchino. Na drugim planie pojawia się cała galeria niezwykłych postaci – rodziny, sąsiadów, przyjaciół, znajomych. Każdy dostaje przynajmniej jeden pamiętny epizod do zagrania; nie są to, powtórzę, postacie jak z Felliniego, bo autor „Osiem i pół” bardziej by je udziwnił. Częściej podczas seansu myślałem o filmach Giuseppe Tornatore (zwłaszcza

o „Malenie”). A Sorrentino podpowiada z kolei jeszcze inny trop: w rozmowie z Italy24 mówił, że jeśli miałby już wskazywać jakieś inspiracje w swoim najnowszym filmie, to na pewno nie byłby to Fellini, lecz dokonania Massima Troisiego, współtwórcy filmu „Listonosz” („Il Postino”).

Im większa czułość i miłość w pierwszej części filmu, tym większy ból, pustka i trauma w części drugiej. Pierwszej patronuje niewinny Eros, drugiej – bezlitosny Tanatos. W tym prawdziwym zmyśleniu Sorrentino żongluje postaciami i chwilami zatopionymi w czasie, ale jedna rzecz pozostała niezmienna. W wywiadach reżyser opowiada, że tragedia, która go dotknęła, gdy miał lat 17, tak naprawdę zakończyła... No właśnie: jego życie? Na pewno jego dorastanie. Jak mówił magazynowi „Esquire”, wciąż ma tyle lat, ile tamtego feralnego dnia, wciąż czuje ból. Wszystko to ukształtowało go i tworzy nadal. A cała reszta? Znajdziecie odpowiedź na to pytanie, oglądając film „To była ręka Boga”. Cała reszta to sztuka. Aż? Czy tylko?



REŻ. PAOLO SORRENTINO
„TO BYŁA RĘKA BOGA” („È STATA LA MANO DI DIO”)
WŁOCHY 2021

wyst. Filippo Scotti,
 Toni Servillo, Teresa
 Saponangelo, Luisa
 Ranieri

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Czas pogardy



★★★★★

REŻ. ADAM MCKAY
„NIE PATRZ
W GÓRĘ” („DON'T
LOOK UP”)
USA 2021

Leonardo DiCaprio,
Jennifer Lawrence,
Meryl Streep,
Cate Blanchett

Być może najbardziej lubimy piosenki, które już znamy, ale kiedy ktoś próbuje jako wielką nowość przedstawić nam rewelację, które już od dawna znamy, mamy prawo czuć się nabici w butelkę. Tak jest z najnowszym filmem Adama McKaya „Nie patrz w górę”, który kusi wielkimi nazwiskami w obsadzie, a okazuje się pusty i pretensjonalny jak przemówienie prowincjonalnego polityka o zbyt wielkich ambicjach.

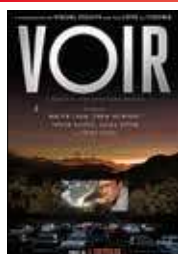
McKay wyszedł ze środowiska komediowego programu „Saturday Night Live”, nakręcił serię świetnych komedii z Willem Ferrellem (od „Legenda telewizji” do „Policji zastępczej”), a potem do anarchicznego poczucia humoru dołożył jeszcze ciętą obserwację społeczną i błysnął filmem „Big Short”. W opowieści

o wiceprezydencie USA Dicku Cheney („Vice”) już było widać oznaki słabości – nikt nie musi znać się na wszystkim; McKay na meandrach polityki zna się umiarkowanie.

„Nie patrz w górę” dowodzi, że równie umiarkowanie potrafi analizować mechanizmy rządzące współczesnością. O czym bowiem w istocie jest jego przypowieść o astronomach, którzy na próżno próbują ostrzec świat przed nadciągającą katastrofą? Ano o tym, że prawda nie przebiję się przez media, że rozrywka zabija informację i że w nosie mamy przyszłość. Wszystko to jest diagnozą wielce słuszną, ale spóźnioną o parę dekad. Co nie byłoby jeszcze zarzutem, gdyby oczywiste oczywistości potrafił McKay przedstawić w oryginalny i zabawny sposób

N(tak jak czynił to w filmie „Big Short”). Nic z tego, wybitni aktorzy męczą się u niego okrutnie. Czy ktoś mógłby przypuszczać, że zobaczy jeszcze rolę Leonarda DiCaprio, do której pasuje tylko słowo „nijaka”? Broni się (umiarkowanie) Meryl Streep jako prezydent USA, ale ona potrafiłaby zabrać nawet kometa, przed której upadkiem przestrzegają główni bohaterowie filmu. Broni się Jonah Hill jako jej syn i zarazem szef gabinetu.

Cała reszta to zmarnowany potencjał; te żarciki o głupekowatych talk-show i o politykach, którzy patrzą tylko na sondaże, ten niezdolny smrodek dydaktyzmu: wicie, rozumiecie, może byćście powalczyli z globalnym ociepleniem. Poczucie wyższości i dobra satyra nie idą ze sobą w parze. I jest różnica między celnym, bolesnym sztyrsem a zwykłą pogardą. Największą katastrofą w tym filmie katastroficznym jest to, że jego twórca nie zauważył, jak się ześlizguje w pogardę. ©©



NOWE SERIALE: „THE VOIR”

Zestaw błyskotliwych, choć nie zawsze odkrywczych rozważań o współczesnym kinie. Jaki wpływ miały „Szczęki” Spielberga na Amerykę i Hollywood? Dlaczego oglądamy kino zemsty? Czy główny bohater filmu musi budzić naszą sympatię? Czy to HBO zatęchło granice między doświadczeniem telewizyjnym i kinowym? Najlepszy jest

wideoesej o filmie „48 godzin” Waltera Hilla w kontekście stosunków rasowych w USA. Najbardziej mętny i banalny zaś wywód o animacji, bo pozbawiony oczywistej puenty: krytykowane wzorce piękności Disneya oddają naszą tęsknotę za naturalną harmonią. ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „The Vow”, USA 2021

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 4 „Cobra Kai”, USA 2021
- sezon 1 „Morze spokoju” („Go-ye-eui Ba-da”), Korea Południowa 2021
- sezon 1 „Miasto szpiegów” („Spy City”), Niemcy/USA 2021

CANAL+

Dusza kiltera

KINO

O Wowie, który chciał być do-
brym człowiekiem. Nie wyszło,
lecz podobno nawet diabeł
może zostać zbawiony, jeśli
szczerze wyzna grzechy i swoje
odpokutuje. Ołeh Sencow, po
pięciolatej batalii wyrwany
ze szponów rosyjskiego
wymiaru sprawiedliwości, to
naprawdę zdolny
facet. Dowodem
fenomenalne intro,
streszczające wcze-
sne dzieje bohatera
i jego rodziny. Wowa
urodził się na
wschodniej Ukrainie,
która z zabitej
dechami sowieckiej
provincji zmienia się
w kraj suwerenny, ale
przeżarty korupcją
i bezprawiem.
Niestety, z każdą
następną minutą
fabuła coraz bardziej
grzeźnie w schema-
tach czernuchy, czyli
kina bandyckiego,
święcącego triumfy
pod koniec minio-

nego wieku. Naturalistyczne
sceny przemocy mają uzasad-
nienie w profesji Nosorożca
(który po krótkich wahaniach
zostaje cynglem mafii), jednak
ich powtarzalność męczy
i nuży. Zamroczonym wód-
ką i narkotykami gangsterom
nie jest pisane długie życie,
ich kobietom zaś
wieczne szczęście.
Wowa, gdy wypije,
traci kontrolę, lecz
jakimś cudem udaje
mu się dociągnąć do
32. urodzin. Może
dlatego, że w odróż-
nieniu od kumpli nie
jest całkiem bezmyśl-
ny. Traumatyczne
przejścia kierują
go na filozoficzno-
metafizyczną ścieżkę.
Trochę mi to zgrzyta.
Sencow, przebywając
w areszcie i w łagrze,
dobrze poznał
kryminalistów, chyba
jednak za bardzo ich
polubił. ©©

Wiesław Chełmniak



★★★★★

**REŻ. OŁEH
SENCOW**
„NOSOROŻEC”
(„NOSORIH”)
**UKRAINA/NIEM-
CY/POLSKA 2020**

wyst. Serhij
Filimonow, Irina
Mak, Jewhen
Czermykow

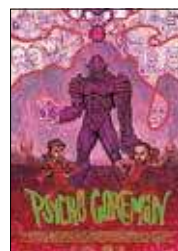


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POTWÓR KOMPLETNY

KINO/WIDEO

Wielbiciele autoironicznych
horrorów, fani obrzydli-
wych efektów specjalnych,
amatorzy tandetnej
charakterystyki, tęskniący za
epoką „Muppet Show” i wy-
pożyczalni wideo, wybiła
wasza godzina! Owieczny
demon, arcyksiążę kosz-
marów, którego celem jest
zniszczenie wszechświata,
powstał z grobu, by trafić
pod władzę rozkapryszonej 10-latk. Ta zaś nadaje mu imię: Psychognida.
Zanim dojdzie do rodzinnej konsolidacji w stylu Spielberga, poleje się wiele
sztucznej krwi, urwanych zostanie kilka plastikowych głów, o wyprutych
flakach z lateksu nie wspominając. Ujrzenie nawet teledysk z PG grającym
na perkusji. Prawdziwa bestia to Mimi, która pomiata bratem, nazywa
go „parówką” i zmusza do udziału w bezsensownych grach. Fabuła jest
arcyglupia, dowcipy nie zawsze śmieszne (scena z krucyfiksem), lecz dla
znudzonych lekturą traktatów Hegla lub e-maili ministra Dworczyka może
być jak znalazł.



★★★★★

**REŻ. STEVEN
KOSTANSKI**
**„PSYCHO
GOREMAN”**
KANADA 2020

wyst. Nita-Josée Hanna, Owen Myre,
Matthew Ninaber

STAROŚĆ NIE RADOŚĆ

HBO

Ikony hedonizmu przełomu
wieków wróciły. Niepotrzeb-
nie. „Seks w wielkim mieście”
często irytował, ale miał
też znakomite momenty.
W 25-minutowych odcinkach
działo się sporo. Nowe
epizody mają po 42 minuty,
choć bohaterki ubył, wątki
zaś snują się jak dym z pa-
piosa, który Carrie paliła za
młodu. Panie aż do przesady
podkreślają swój zaawansowany wiek, choć zarazem bardzo starają się być
na czasie (pandemia, Instagram, podcasty, problemy niebinarnych). Zgodnie
z tradycją zmieniają kreacje po kilka razy na odcinek, nie zapominając przy tym
o lokowaniu produktów. Najtrudniej znieść ich zdziwienie. Charlotte zawsze
była historyczką. Ale czemu z przemądrzałej Mirandy zrobiono mistrzynię gaf,
szukającą nowych doznań i autorytetów? Uśmiercenie jednej z istotniejszych
postaci raczej nie skłoni widzów, by dali zużytemu formatowi kolejną szansę.
Nowy Jork zasługuje na coś lepszego. ©© **recenzuje Wiesław Chełmniak**



★★★★★

**TWÓRCA:
MICHAEL PATRICK
KING**
**„I TAK PO
PROSTU” („AND
JUST LIKE THAT...”)**
USA 2021

wyst. Sarah Jessica Parker, Cynthia Nixon,
Kristin Davis

GRA TYGODNIA: „THE GUNK”

Obślizgłe obrzydliwstwo, całkiem
zasadnie zwane szlamem, atakuje
odległą i niemal zapomnianą
planetę. Bohaterka, w którą się
wcielamy, uzbrojona w rękawicę
mogącą pochłaniać zatrutą
planetę, rzuca wyzwanie
dziwnemu pasożytni. Nie

czyni tego z czystego altruizmu,
bo nasza postać i jej kompan
to para złodziejasków o dość
napiętych relacjach. Trójwymiarowa
platformówka niezależnego studia
Image & Form to pozycja, która
może się podobać, ale którą trzeba
jednak lokować gdzieś wśród



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

średniaków lub całkiem udanych
indyków. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** Akcja, TPP
• **Platforma:** XSX, XONE, PC
• **Producent, wydawca:** Image
& Form, Thunderful Publishing

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Gułag po polsku

Autor tej pod wieloma względami wyjątkowej książki miał 15 lat, gdy w 1940 r. uściłował przedostać się przez granicę rumuńską, by dołączyć do Wojska Polskiego na Zachodzie i walczyć o oswobodzenie ojczyzny. Tak to sobie wyobrażał, dostał się jednak w łapska NKWD, by następnie w więzieniach i łagrach sowieckich spędzić ponad sześć lat, choć wyrok, który otrzymał, był „tylko” trzyletni. Nie objęła go żadna z dwóch amnestii dla Polaków – ta z 1941 r. i, mniej znana, z 1944 r. Przez całe życie zastanawiał się, dlaczego tak się stało. Niewykluczone, że sam się do tego przyczynił, wskazując Łódź jako miejsce urodzenia. Naprawdę jego dzieciństwo upłynęło w Osowcu-Twierdzy wśród żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, gdzie jego ojciec był strażnikiem fortecznym. Chłopiec chciał chronić rodzinę, nie wiedział jednak, że w międzyczasie z Łodzi uczyniono Litzmannstadt, a nadgorliwy NKWD-zista zmienił mu w związku z tym w papierach obywatelstwo z polskiego na niemieckie.

Nie doczekał się zwolnienia z kolonii karnej, wreszcie skazany na bezterminową zsyłkę uciekł. I to skąd – z Workuty! Opis jego tułaczki po nieludzkiej ziemi należy do najciekawszych w tej obszernej, liczącej 700 stron dużego formatu książce, która ukazała się ponad ćwierć wieku po śmierci jej autora. Do tego w nakładzie – to nie żart! – 200 egzemplarzy. I to tylko dzięki pomocy Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Powikłane losy tej edycji przedstawia we wstępie współredaktor „Golgoty narodów” Tomasz Dolecki.

Jerzy Gajdziński spisywać zaczął swoje wspomnienia natychmiast po tym, jak w 1947 r. wrócił do Polski. Trzy lata po powrocie znów go aresztowano, tym razem za to, że „publicznie nawoływał do



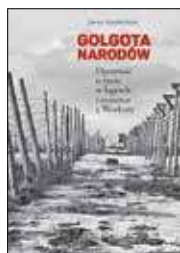
FOT. FUNDACJA JAKOBSTAF

czynów skierowanych przeciwko jedności sojuszniczej Państwa Polskiego ze Związkiem Radzieckim”. Skonfiskowano mu wtedy pierwszą wersję przyszłej książki. Nigdy jej nie odzyskał, a Wojskowy Sąd Rejonowy w Białymstoku wymierzył mu karę czterech lat pozbawienia wolności. Tym razem jednak objęła go amnestia – PRL-owska, z 22 lipca 1952 r.

Otym, jak wyglądało potem jego życie, opowiada w posłowiu syn autora, Marek. Pomocną dłoń zbiegowi z Workuty podało Stowarzyszenie PAX (nasuwa się tu na myśl podobna ucieczka z obozu pod Riazaniem wybitnego działacza PAX Ryszarda Reiffa), przez pewien czas pracował potem w „Słowie Powszechnym”, miał się różnych zajęć, generalnie rzecz biorąc – do śmierci w roku 1992 (przeżył 68 lat) klepał biedę. Wytrwale jednak najpierw odtwarzał swoje wspomnienia, by z kolei dopisywać nowe ich karty. Dopingowali go do tego, już w latach 80., wydawcy podziemnego „Przedświtu”, Jerzy Gajdziński żądał jednak opublikowania książki w całości, co ze względu na jej rozmiary przekraczało możliwości drugiego obiegu. Ukazały się wówczas jedynie fragmenty dzieła, m.in. w „Kulturze Niezależnej”. Splot

niefortunnnych okoliczności sprawił, że wydanie „Golgoty narodów” nastąpiło tak późno i to w czasie, gdy fala zainteresowania literaturą łagrową już minęła.

A jednak, powtarzam, ta książka jest wyjątkowa i warto, zanim ukaże się w godziwym nakładzie umożliwiającym jej nabycie w księgarni, postarać się o nią, a to – dzięki Internetowi – jest jeszcze wykonalne. Po pierwsze, „Golgota...” – w przeciwieństwie do większości polskich wspomnień z nieludzkiej ziemi – przedstawia gehennę więźnia łagru, a nie zesłańca. Po drugie – fotograficzną wręcz pamięć autora wspomaga w tekście fragmenty będące efektem lektur autora i czerpanych z wielu źródeł informacji, przy czym są one wyraźnie oddzielone, co pozwala porównać wspomnienia Gajdzińskiego ze sławnym „Archipelagiem Gułag” Aleksandra Solżenicyna. Po trzecie wreszcie, książka dowodzi tego, jak trudno było Polakowi wydostać się z sowieckiej niewoli. Po, zdawałoby się, nieprawdopodobnych wręcz perypetiach, po ucieczce, która gdyby nie pomoc Nieńców (ludu znanego nam głównie dzięki Waławowi Sieroszewskiemu), nigdy by się nie udała, kiedy wreszcie wycieńczony zbieg dociera do polskiej ambasady w Moskwie, wcale nie oznacza to końca jego problemów. Kapitalny jest obraz tej placówki „dyplomatycznej”, w której nie wiadomo, co było większe: nieuctwo, biurokracja, serwilizm wobec Sowietów czy antykomunizm. Nieprzypadkowo jeden z rozmówców autora na wspomnienie tamtej ambasady powiada: „Chroń nas, Panie Boże, od takiej opieki”. A o tym, że Jerzy Gajdziński dostał w końcu papiery powrotne, zadecydowała rozmowa z samym Berią (!), który zażyczył sobie obejrzenia śmiałka, który zbiegł z Workuty. I przeżył! ©©



★★★★★
JERZY GAJDIŃSKI
„GOLGOTA
NARODÓW.
OPOWIEŚĆ O ŻYCIU
W ŁAGRACH
I UCIECZCE
Z WORKUTY”
FUNDACJA
JAKOBSTAFI,
WARSZAWA 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Żywi i umarli

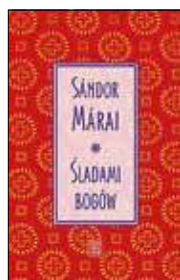
W Betlejem „po raz pierwszy od lat coś ścisła mi gardło” – notuje Márai. „Nie wiem dlaczego, ale jako naturalne odbieram to, że tego najbardziej nieskalanego Człowieka w chwili narodzin strzegły zwierzęta, że go ogrzewały, że otaczały go właśnie zwierzęta, a nie – ludzie. Zwierzęta dawały mu ciepło, gdy się narodził. Ludzie go ukrzyżowali”.

Było to niemal przed stu laty, dobrowolny wygnaniec z ojczyzny, który wędrował po Europie, aż wreszcie jako korespondent paryskich czasopism wyruszył na Bliski Wschód. „Śladami bogów” to zapis wrażeń z tej podróży (odbył ją w roku 1926), którego ominąć nie można, bo pochwały same cisną się na usta. Piękny język, odrobina zrozumiałej egzaltacji (ach, urok pierwszych spotkań, pierwszych smaków i widoków), wielka wrażliwość. „W Jerozolimie, w mieście swych dziadów, w najczystszym żydowskim mieście, Jerozolimie, Żydzi żyją w getcie” – zapisuje Márai.

Te zapiski to piękna literatura, spójrzcie proszę na zdanie: „Statek, chory na swoje mechaniczne serce, zatrzymuje się na pół dnia, żeby zabrać towar, inny zaś zostawić, na wyspie Rodos”. Wszystko

jeszcze przed Máraiem, chwile największej chwały i największej zgryzoty, przeżyje więcej niż kolejne pół stulecia. Ale w „Śladami bogów” już widzimy skalę jego talentu, widzimy, że to pisarz, którego warto, trzeba, musi się czytać. Widzą to i współcześni pisarze – książka jeszcze przed 1945 r. doczekała się kilku wznowień.

Jerozolima, Liban, Góra Oliwna, ale wcześniej Egipt – pogoń za sensacją epoki, Tutanchamonem odkopanym przez Cartera. Faraona łatwo znaleźć, bo spoczywa w muzeum, słynny archeolog wciąż się wymyka, o czym Márai pisze ze sporą dozą humoru. Czasem odbija się od rzeczywistości, nie mogąc pojąć fenomenu derwiszów. Grecja, Turcja; „młodym osobom i dzisiaj nie mogę polecić trasy bardziej pouczającej” – twierdzi Márai we wstępie do wydania z 1937 r., zalecając zarazem, by zaopatrzyć się w następujące akcesoria podróży:

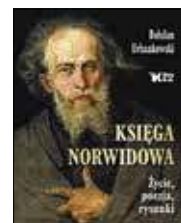


★★★★★
SÁNDOR MÁRAI
„ŚLADAMI BOGÓW”
CZYTELNIK 2021

entuzjazm oraz egzemplarz „Fausta” Goethego. „Podróżowałem jak ktoś, kto wychodzi naprzeciw przymierzcu żywych i umarłych”. Przymierze to trzeba umieć dostrzegać, a navigare necesse est. Sándor Márai był zaś wielkim pisarzem. I nadal jest. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Piękny prezent na zakończenie roku Norwidowskiego, którym był rok 2021. Znakomicie zilustrowany tom przynosi zarówno obszerny szkic o życiu i dziełach (nie tylko literackich) poety, jak i ciekawy wybór dokonanych z obszernego dorobku.



BOHDAN URBANKOWSKI
„KSIĘGA NORWIDOWA”
BIAŁY KRUK

„Józef Mackiewicz – pisarz i publicysta”. Wciąż za mało mamy opracowań o wielkich emigracyjnych pisarzach XX w., książka Maciąga pomaga wypełnić lukę. Rzec wydana w kooperacji z Fundacją Rozwoju Systemu Edukacji.



KAZIMIERZ MACIĄG
„SAM JEDEN”
IPN

Ciąg dalszy gorzkiego, przerażającego i pięknie napisanego w formie postapo rozliczenia z imperialnymi mrzonkami Rosji. Z części pierwszej wiemy, co się wydarzyło na krańcach imperium. Czas przenieść się do Moskwy.



DMITRY GLUKHOVSKY
„OUTPOST 2”
INSIGNIS

Ta monumentalna antologia nie zmieściła się w polskiej wersji w jednym tomie, jej pierwsza część ukazała się rok temu, teraz pora na resztę. Warto było czekać: najlepszy na rynku wybór kryminalnych opowiadań świątecznych.

©© **poleca Piotr Gociek**



OTTO PENZLER
„ŚWIĄTECZNE TAJEMNICE”, TOM II
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „CLARKE & KUBRICK”

Alfonso Font to jeden z najlepszych hiszpańskich twórców komiksu, a jedną z pereł w koronie jego osiągnięć jest cykl opowieści fantastycznych o parze kosmicznych najemników, których nazwiska to hold dla Arthura C. Clarke'a i Stanleya Kubricka. Wydanie zbiorcze zawiera pierwszy album cyklu z kilkunastoma krótkimi opowieściami oraz dwa al-



ALFONSO FONT
„CLARKE & KUBRICK. WYDANIE ZBIORCZE”
ELEMENTAL 2021

bumy pełnometradowe: „Władcy świata” i „Rezerwat szaleńców”. Warto zwrócić też uwagę na inne dostępne po polsku dzieła Fonta: „Więźnia gwiazd” oraz „Opowieści o niedoskonałej przyszłości”. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Jak skała na morzu

Historia Pomorza – od walki małego ludu Kaszubów o utrzymanie polskości, ich odrębności językowej i zwyczajowej, do gehenny Polaków pod okupacją niemiecką, której symbolem są Piaśnica i KL Stutthof – stała się inspiracją do projektu artystyczno-historycznego „Jak skała na morzu! Polskość Pomorza”. To także opowieść o budowaniu organizacji konspiracyjnych z Gryfem Pomorskim na czele i historia odnosząca się do

buntów robotniczych z lat 1970 i 1980.

„Chcemy przypomnieć Polakom z różnych stron naszej Ojczyzny walki małego ludu Kaszubów o utrzymanie polskości na Pomorzu, o ich integralnej przynależności do Polski i Polaków, a jednocześnie odrębności językowej i zwyczajowej. Jednocześnie zwrócić uwagę na ogromną rolę, jaką Pomorze odgrywało i odgrywa w rozwoju gospodarczym Polski oraz zmianach

historycznych” – tak w ramach projektu „Jak skała na morzu! Polskość Pomorza” piszą autorzy projektu z Towarzystwa Projektów Edukacyjnych.

W ramach projektu zorganizowano koncert, powstała też płyta. Darek „Maleo” Malejonek zaprosił do współpracy: Renatę Przybyk, Anię Rusowicz, Marię, Kasię Malejonek, Lilu, Monę, Jędrzeja Kodymowskiego, Tomasza Mackiewicza, Tomasza Drozdka, Kacpra

Popka oraz Jerzego Mazzolla. „Nie mamy nic ważniejszego, tylko wolnym być! Od morza wiatr niech nam wieje prosto w twarz. I dmucha w żagle tak, by do portu wejść, i znów poczuć, że to miejsce moje jest!” – śpiewa Renata Przybyk. „Pozwól mi, że będę mówić »miłość«, kiedy czuję ją, że będę krzyczeć »wolność«, kiedy ktoś mi chce ją zabrać. Ja korzenie swoje znam i wiem, jak pachnie dom, i nie ma takiej ceny, którą kupisz mnie!” – wyśpiewuje Marika.

„Jak skała na morzu! Polskość Pomorza” to trzeci koncert w kooperacji Towarzystwa Projektów Edukacyjnych z Darkiem Malejonkiem. Poprzednie to „Odwagą bijące serca” (koncert polskich i izraelskich artystów w hołdzie żydowskiemu żołnierzom z armii Andersa) oraz „Miasto Bohaterów”, czyli opowieść o zwykłych-niezwykłych bohaterach wojennej stolicy.

©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

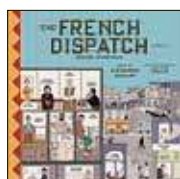
We Francji dawno temu

Od miesiąca na naszych ekranach jest zwariowany film „Kurier Francuski”. Po raz piąty autorem muzyki do obrazu Wesa Andersona jest Francuz, Alexandre Desplat.

Anderson ożywia w filmie atmosferę Francji lat 60. Ścieżka dźwiękowa Desplata zawiera wesołą muzykę kameralną, w której obok fortepianu i smyczków pojawiają się takie instrumenty jak klawesyn, banjo i tuba. Kompozytor wyraźnie inspirował się twórczością Erika Satie. Obok własnych utworów umieścił w wykonaniu francuskich wykonawców (Charles Aznavour, The Swingle Singers, Chantal Goya, akordeonista Gus Viseur),

amerykańskiego piosenkarza Gene’a Austina, ale też zacytował ówczesne dzieła Ennia Morricone i Maria Nascimbene. Desplat zaprosił do studia brytyjskiego wokalistę Jarvisa Cockera, który nagrał nową wersję francuskiego przeboju „Aline” z 1966 roku.

Klawesyn i tuba otwierają ścieżkę dźwiękową w dościsłym „Obituary”, po czym dołączają drewniane i blaszane instrumenty dęte. Taneczne utwory Desplata przybierają czasem formę walca („Mouthwash de Menthe”), a czasem swingują („Kidnappers Lair”, „Blackbird Pie”). Znaczącą rolę w nagrań odegrał pianista Jean-Yves Thibaudet, którego gra idealnie odzwierciedla ducha zwariowanego obrazu Wesa Andersona. ©©



★★★★★
ALEXANDRE DESPLAT
„THE FRENCH DISPATCH”
ABKCO



★★★★★
RÓŻNI WYKONAWCY
„MĘSKIE GRANIE 2021”
MYSTIC

Liderzy tegorocznego

MG (Daria Zawiałow, Dawid Podsiadło i Vito Bambino) wykonują na pierwszej płycie standardy naszego popu od „Małgości” Rodowicza po „Założę G” Hurtu. Na drugim krążku usłyszymy trzynastu wykonawców i trzy zespoły, od Nosowskiej do Kwiatu Jabłoni.



★★★★★
ALICIA KEYS
„KEYS”
RCA

Album „Keys” jest sequelem ubiegłorocznej płyty „Alicia”. Pierwszy dysk to standardowy album wokalistki, na którym zaświadcza ona o swojej wierze i wdycha do kochanka. Drugi krążek zawiera remiksy oraz duety z Khalidem, Lucky Dayem i Swaem Lee. Przewidywalnie i konwencjonalnie. ©©



Krzysztof Masłoń

Jak można się było spodziewać, największy kłopot był z dziadkiem, który uparł się, by oglądać w Jedynce śpiewającą kolędy Parę Prezydencją na zmianę z braćmi Golcami, a nie – jak tradycja nakazuje – zaśmiewać się z przygód Kevina, co to w Polsce sam został w domu. Ucałił dziadka pilota i trzymał go kurczowo, podgłaśniając tylko porykiwania bliżej nieznanymi pieśniami – pasterskich chyba – w których ani słowa nie było o Czerwononosym Rudolfie, za to reklamowano jakieś rękawiczki i smyczki. Młodsza siostra próbowała zgłuszyć tę pienia, włączając płytę z przynajmniej wszystkim znanym tekstem, a mianowicie „The Last Christmas”, ale babunia zaczęła płakać i daliśmy sobie spokój. Wprawdzie okazać się miało, że roniła łzy od chwili, gdy stwierdziła brak w programie w tym feralnym dniu odcinków swoich ulubionych seriali z „Klanem” i „Barwami szczęścia” na czele, zrobiło się jednak nieprzyjemnie.

Apetyty gościom też nie dopisywały. Ciocia nie chciała jeść ani tuńczyka, ani soli i wraz z wujem domagali się karpia. Sushi nie tknęli, a o jajkach w majonezie powiedzieli tylko, że to nie Wielkanoc. Jakbyśmy z żoną nie mieli nic innego do roboty, tylko przygotowywać różne potrawy na różne święta, których – jak wiadomo – i tak jest w kalendarzu za dużo. O tym, że na carpaccio z buraka też kręcono nosem, nawet nie wspomnę. Dobrze, że dzieciarnia pizze wegetariańską skomunowała bez protestów, a następnie udała się do drugiego pokoju, skąd niebawem doszły nas dźwięki „Somebody” Sary James, przy których milusińscy budowali



Kadr z filmu „Gwiazdka w miasteczku marzeń”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wigilijne sushi

choinkę z klocków Lego, czego się nauczyli z TVN od państwa Majdanów.

Dziadek tymczasem zmienił kanał i raczyć nas zaczął kolędami ze Lwowa, zapowiadając, że po północy zamierza obejrzeć transmisję pasterki z Ludźmierza. No bo skoro nikt mnie nie zawiezie do kościoła – użalał się – skazany jestem na telewizję. A że mógłby wlepić ślepią choćby w TVN-owską atrakcję w postaci „Listów do M.” czy któryś z jakże sympatycznych świątecznych filmów w rodzaju: „Gwiazdka w miasteczku marzeń”, „Zakochać się w święta”, „Brat świętego Mikołaja” – nie, to dla tego wigilijnego ortodoksa było nie do przyjęcia. Do tego wszystkiego wuj ni z tego, ni z owego podzielił się z nami informacją, że Cinemax dawno temu już zapowiedział, że w tegoroczne Boże Narodzenie nie pokaże żadnego filmu uważanego za świąteczny i że jemu osobiście to się podobą, bo tych amerykańskich

i amerykańskopodobnych produkcji o Mikołajach ma po uszy. A na Karolaka z worem prezentów patrzeć nie może. Esteta się znalazł.

Bodaj moja żona popisała się z kolei uwagą, że z niczym nie należy przesadzać, a że robi zakupy w supermarketach, w których od połowy listopada na okragło puszczają „White Christmas” na zmianę z „Jingle bells”, to na tę świąteczną anglijszczyznę, a raczej amerykańszczyznę reaguje alergicznie. Prawie jak na disco polo. I wtedy wuj – historyk amator – wtrącił, że w komunistycznej Rumunii przed obaleniem Ceaușescu królował niejaki Nelu Vlad z grupą Azur, a jak to się skończyło dla Geniusza Karpat, to wszyscy wiedzą. Podchwyciłem temat ochotczo, pytając, czy przypadkiem zapowiadany w telewizji na święta benefis zespołu Bayer Full nie przyspieszy upadku PiS, krewniak jednak zaprzeczył, wieszcząc zwycięstwo w kolejnych wyborach ekipy z ulicy Nowogrodzkiej.

– Zamknij ryj! – ryknęła nagle nasza kotka, dla beki nazwana przez dzieci Lampartem. Zrobiło się cicho. Dotąd nie wierzyłem, że w Wigilię zwierzęta mówią ludzkim głosem, a tu taka siurpriza. W telewizorze akurat sugerowano, że kto wie, czy za rogiem nie stoją aniołkowie. A wstrętny dziadek dowodził, że to nie żadni „aniołkowie”, tylko „Anioł z Bogiem”. Przygłuchy, a jaki cwany.

Szczęśliwie nestor rodu zmęczył się i zasnął w fotelu. Delikatnie wyjąłem mu pilota z dłoni i włączyłem TVN24. Nadawali wieczór kolęd z Krakowa. Znikąd pomocy! – chciałoby się rzec. Na szczęście mamy Netflixa, dzięki któremu jakoś przeżyłem ten najgorszy dzień w roku. Carpaccio wyrzuciłem do kosza, sushi dojem na świąteczne śniadanie. Przed snem zanuciłem do poduszki:

*Jingle bells, jingle bells
Jingle all the way
Oh! What fun it is to ride
In a one horse open sleigh. ©*

Spotkanie hiszpańskiego
konkwistadora Hernána Cortésa
z Aztekami FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Odkłamać podbój świata i nie przeproszać

Trzeba przyznać, że choć Hiszpania poniosła krzyż i wiarę w najdalsze zakątki świata, to nie została jeszcze „odkryta” przez Papę Francisca.

Pewien rozgoryczony intelektualista hiszpański powiedział mi ostatnio: „Habemus Papam od 3208 dni, ale jakoś nie zdołał znaleźć w kalendarzu ani jednego dnia, aby z Rzymu pofatygować się do Ávila czy Santiago de Compostela”. Bardzo wiele takich głosów słychać w Hiszpanii, która stara się poznać motywy tej dość czytelnej niechęci papieża wobec kraju, który jednak uczynił religię katolicką prawdziwie uniwersalną i stworzył pierwszą globalną wspólnotę wiary – Christianitas. W 2019 r. meksykański lewicowy prezydent López Obrador zażądał przeprosin za konkwistę od króla Hiszpanii Filipa VI i papieża. Pierwszy zignorował to żądanie, drugi się ugiął we wrześniu tego roku.

Nie ma zresztą potrzeby zaglądać w zakamarki świadomości papieża, gdy tylu rodaków nad Wisłą żywi podobne uprzedzenia wobec Hiszpanów. Zwłaszcza do historii ich podbojów w dobie cancel culture i niedawnej eksplozji ruchu BLM. Gdy tłumaczę rodakom, że tym, co może ułatwić wzajemne zrozumienie Polaków i Hiszpanów, jest nasze doświadczenie bezradnej walki z czarnym PR-em i propagandą wrogich mocarstw, którym przeszkadzamy – nie dowierzają. Nam się ciągle wydaje, że tylko katolicyzm w polskim wydaniu mógł sprowadzać wrogów i że nie ma



Małgorzata Wołczyk

To Hiszpanie rozszerzyli świat do rozmiarów, które znamy, ponieśli cywilizację i religię kochającego, ukrzyżowanego Boga, stawiając czoła bezkresnemu oceanowi, którego wszyscy się wówczas bali. Dziś próbuje się pisać na nowo historię, strącając z pomników postacie, które przyniosły cywilizację i wyzwoliły dużą część świata od wojen plemiennych

gorszej „crash-zone” niż nasze miejsce na mapie. A tymczasem katolicka Hiszpania zadarła w swoim czasie z protestanckim, niemieckim imperium druku i fake newsów (!), za co płaci do dzisiaj.

To przecież przerażające ryciny z protestanckich ksiąg wciąż karmią naszą wyobraźnię i podpowiadają, jak bestialska była ponoć hiszpańska Inkwizycja i konkwista Nowego Świata. Bogate Niderlandy, które nie mogły się pogodzić z narzuconą władzą Korony hiszpańskiej powstawały przeciw Madrytowi zbrojnie, ale też propagandowo – kolportując fałszywki na skalę światową. Oświeceniowa Francja i podboje Napoleona w Hiszpanii przyniosły kolejną porcję propagandy. A potem rozpoczęła się era wojen Hiszpanii ze Zjednoczonym Królestwem, z USA i wobec tych faktów zaczynamy rozumieć, dlaczego w naszej świadomości „Inkwizycja hiszpańska”

jawi się jako najbardziej krwiożercza, choć przecież świat akademicki i naukowy zaprzecza temu od dekad.

KOLONIZACJA PO CHRZEŚCJIJAŃSKU

Podboje Hiszpanii w Nowym Świecie to wciąż niestety synonim gorączki złota i masakry ludności tubylczej, a nie autentyczna ewangelizacja i niesienie zdobyczy cywilizacyjnych do dalekich i prymitywnych plemion prekolumbijskich. Widzieliśmy po prostu zbyt dużo filmów hollywoodzkich i programów Discovery, które wciąż utrwalają zafałszowany obraz dziejów i na których produkcję Hiszpanie patrzą tak jak my na programy Sputnika i RT. Sceptykom, którzy nie rozumieją, dlaczego mocarstwa miałyby niby podcinać nogi Hiszpanii, podpowiadam: Iberosfera to ogromna połać świata, która zjednoczona wokół

swej duchowej ojczyzny i we wspólnych interesach byłyby niezwykle wpływowa i zajmowałyby terytorium nawet większe niż Federacja Rosyjska.

W 24 państwach hiszpański jest językiem urzędowym, w 21 kolejnych jest drugim językiem, a na świecie żyje ponad 600 mln hispanohablantes. Hiszpania była już imperium, w którym słońce nie zachodziło, ale w przeciwieństwie do imperialnej Rosji wszędzie, gdzie postawiła stopę, starała się wprowadzić zasady i prawa, które wywodziła z nauki katolickiej i dziedzictwa klasycznego. Tak jak działalność szmalcowników w czasie wojny nie może przesądzać o postawie narodu polskiego, tak też okrucieństwo niektórych konkwistadorów nie może przesądzać o postawie Korony Hiszpańskiej, której obsesję na temat praw tubylców i ich chrześcijańskiego traktowania dowodzą nie tylko archiwa, lecz także przede wszystkim rysy twarzy współczesnych Latynosów. Nie ma już prawdziwej rdzennej ludności ani w USA, ani w Kanadzie, z wyjątkiem „niedobitków” w rezerwach, bo Anglia wytepiła je, podczas gdy Hiszpania była jedyną potęgą, która kolonizowała poprzez mieszanie się ras i zachęcanie Hiszpanów do ożenku.

Dlaczego tak się stało? Ponieważ od początku zdobyte tereny nie były nazywane ani traktowane jako „kolonie”, ale miały nazwę „Nueva España”, a ściślej Nowe Królestwo Hiszpanii (Ameryka Środkowa plus znaczna część Ameryki Północnej, Filipiny, Alaska i wyspy Pacyfiku) oraz wicekrólestwo Peru (prawie cała Ameryka Południowa, z wyjątkiem Brazylii). Wielu ignorantów z zakresu historii patrzyło pewnie z ulgą, jak rozsierdzone tłumy po śmierci George’a Floyda obaliły osiem pomników hiszpańskich bohaterów, a z całą pewnością była wśród nich Olga Tokarczuk, która winom Hiszpanii poświęciła spory fragment swej dziwacznej mowy noblowskiej, co – miejmy nadzieję – nie zostanie jej łatwo zapomniane na Półwyspie.

Nowa Hiszpania w przeciwieństwie do kolonialnych posiadłości Anglii, Francji i Holandii nie była miejscem wyzysku i ludobójstwa, ale przede wszystkim terenem ewangelizacji, cywilizowania i tworzenia kultury. Hiszpanie lubią przedstawiać konkwistę na podobieństwo podbojów Starożytnego Rzymu i mają w tym wiele racji. Po pierwsze, jakkolwiek to zabrzmiało, sama konkwista Nowego Świata była w pełni legalna, to

znaczy – przeprowadzono ją na prawie rzymskim: odkrycie nowych ziem i ich zajęcie było wystarczającym tytułem do sprawowania dominacji. Po drugie, według średniowiecznego zwyczaju: niechrześcijanie pozbawieni byli osobowości prawnej i stąd nie byli podmiotem praw, co m.in. legitymizowało niewolnictwo, a po trzecie i najważniejsze – oparta była na prawie papieskim. Stolica Apostolska przyznawała prawo do konkwisty chrześcijańskim władcom.

Gdy Hiszpania zajmuje Amerykę (1492 r.), robi to w zgodzie z powyższymi prawami. Pod takim warunkiem Królowa Izabela zezwala Kolumbowi na misję, a papież zobowiązuje Hiszpanów do ewangelizacji. Po raz pierwszy w historii dziejów potęga kolonialna narzuca sama sobie obowiązek dobrego traktowania tubylców (zakaz niewolenia) oraz ich nawracanie i chrzczenie, aby stali się podmiotem prawa, ale też nowymi duszami dla Nieba.

Oczywiście takie były zapisy, tak stanowił Testament Królowej Izabeli z 1504 r., praktyka w rzeczywistości często zawodziła, bo nie było dostatecznych narzędzi, aby kontrolować konkwistadorów i egzekwować zapisy Korony. Jednak już w 1511 r. obudzone zostaje sumienie i w obecności gubernatora Hispanioli Diego Kolumba (syna odkrywcy) mnisi dominikańscy podnoszą bunt i mówią o grzechach śmiertelnych konkwistadorów, których odpuszczać nie zamierzają. Skarga błyskawicznie dociera do Korony i król Ferdynand rozkazuje im wrócić do Hiszpanii i złożyć meldunek o zaobserwowanych nadużyciach.

Niesubordynacja i opór mnichów wobec zarządców wysp w jakimkolwiek innym kraju byłyby powodem do ich uciśnienia lub uśmiercenia, ale nie w katolickiej Hiszpanii. Król zbiera pośpiesznie całą ówczesną elitę intelektualną kraju w Burgos i w 1512 r. wyłania się rzecz bez precedensu: pierwszy akt prawny o ochronie prawnej mieszkańców Nowego Świata o rewolucyjnym znaczeniu dla kwestii późniejszego kształtowania się praw człowieka. Przyznano Indianom wolność i liczne prawa, na których straży mieli stać specjaliści inspektorzy. Owszem, mieli obowiązek pracy na rzecz Hiszpanii, ale tak, aby nie kolidowało to z ich prawem do edukacji i odpoczynku. Mieli otrzymać swoje domy, kościoły i kaplice blisko hiszpańskich osiedli. Mieli nawet prawo do symbolicznej wypłaty wy-

nagrodzenia. Rok później opracowane zostają kolejne prawa z Valladolid, które tym razem pod szczególną ochroną biorą dzieci (zakaz pracy poniżej 14. roku życia), kobiety ciężarne i wychowujące dzieci (wykonywanie tylko lekkich zajęć). Rozwój praw ludności tubylczej nie przestaje zaprzętać myśli elit hiszpańskich, stąd znana do dziś rola twórcy szkoły Salamanki Francisca de Vitorii i jego nurt myśli teologiczno-prawnej o ogromnych reperkusjach dla prawa międzynarodowego i ekonomii międzynarodowej.

HISZPAŃSKA MENTALNOŚĆ

Kiedy Alexander von Humboldt – najwybitniejszy geograf, podróżnik, przyrodnik nowożytnego świata, ale też propagator dzieł Mickiewicza – odwiedził Amerykę na początku XIX w., był bardzo uprzedzony do Hiszpanii i efektów jej podboju, ale szybko przyznał, że wicekrólestwa były świetnie zorganizowane, prosperujące i nie było korupcji instytucjonalnej. Odkrył, że zasymilowani Indianie i Metysi uczestniczyli otwarcie i bez przeszkód w życiu społecznym, a ich sytuacja prawna i ekonomiczna była lepsza niż wielu chłopów w północnych Niemczech. Pierwszy szpital w Ameryce został otwarty przez Nicolása Ovando w Santo Domingo na wyraźne polecenie króla Fernanda, aby stworzyć go tam, gdzie jest to konieczne, więc w latach 1521–1528 w Meksyku powstały trzy następne.

Nic z podobnych przedsięwzięć nie mogło wydarzyć się w koloniach angielskich, francuskich, stąd w Kanadzie zginęło 95 proc. rdzennej ludności. W ciągu trzech stuleci Hiszpania założyła 27 uniwersytetów w Ameryce, trzy z nich w Nowej Hiszpanii. Pierwsza katedra medycyny została stworzona przez Hiszpanów już w 1551 r. w Meksyku, podczas gdy pierwsza na ziemiach kolonizowanych przez Anglików dopiero w 1765 r. Pierwszy uniwersytet w USA – Harvard – został założony w 1636 r., a pierwszy w kanadyjskim Toronto – w 1841 r.

Dlaczego ani Holendrzy, ani Portugalczycy nie stworzyli w swoich koloniach ani jednego uniwersytetu? Odpowiedzią znów jest mentalność Hiszpanów, zorientowana do cna na wysiłek cywilizacyjny i ewangelizacyjny. Znamy też opis Królewskiej Wyprawy Dobroczynnej w 1803 r. w ramach akcji szczepionkowej dowodzonej przez Francisco Javiera de Balmis, dzięki któremu szczepionka przeciw ospie dotarła aż do Puerto

■ Rico, Caracas, Hawany, Veracruz, miasto Meksyk i stamtąd na Filipiny, a nawet do enklaw chińskich w Makau i Kantonu.

Nie bez powodu hiszpański filozof Gustavo Bueno wprowadził rozróżnienie na „imperializm twórczy”, jak Imperium Rzymskie czy Hiszpańskie, i „imperializm drapieżny”, w domyśle wyniszczający, jak Imperium Mongolskie, czy jeszcze chętniej wskazywane przez nas Imperium Rosyjskie. Nie potrafimy sobie wprost wyobrazić, że nasi najeźdźcy z uznaniem podejmują trud mowy w języku polskim i własnym wysiłkiem publikują podręczniki gramatyki, kodyfikując wszystkie reguły! A tymczasem Hiszpanie po zawitanii do Nowego Świata publikują „Gramatykę języka nahuatl” napisaną przez franciszkańskiego misjonarza w 1547 r. I kolejno gramatyki: keczua, guaraní i tuzin następnych, podczas gdy polska gramatyka wychodzi pierwszy raz w 1568 r. To jednoznacznie dowodzi, że Hiszpanie uczyli się języków tubylców, aby móc w procesie inkulturacji nieść Boga, a nie jak przywykło się sądzić – z użyciem szpady i inkwizycji.

Pierwszą książką, która została wydrukowana już w 1539 r. w Meksyku, był dwujęzyczny katechizm zatytułowany „Krótka i pełna doktryna chrześcijańska w języku meksykańskim i hiszpańskim”. W 1580 r. Filip II nakazał utworzenie katedr rdzennych języków w celu promowania ich nauki.

OCALENIE

Ktoś mógłby zarzucić, że mowa tu tylko o pozytywnych stronach konkwisty, a przecież oznaczała ona także śmierć milionów ludzi. Dodać tylko trzeba dla uczciwości, że główną przyczyną śmiertelności wśród Indian było coś, co Hiszpanie przyweźli ze sobą zupełnie nieświadomie: świat mikrobów, wirusów, o których istnieniu nikt nie miał pojęcia w XVI w. Szacuje się, że ospa zabiła do 3,5 mln istnień, po niej przyszła zaś odra. Pomni stosów trumien we Włoszech i Hiszpanii w pierwszych miesiącach pandemii COVID-19 dziś jesteśmy bardziej skłonni wierzyć, gdy Hiszpanie wymieniają ospę jako ten faktyczny miecz śmierci ze strony kolonizatorów. Tylko że im – w przeciwieństwie do Anglików – nigdy nie przyszło na myśl, aby zafundować zakażone koce i podrzucić je rdzennej ludności.

Gdy Hiszpanom zarzuca się „ludobójstwo”, lubią przywoływać film „Apocalypse” Mela Gibsona. Trudno znaleźć Hisz-

Wraz z nadejściem Hiszpanów przyszło ocalenie dla licznych plemion prześladowanych przez Azteków, którzy, jak obliczają niektórzy historycy, mieli na sumieniu masakry rzędu nawet 80 tys. ofiar rocznie

pana, który nie byłby wdzięczny za to filmowe dzieło odkłamania propagandy antyhiszpańskiej, choć już znając polskie recenzje tego filmu, można się szczerze uśmieć nad obecną błędną interpretacją, w myśl której finał oznaczałby, że bestia ludzka w osobie Majów napotka równego wroga i karę w postaci innej bestii, czyli konkwistadorów hiszpańskich.

Doprawdy, trudno o większe nieporozumienie, gdy archeolodzy wciąż wynajdują stanowiska z tysiącami ludzkich czaszek. Krwawe ofiary z ludzi w kulturach Indian prekolumbijskich są doskonale udokumentowane i drastyczność filmu Gibsona była konieczna. Wystarczy wpisać do wyszukiwarki hasło *tzompantli*, aby zobaczyć makabryczne zdjęcia zachowanej wieży z czaszek o średnicy 60 m, która znajdowała się w części kaplicy Huitzilopochtli, azteckiego boga słońca, wojny i ofiar z ludzi. Był to ołtarz typowy dla kultur mezoamerykańskich: odcięte głowy ofiar szeregowo nabijano na pal, co stanowiło rodzaj palisady z czaszek. Przez wieki zarzucano Hiszpanom, że demonizowali kulturę Azteków, aby mieć usprawiedliwienie dla swoich podbojów. Nic bardziej mylnego. O specyficznych „sanktuariach śmierci” odkrywanych w Meksyku można już znaleźć pokazną literaturę.

Ekspert Jorge Gómez Valdés zapewnia, że dekapitacja dokonywana przez ówczesnych kapłanów była „imponująco czysta i zwinnie przeprowadzana”. Okazało się, że ok. 75 proc. zbadanych do tej pory czaszek należało do mężczyzn, w większości w wieku od 20 do 35 lat, czyli młodych wojowników. 20 proc. należało do kobiet, a 5 proc. do dzieci. Większość ofiar wydawała się być w doskonałym zdrowiu zanim ich dekapitowano.

I ten fakt jest jednym z wielu świadczących o tym, że wraz z nadejściem Hiszpanów przyszło ocalenie dla licznych plemion prześladowanych przez Azteków. To dlatego, gdy 13 sierpnia

1521 r. hiszpański konkwistador Hernán Cortés wkracza do imperium Azteków, towarzyszy mu ledwie 300 hiszpańskich wojowników, za to ma za sobą tysiące wojowników rdzennej ludności, którzy przyłączyli się do niego, aby zrzucić jarzmo ciemności i kanibali, tak jak to ukazał w filmie Gibson. Aztekowie, jak obliczają niektórzy historycy, mieli na sumieniu masakry, rzędu nawet 80 tys. ofiar rocznie.

Mimo to prezydent Meksyku zdołał uzyskać od papieża swoiste przeprosiny, co spowodowało szmer niedowierzania i oburzenia wśród Hiszpanów. O ile Olga Tokarczuk, sugerując w swej mowie noblowskiej, że świat plemion prekolumbijskich był bliski ideału, zwyczajnie plotła piramidalne bzdury, o tyle jednak od papieża z Argentyny wypadałoby już oczekiwać wiedzy, a przynajmniej lepszych doradców w tej materii. To Hiszpanie rozszerzyli świat do rozmiarów, które znamy, ponieśli cywilizację i religię kochającego, ukrzyżowanego Boga, stawiając czoła bezkresnemu oceanowi, którego wszyscy się wówczas bali, powtarzając legendy o wyłaniających się potworach morskich i wyniszczających chorobach. Nikt ich też nie uprzedził, jakie „atrakcje” czekała w Nowym Świecie, bo okrucieństwo klimatu, niedostępnej przyrody z jej fauną i wreszcie kanibalizm tubylców pozostawały czymś absolutnie szokującym dla Europejczyków tamtego czasu. Doprawdy można było poświęcić tak wiele dla mirażu kopalni złota i pościgu za skarbami, jak to przypisuje się Hiszpanom?

Dziś ruchy idygenistów w połączeniu z lewicowym *cancel culture* próbują pisać na nowo historię, strącając z pomników postacie, które przyniosły im cywilizację i wyzwolenie od wojen plemiennych. Wystarczy pojechać do Madrytu i wejść na mszę w katedrze Almudena, aby odkryć, że ludzie, którym podajemy rękę na znak pokoju, mają rysy twarzy, które my Polacy znamy głównie z filmów lub programów Wojciecha Cejrowskiego. Wystarczy też otworzyć hiszpańską gazetę, Twittera partii VOX, żeby przekonać się, jak Hiszpanie żyją i przeżywają kryzysy władzy lub problemy ludzi w Wenezueli, Chile czy Argentynie. Tak nie postępowałiby potomkowie okrutnego Imperium. To tylko my, Polacy, na hasło Imperium (Rosyjskie) przywykliśmy myśleć: „śmierć”. I nikt jakoś nie myśli nas za to przepraszać...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Polski Ład zapewnia nowy instrument wsparcia dla rodzin z małymi dziećmi

Rząd Zjednoczonej Prawicy poświęcił rodzinie wiele uwagi, przygotowując w ciągu sześciu lat wiele nowatorskich rozwiązań prorodzinnych – w tym m.in. programy „Rodzina 500+”, „Dobry Start”, „Mama 4+”. Tylko w ramach programu „Rodzina 500+” do rodzin trafiło już blisko 170 mld zł. Warto wspomnieć o ponaddwukrotnym zwiększeniu dostępności miejsc w instytucjach opieki nad dziećmi do lat trzech dzięki rozwojowi programu „Maluch+”. Dzisiaj dla najmłodszych dzieci zabezpieczono blisko 211 tys. miejsc „opieki żłobkowej”.

INWESTYCJA W RODZINĘ

Inwestowanie w rodzinę jest sukcesywnie i stale zwiększane. Planujemy, że budżet programu „Maluch+” wzrośnie trzykrotnie – do 1,5 mld zł rocznie. W ramach programu „Dobry Start” w latach 2018–2021 do rodzin trafiło ponad 5,2 mld zł, w tegorocznej edycji objętych nim było prawie 4,5 mln dzieci. Z Karty Dużej Rodziny korzysta już 1,1 mln rodzin wielodzietnych.

Programy skierowane do rodzin z dziećmi to odpowiedź na oczekiwania Polaków, dla których rodzina jest najważniejszą wartością, a także na negatywne trendy demograficzne.

– 98 proc. Polaków deklaruje, że chce mieć dzieci. Naszą rolą jest likwidowanie barier, które sprawiają, że te marzenia się nie urzeczywistniają – tworzenie takich warunków, żeby rodzice mieli komfort podejmowania decyzji prokreacyjnych i wychowywania dzieci. Rodzinny kapitał



1 stycznia 2022 r. wchodzi w życie rodzinny kapitał opiekuńczy – kolejny element polityki prorodzinnej prowadzonej przez rząd. To 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w rodzinie w wieku od 1. dnia miesiąca, w którym dziecko kończy 12. miesiąc życia, do końca miesiąca, w którym dziecko kończy 35 miesięcy. Świadczenie będzie wypłacane bez względu na wysokość dochodów rodziny

opiekuńczy jest właśnie takim instrumentem. Ma zapewnić rodzicom małych dzieci wsparcie w wychowaniu i opiece nad nimi, dać poczucie bezpieczeństwa – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

RODZINNY KAPITAŁ OPIEKUŃCZY – DLA KOGO?

Rodzinną kapitał opiekuńczy to 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w rodzinie w wieku od 12. do 35. miesięcy życia. Rodzice sami wybiorą sposób wypłacania świadczenia oraz zdecydują, na co przeznacza pieniądze. Świadczenie może być wypłacane po 1000 zł miesięcznie przez rok lub po 500 zł przez dwa lata.

Przy przyznawaniu świadczenia nie będzie brane pod uwagę kryterium dochodowe. Oznacza to, że rodzice otrzymają je na wszystkie upraw-

nione dzieci, niezależnie od wysokości dochodu rodziny. Ponadto środki te nie będą opodatkowane.

– Rodzinny kapitał opiekuńczy to nie tylko kolejna inwestycja w rodzinę, w kapitał ludzki, to również wyraz solidarności społecznej. Ponieważ to, ile będzie się rodziło Polaków, jest sprawą nas wszystkich, całej naszej wspólnoty – dotyczy przyszłości Polski. Bez odwrócenia negatywnych trendów demograficznych, bez wzrostu dzietności, bez inwestowania w rodziny zrównoważony rozwój Polski będzie zagrożony – podkreśla minister Marlena Maląg.

W 2022 r. rodzinny kapitał opiekuńczy obejmie ok. 615 tys. dzieci. To ok. 3 mld zł dodatkowego wsparcia dla polskich rodzin.

JAK ZŁOŻYĆ WNIOSEK?

Aby uzyskać prawo do rodzinnego kapitału opiekuń-

czego, konieczne będzie złożenie wniosku. Można to zrobić za pośrednictwem portalu Empatia (portal Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej), PUE ZUS lub poprzez bankowość elektroniczną. Środki będą przekazywane na wskazane przez rodziców konto bankowe, w wybranej wysokości i w wybranym okresie wypłacania.

DOFINANSOWANIE POBYTU DZIECKA W ŻŁOBKU

Rodzice dzieci, które nie zostaną objęte rodzinnym kapitałem opiekuńczym, będą mogli skorzystać z dofinansowania do pobytu dziecka w żłobku, klubie dziecięcym lub u dziennego opiekuna w maksymalnej wysokości 400 zł miesięcznie. Środki te będą przekazywane bezpośrednio do instytucji opieki (nie więcej niż wysokość opłaty ponoszonej przez rodziców). Według szacunków tym świadczeniem zostanie objętych ok. 110 tys. dzieci.

Wnioski o dofinansowanie będzie można składać do ZUS od 1 kwietnia 2022 r. Jeżeli wniosek zostanie złożony do 31 maja 2022 r., to dofinansowanie zostanie przyznane z wyrównaniem od 1 stycznia 2022 r.

INWESTYCJA W PRZYSZŁOŚĆ POLSKI

– Rodzinny kapitał opiekuńczy to kolejna ważna inwestycja w rodziny. To także dowód zaufania polskim rodzinom, docenienie ich znaczenia i niezmiennie ważnej roli w społeczeństwie – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Mitteleuropa zamiast Międzymorza



Maciej Rosalak

Panowali tu cesarze z Rzymu i Konstantynopola, potem dominowali królowie węgierscy (w tym trzech Jagiellończyków) i cesarze z rodu Habsburgów. Od XIV w. trwała ofensywa Turków osmańskich, pozbawionych większości zdobyczy dopiero pod koniec XIX w. Wtedy też drapieżnie spojrzała na Międzymorze nowa potęga: II Rzesza Niemiecka z planem ekspansji o nazwie „Mitteleuropa”. Czy Niemcy właśnie do niego wracają?

Tak zwane środkowo-europejskie Międzymorze sięga krajów bałtyckich na północy i Grecji na południu. W ciągu dwóch tysięcy lat naszej ery pełne było dramatycznych najazdów i podbojów, powstawania nowych narodów, ich państw i państewek, krwawych wojen i nietrwałych pokojów, rzezi etnicznych i waśni religijnych,

władców dobrych i tyranów, częstego niszczenia dorobku mieszkających tu ludzi. Przypominam to w ogólnym zarysie.

Dziś nawiązuje do niego nasz projekt Trójmorza z krajami Unii Europejskiej położonymi między Bałtykiem oraz morzami Czarnym i Adriatyckim. Do projektu przystąpiły: Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Litwa, Łotwa, Polska,

Rumunia, Słowacja, Słowenia i Węgry – łącznie 112 mln mieszkańców i zajmujące trzecią część powierzchni całej Unii. Ich równoprawna współpraca dla wspólnej korzyści była niemożliwa, gdy większość z tych państw należała do bloku sowieckiego. Trójmorze nazwy Międzymorza nie powieliła głównie dlatego, aby nie kojarzyło się z międzywojennymi polskimi koncepcjami unii państw „Mórz ABC”, która mogłaby stanowić przeciwwagę i dla Niemiec, i dla Rosji. Ówczesne obawy Litwy i Ukrainy przed polską supremacją, niedobre ich wspomnienie „idei jagiellońskiej” i federacyjnej koncepcji Piłsudskiego, nie dla wszystkich zrozumiały polski prometeizm, zakładający przy tym rozbięcie Imperium Rosyjskiego pod każdą postacią, uniemożliwiły realizację polskiej koncepcji.

OD RZYMU DO OSMANÓW

Ekspansja rzymskiej republiki na Bałkany zaczęła się wraz z zajęciem Grecji w II w. p.n.e. Rzymianie podbili też

Kongres berliński (na obrazie Antona von Wernera z górującą nad wszystkimi postaciami Ottona von Bismarcka), który ukształtował nowy podział części świata na korzyść Habsburgów i Hohenzollernów FOT. WIKIPEDIA



w tych czasach ziemie dzisiejszej Chorwacji, Bośni i Hercegowiny, Serbii, Albanii i północnej Macedonii, na których założyli w 168 r. p.n.e. prowincję Illyricum (nazwa od plemion Illirów). Później wydzielono z niej prowincję Dalmatia (Dalmacja), ciągnącą się kilkaset kilometrów dość wąskim pasem wzdłuż wybrzeża adriatyckiego. Z dawnych włości Filipa II Macedońskiego zdobywcy wydzielili dwie prowincje: Macedonię i grecką Achaję.

Pamiętajmy jednak, że ziemie starożytnej Macedonii leżą obecnie w obrębie czterech państw: Grecji, Bułgarii, Macedonii Północnej i Albanii. Już w II w. p.n.e. Rzymianie wybudowali również Via Egnatia, drogę wiodącą od wybrzeża Adriatyku w Durrës (wtedy Dyrrachium) poprzez Saloniki (Egnatia) do Bizancjum. Chodziło o południowe połączenie Półwyspu Apenińskiego z Bałkanami. Legioniści rzymscy mogli tędy – po przeprawie przez cieśninę między morzami Adriatyckim i Jońskim – dostać się na

wschód o wiele krótszą drogą niż dookoła Adriatyku.

Pod koniec I w. p.n.e. pierwszy cesarz Oktawian August zajął celtyckie ziemie między Sawą a Dunajem i założył prowincję Panonia. Obejmowała ona spore połacie dzisiejszych Węgier, Austrii, Chorwacji, Słowenii oraz północno-zachodniej Serbii. Ślady rzymskich miast i obozów strzegących granicy na Dunaju pozostały w dzisiejszym Wiedniu (Vindobona), Budapeszcie (Aquincum), Bratysławie (Gerulata). Na terenie dzisiejszej Bułgarii założono zaś prowincję Mezja, której północną granicę stanowił Dunaj, a południową – pasmo Starej Planiny. Na południe od tego pasma powstała jeszcze prowincja Tracja. W II w. n.e. cesarz Trajan (lata panowania 98–117) pobił plemię Daków zamieszkujące tereny mniej więcej dzisiejszej Rumunii i założył tam prowincję Dacie.

Bałkany musiały znosić od IV w. najazdy Hunów, germańskich Ostrogotów, Gepidów i Longobardów, wkrótce Hunów, a w VI w. Słowian, którzy zresztą osiedlali się często całkiem pokojowo. Ich liczebność, a może też zwyczaje i przywiązanie do ziemi powodowały, że wielu najeźdźców – jak np. Protobułgarzy ze wschodu, którzy podbili Bułgarię – asymilowało się z nimi. Rodzące się tu państwa zamieniały się na przełomie dwóch tysiącleci w księstwa i królestwa, przyjmowały chrzest i – poza obszarami bośniackimi i albańskimi, gdzie możni przeszli na islam – mieszkańcy pozostawali odporni na religię najeźdźców.

Oto koronowani władcy czterech największych państw bałkańskich. W 915 r. władca Bułgarii Symeon przyjął tytuł cara (tj. cesarza). Państwo to trafiło w XI w. pod władzę Bizancjum, a już sto lat później wyciągnęli po nie rękę Turcy. Pierwszym królem Chorwacji został w 925 r. Tomisław Chorwacki. Po niemal dwóch stuleciach (1102) królestwo przystąpiło do unii personalnej z królem Węgier, a w 1527 r. – po nieszczęsnej bitwie pod Mohaczem, gdzie zginął król Węgier i Chorwacji Ludwik II Jagiellończyk – na króla wybrano Ferdynanda I Habsburga. Carstwo Serbskie ustanowił w 1346 r. Stefan Urosz IV Duszan. Rozpadło się po niespełna 10 latach, gdy sułtan Murad I pokonał Serbów z Bułgarami i Bizantyjczykami w bitwie nad Maricą, a w 1389 r. Serbów na Kosowym Polu. Karol I Hohenzollern-Sigmaringen, od 1866 r. książę autonomicznego księstwa zjednoczonych gospodarstw Mołdawii

i Wołoszczyzny, dopiero w 1881 r. został królem niepodległej Rumunii.

Azjatyccy Awarowie pojawili się w VI w. i dali się we znaki łupieżczymi wyprawami na Bizancjum. Zaprzestali ich w 620 r., po nieudanej próbie zdobycia Konstantynopola wspólnie ze Słowianami i z Persami. Kres awarskiemu kaganatowi na Nizinie Panońskiej położył dopiero na przełomie VIII i IX w. Karol Wielki. W miejsce kaganatu powstawały pierwsze słowiańskie organizmy państwowe, które płaciły daniny Frankom, ale z czasem utworzyły znaczące Państwo Wielkomorawskie. Król Mojmir I przyjął chrzest w 831 r. Państwo to objęło z czasem dzisiejsze ziemie czeskie i austriackie, słowackie i węgierskie (a może nawet śląskie i małopolskie). Położyły mu kres dopiero walki o tron na przełomie IX i X w. oraz najazd Madziarów.

Wówczas Madziarowie sami byli koczownikami ze wschodu, którzy zajęli Nizinę Panońską i stamtąd napadali na bogate ziemie niemieckie. Niespełna 20 lat po pokonaniu ich w 955 r. przez Ottona I madziarski książę Gejza poprosił cesarza o pokój i pomoc w chrystianizacji Węgier. Już za jego syna, Stefana, stały się one krajem w pełni chrześcijańskim, tak cywilizowanym i silnym, że zarówno cesarz Otton III, jak i papież Sylwester II zgodzili się na jego królewską koronację – i to na samym początku nowego millennium (83 lata później król ten został kanonizowany). Od jego czasów węgierskie państwo poza obecnym terytorium obejmowało ziemie dzisiejszej Słowacji, rumuńskiego Siedmioletnia, Chorwacji z Bośnią i Hercegowiną oraz Słowenii, a także serbskiej dziś Wojwodiny. Na północy opierało się o Tatry, na wschodzie o Karpaty Wschodnie, na zachodzie – o rzekę Litawę, będącą do dziś granicą z Austrią, a na południu docierało do Adriatyku i Żelaznych Wrót Dunaju.

Dwa wieki przed upadkiem Konstantynopola (1453) do osłabionego cesarstwa wschodnio-rzymskiego wtargnęli Turcy osmańscy i uporczywie posuwali się w ciągu kilku stuleci na północ i na zachód. Heroicznie stanęły im na drodze lokalne potęgi: Węgry i Wenecja, zasługując w pełni na miano antemurale christianitatis (przedmurza chrześcijaństwa).

Pod Nikopolis (1396) Turcy zadali klęskę krzyżowcom, niefrasobliwie prowadzonym przez 28-letniego króla węgierskiego Zygmunta Luksemburskiego (cesarz rzymski od 1433 r.). W bitwie pod Gołębciem (1428) zginął nasz



Do upowszechnienia pojęcia „Mitteleuropa” przyczynił się geograf niemiecki J. Partsch, wydając książkę „Mitteleuropa”. Na zdjęciu: jedna z publikowanych w niej map

Abb. 1. Mitteleuropa.

■ Zawisza Czarny. Niepotrzebną bitwę pod Warną przypłacił życiem w 1444 r. 20-letni, nieroztropny, choć dzielny król polski i węgierski Władysław Warneńczyk. Jeszcze w 1456 r., a więc trzy lata po upadku Konstantynopola, błyskotliwie zwycięstwo odniósł w Belgradzie nad Turkami wielki wódz Jan Hunyady. Ale klęskę pod Mohaczem (1526) królestwo Węgier przypłaciło upadkiem. Weneccjanie ocalili swą republikę i nie dali całkiem pozbawić się wybrzeży i wysp Morza Śródziemnego. Zadecydowało zwycięstwo połączonych flot ligi chrześcijańskiej pod Lepanto w 1571 r.

Kres supremacji Osmanów na lądzie położyła polsko-niemiecka wiktoria wiedeńska Jana III Sobieskiego (1683), ale Turcy nie wycofali się z południowego wschodu Europy aż do schyłku XIX w.! Bronili się głównie przed cesarstwem Habsburgów i Rosją. Wcześniej było odwrotnie.

AUSTRIA I ROSJA KONTRA TURCJA

W wieku XVI Austriacy stoczyli z Turcją dwie wojny, jedną na przełomie XVI i XVII w., dwie w XVII w. i trzy w wieku XVIII. Turcy podeszli pod Wiedź już w 1529 r., a w 1619 r. oblegany był on przez ich siedmiogrodzkiego lennika Bethlena (zwinął oblężenie na wieść o klęsce swego wojska pod Humiennem z rąk lisowczyków najętych przez cesarza).

Rosja mianowała się pod koniec XV w. „trzecim Rzymem”, który przejął bizantyjskie dziedzictwo. Wyzwolenie krain chrześcijańskich spod hegemonii Osmanów, z odbiciem Konstantynopola łącznie, stało się jednym z podstawowych kierunków polityki władców Moskwy – zwłaszcza dynastii Romanowów, od wojny czechyńskiej (1674–1681)

i Świętej Ligi (1684–1700) poczynając. W XVIII w. Rosjanie zdobyli Azow (lata 30.) oraz Krym (1783), a także weszli na Bałkany (1787–1792). W następnym stuleciu kontynuowali walki na tym kierunku (1806–1812), anektując Besarabię, czyli niemal połowę (wschodnią) Mołdawii, trwale dzieląc Gospodarstwo Mołdawskie. Walnie przyczynili się do obrony Greków (1828–1829), biorąc istotny udział w zwycięstwie śródziemnomorskim pod Navarino. Wreszcie Wielka Brytania i Francja zaniepokoiły się perspektywą opanowania Dardaneli i Bosforu przez Rosję i obronili Turcję w wojnie krymskiej (1853–1856).

Druzgocącymi zwycięstwami rosyjskimi i zajęciem całych niemal Bałkanów zakończyła się za to wojna lat 1877–1878. Traktat pokojowy zawarty w San Stefano przyniósł wyzwolenie Bułgarii spod panowania imperium osmańskiego i uznanie niepodległości jej państw sąsiednich: Serbii, Czarnogóry i Rumunii. Jednak na drodze dyplomatycznej wydarto Rosji podczas kongresu berlińskiego owoce zwycięstw. Na tym kongresie, będącym sukcesem Habsburgów i Hohenzollernów, zaznaczył się konflikt obu cesarzy z caratem. Wyrazem tego stało się przyznanie Austro-Węgrom zwierzchności nad Bośnią i Hercegowiną (w 1908 r. włączonych do państwa Habsburgów) i powołanie na trony Bułgarii i Rumunii członków niemieckich rodu. Na tronie bułgarskim zasiadł Battenberg (rychło zastąpił go jednak prorosyjski Koburg), a na tronie rumuńskim – wspomniany już Hohenzollern-Sigmaringen.

Degeneracja imperium osmańskiego ułatwiła koalicji państw bałkańskich wspólny (poza Albanią i oczywiście

krajami w Austro-Węgrzech) atak na zniechęconego od wieków najeźdźcę, pokonanie go podczas pierwszej wojny bałkańskiej i odebranie mu zdobyczy. Nawet Stambuł (Konstantynopol) był zagrożony. Na mocy traktatu londyńskiego w czerwcu 1913 r. Turcja utraciła wszystkie posiadłości w Europie, z Salonikami i historyczną stolicą Adrianopolem (Edirne), oraz większość wysp na Morzu Egejskim. W drugiej wojnie bałkańskiej, kiedy państwa koalicji zwróciły się przeciw niedawnemu bułgarskiemu sojusznikowi, pokonały go i odzyskały część ziem, do których rościły pretensje. Największe zyski odniosły Serbia i Grecja. Na mocy nowego porozumienia Turcja otrzymała z powrotem Adrianopol. Ukształtowana wówczas europejska granica Turcji istnieje do dziś.

NASI ZA DNIESTEM

Początek polskiej ekspansji na wschód i na południe sięga XIV w. W latach 40. owego stulecia pod panowanie Kazimierza Wielkiego dostała się Ruś Włodzimierska i Halicka, i to nie w drodze podboju, ale objęcia spadku, który odziedziczył polski król po śmierci swego krewnego, ruskiego księcia Jerzego II Bolesława Trojdenowicza, otrutego przez własnych bojarów. Walki, owszem, rozgorzały, ale z Litwinami, którzy również mieli prawa do spadku, a pod koniec wieku z Węgrami, którzy zupełnie bezprawnie zajęli Ruś po śmierci swojego, ale i polskiego króla Ludwika Andegawskiego. Wtedy węgierscy starostowie ustąpili przed wyprawą córki Ludwika – króla (tak!) polskiego Jadwigi.

Po zamążpójściu Jadwigi za Jagiełłę Litwa stała się na kilka wieków naszym sojusznikiem, a do wspólnoty wniosła rozległe tereny dzisiejszej Białorusi i Ukrainy, która zresztą przez Zygmunta Augusta została włączona bezpośrednio do Królestwa Polskiego (1569). Podobnie się stało z większością ziem dzisiejszej Łotwy i Estonii, zwanych Inflantami, które w średniowieczu opanował niemiecki zakon kawalerów mieczowych. Oto ostatni inflancki mistrz krajowy, Gotthard Kettler, sekularyzował zakon (1561) i z własnego wyboru stał się lennikiem króla polskiego. Ale o Inflanty przyszło walczyć z Moskwą Iwana Groźnego i ze Szwecją (z połowicznym sukcesem w połowie XVII w.). Wielowiekowy konflikt z Moskwą, która od końca XV w. „zbierała ziemie ruskie” i nasze kłopoty

z Kozaczyzną (Ukrainą), zdominowały nasze dzieje. Mniej pamiętamy o tym, co działo się na południu, za Dniestrem.

Od czasu złożenia Władysławowi Jagiello hołdu (1387) przez hospodara Mołdawii – Piotra – mieliśmy z tym lennem sporo zmartwień. Zdrady hospodarów kosztowały nas m.in. klęskę bukowińską (1497) i cecorską (1620). Gospodarstwo było zbyt małe i słabe, aby stanowić niepodległy byt polityczny, więc po okresie względnego podporządkowania się polskim królom zaczęło coraz bardziej ulegać tureckim sułtanom. Ingerowali też królowie węgierscy i książęta siedmiogrodzcy, hospodarowie wołoscy, a nawet magnaci polscy i Kozacy. Hospodarowie starali się lawirować, a jednocześnie bezceremonialnie walczyli o władzę – mordami i zabójstwami, zdradami i intrygami z rodzimymi pretendentami do tronu.

Wzrost znaczenia państwa Jagiellońów przynosił problemy, których wcześniej Polska nie знаła. W skomplikowanej sytuacji wewnętrznej za naszą południową granicą sejm czeski (1471), a następnie węgierski (1490) powołały na swe trony jednego z synów Kazimierza Jagiellończyka – Władysława. Wzburzeni Habsburgowie pogodzili się z tym dopiero na kongresie wiedeńskim w 1515 r. (dokładnie 300 lat przed słynnym kongresem XIX-wiecznym). Małżeństwa Ludwika (syna Władysława) z Habsburżanką i Anny (córką) z wnukiem Habsburga (przyszłym cesarzem Ferdynandem I) były zakładem o to, który z żonkosi szybciej zejdzie z tego świata. Zszedł pod Mohaczem w 1526 r. Ludwik...

Na przełomie XVI i XVII w. przeciw Michałowi Walecznemu wyruszył za Dniestr kanclerz i hetman wielki Jan Zamoyski. Przeciwnik był uzurpatorem, który w Mołdawii i na Wołoszczyźnie obalił przychylnych Polsce braci Jerzego i Szymona Mohyłów, zajął ich ziemie oraz Siedmiogród, montował przeciw Rzeczypospolitej sojusz ze Szwecją i z Rosją, a nawet uzyskał w Stambule zgodę na objęcie polskiego tronu. Zamoyski doprowadził 20-tysięczną armię (wojska koronne, Kozacy, poczty magnackie i ochotnicy) aż do Bukaresztu, rozbijając wojska Michała 20 października 1600 r. pod Bukowem. Obydwaj bracia odzyskali swe trony, a uzurpatora pobił w następnym roku raz jeszcze starosta kamienicki Jan Potocki.

Nie wykorzystaliśmy jednak szansy trwałego powiązania Mołdawii, Wołoszczyzny i Siedmiogrodu w trwałym sojuszu z Rzeczpospolitą. A czy udaremniłby Michałowi Walecznemu utworzenie już wtedy Rumunii? Cóż, nie wiadomo nawet, czy on sam miał taki zamiar... Po wiktorii wiedeńskiej wyprawiał się tu zbrojnie Jan III Sobieski, który chciał zdobyć Mołdawię dla syna Jakuba, ale już mu się pokonać Turków nie udało.

MITTELEUROPA

Z przyczyny konfliktów o Bałkany między europejskimi imperiami rozpętała się pierwsza wojna światowa. Gdy pobita Rosja zaczęła ustępować, harde spojrzenie rzucił na wschód Europy najsilniejszy z graczy, II Rzesza Niemiecka cesarza Wilhelma II Hohenzollerna. Utworzona tuż po zwycięstwie Prus nad Francją (1871), rozbudziła w Niemczech drżące od wieków poczucie siły i agresji...

Jak pisze Piotr Eberhardt o genezie niemieckiej koncepcji Mitteleuropy („Przegląd Geograficzny”, 2005), „powstały w Niemczech liczne teorie i pseudoteorie geopolityczne, nawiązujące do takich pojęć i idei jak »przestrzeń życiowa« (Lebensraum), konieczność »ekspansji na wschód« (Drang nach Osten), »naród pozbawiony przestrzeni« (Volk ohne Raum), »władza i przestrzeń« (Macht und Raum) czy idea »wielkiej przestrzeni« (Die grossraum Idee) – koncepcje wzywające do połączenia wszystkich Niemców w jednym państwie (Ein Volkein Staat), wykorzystujące doktrynę »krwi i ziemi« (Blut und Boden), »dopasowywania przestrzeni« (Raumanpassungsart) oraz zależności między »terytorium narodowym a kulturowym« (Volksboden und Kulturboden) itp.”.

Pojęcia „Mitteleuropa” (środkowa Europa) pierwszy użył wprawdzie austriacki polityk Feliks zu Schwarzenberg w okresie Wiosny Ludów (1848), ale do jego upowszechnienia przyczynił się geograf niemiecki Joseph Pertsch, wydając w 1904 r. książkę „Mitteleuropa”. Pojęcie podchwycili nie tylko liczni geografowie i historycy oraz autorzy publikacji

popularnych, lecz także znaczące osoby z kręgów politycznych i wojskowych. Ich koncepcje krystalizowały się po wybuchu pierwszej wojny światowej, usprawiedliwiając wojnę jako skuteczną drogę do osiągnięcia celów politycznych, i sięgały do głoszonych publicznie haseł dominacji narodu niemieckiego w Europie. Szczególnie właśnie w Europie Środkowej, na ogół w pasie od północnych krain nadbałtyckich do wybrzeża czarnomorskiego.

Za podstawę planów posłużyła przede wszystkim książka byłego duchownego i polityka niemieckiego Friedricha Naumanna „Mitteleuropa” (1915), w której postulował stworzenie pod egidą Niemiec związku państw środkowoeuropejskich, mających – łącznie z Niemcami i Austro-Węgrami, a także z najbliższymi sąsiadami Rzeszy na zachodzie – potencjał wystarczający dla dominującego mocarstwa. Sam Naumann nie był zwolennikiem brutalnej agresji, etnicznej przemocy, przymusowej germanizacji czy „głodzenia” słabszych nacji – jak np. Polacy – niszczącą ich polityką gospodarczą. Nawet przestrzegał przed takimi praktykami, które w polskim przypadku mogły wywołać efekt odwrotny od zamierzonego.

Ale dokładnie takie konkrety dostrzegli pod hasłem Mitteleuropy butni nacjonaliści i generałowie. Poza całkowitą, polityczną i militarną dominacją II Rzeszy Niemieckiej i drenowaniem słabszych

krajów korzystnymi dla niej umowami gospodarczymi przewidywano też aneksje terytorialne, osadnictwo niemieckie oraz przymusowe germanizowanie ludności. Polska oddałaby na przykład Niemcom „pas przygraniczny” w środku kraju z Częstochową i Kaliszem oraz na północnym Mazowszu – z Płockiem i Mławą. Wysiedlono by polską i żydowską ludność.

Od Zatoki Fińskiej do Morza Czarnego i Adriatyku sięgało owo Trójmorze sprzed wieku. Jak dzisiejsze. Nie twierdząc, Boże broń, że niemiecki projekt z początku XX w. byłby dziś w pełni realny. Dobrze jednak wsłuchać się dokładnie w to, co głoszą politycy tworzący obecnie nową koalicję rządową w Niemczech...





Piotr Zychowicz

Karol Świerczewski był sowieckim generałem w polskim mundurze. Zginął z rąk ukraińskich partyzantów

Kolumna samochodów wojskowych wjechała w górską dolinę między zalesionymi wzgórzami. Na przodzie jechał amerykański dodge, za nim sowieckie ciężarówki wypełnione uzbrojoną ochroną. Dzień był lodowaty, typowa wczesnowiosenna plucha. Na drodze zalegało błoto, na stokach hałdy zleżalego śniegu.

Żołnierze siedzący w pojazdach drzemali lub ćmili papierosy. To miała być rutynowa inspekcja wysuniętego górskiego posterunku. Nagle ciszę poranka rozerwał pojedynczy strzał. A ułamek sekundy po nim rozpoczęła się mordercza kanonada. Konwój został zasypywany gradem kul z broni maszynowej.

Zasadzka! Huk wystrzałów, pociski bijące o karoserię, brzęk tłuczonego szkła. Okrzyki przerażonych ludzi. Kierowcy przejechali jeszcze kawałek i zatrzymali pojazdy. Żołnierze wysypali się na zewnątrz, desperacko szukając schronienia przed nadlatującymi ze wszystkich stron śmiertelnościami kulami.

Jadący na przodzie dodge przejechał drewniany mostek i zatrzymał się po drugiej stronie strumienia. Wyskoczył z niego mężczyzna w rogatywce, w generalskim płaszczu na ramionach. W rękę miał pistolet, z którego strzelał na oślep w stronę sosen.

Generał był przysadzisty i barczysty. Miał być kark, łapska jak kotlety i łuska czaszki. Zapuchnięte oczy. Mięsista, pokryta fioletowymi żyłkami twarz była czerwona jak burak. Gdy szukał schronienia za leżącymi przy drodze balami drzewa, chwiało się na nogach. Był pod wpływem alkoholu.

Tymczasem w dolinie wrzała walka. Ze wzgórz sypały się kolejne serie z broni maszynowej i pojedyncze strzały z karabinów. Żołnierze na drodze opawali panikę, stworzyli tyralierę i strzelali w stronę napastników. Generał – chcąc zobaczyć, co się dzieje – wstał zza zasłony. Był widoczny jak na dłoni.



Trzy kule dla

Nagle sapnął i złapał się za brzuch. Z niedowierzaniem spojrzął na dłoń. Była czerwona od krwi. – Jestem ranny! – wycharczał. Po czym na chwiejnych nogach ruszył w stronę potoku. Wszedł do wody, gdzie dosięgnął go kolejny pocisk. Gdy żołnierze wytaszczyli go na brzeg, jeszcze oddychał. Rany okazały się jednak zbyt poważne, generał po kilku chwilach zmarł.

Tak 28 marca 1947 r. w Bieszczadach zginął Karol Świerczewski. Fanatyczny bolszewik, oficer Armii Czerwonej, pijak i zbrodniarz. Został zabity w polskim mundurze, bo – jako „sprawdzony towarzysz” – został oddelegowany przez Stalina do służby w Ludowym Wojsku Polskim. Według jednej z legend śmiertelny dla Świerczewskiego miał się okazać cios bagnetem. Jest to jednak nieprawda. Sekcja zwłok wykazała bowiem, że w ciele denata znajdowały się jedynie trzy rany postrzałowe. Wszystkie zostały zadane przez wystrzelone z dużej odległości naboje kalibru 7 mm.

„W połowie linii łączącej pępek z końcem kości biodrowej po stronie prawej rana postrzałowa o brzegach równych

– czytamy w protokole sekcji. – W odległości mniej więcej 3 cm w lewo i poniżej pępka rana postrzałowa. W ostatnim międzyżebrowo w linii łopatkowej lewej rana postrzałowa. Jako przyczynę zgonu uważać należy najprawdopodobniej krwotok wewnętrzny do jam opłucnych z możliwością uszkodzenia mięśnia sercowego oraz jamy brzusznej”.

Kule, które uśmierciły Świerczewskiego, zostały wystrzelone przez żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii. Członków sotni „Chrina” i „Stacha”, którzy obozowali w okolicach Chryszczatej. Zasadzkę zorganizowali pod wsią Jabłonki, na szosie między Baligrodem a Cisną. Świerczewski jechał do tej ostatniej miejscowości, aby wizytować placówkę Wojsk Ochrony Pogranicza.

CZERWONY ŚWIĘTY

Tę dramatyczną historię w zajmujący sposób opisał Krzysztof Potaczała w książce „Świerczewski. Śmierć i kult bożyszcza komunizmu”. Przedstawił w niej nie tylko okoliczności śmierci znanego bolszewika, lecz także to, co zrobiono z nim później. Świerczewski zo-

Ciało gen. Karola Świerczewskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Waltera”

stał bowiem przez władze komunistyczne namaszczone na świętego. Na męczennika rewolucji.

Najpierw był uroczysty pogrzeb w Warszawie, na który komuniści spędzili tłumy. Najstarsza córka Świerczewskiego – Antonina – zawodziła nad spowitą w biało-czerwony sztandar trumną po rosyjsku: „Papa, papa!”. A Bierut pośmiertnie odznaczył go Orderem Virtuti Militari.

Twarz „Waltera” – taki partyjny pseudonim nosił Świerczewski – trafiła na znaczki pocztowe, banknoty i pocztówki. Powstały o nim hagiograficzne książki i broszury. Najśłynniejszą z nich – „O człowieku, który się kulom nie kłaniał” – napisała Janina Broniewska. Usłużni poeci wychwalali „Waltera” w wierszach.

Karolowi Świerczewskiemu władze PRL postawiły pomniki. Jego imię nadać szkołom, fabrykom i ulicom. Na jego cześć nazwano słynne – założone przez Jacka Kuronia – drużyny walterowskie, czyli wzorowane na sowieckich pionierach czerwone harcerstwo.

W miejscu zasadzki co roku odbywały się uroczyste obchody. Komuniści zmu-

szali biednych harcerzy, żeby ze zniczami w rękach stali godzinami na mrozie i wysłuchiwali zakłamanych przemówień. Potępiano w nich „zbirów z UPA” i „zachodnich imperialistów ciemniących ludzi pracy”.

Ze zdegenerowanego alkoholika i marnego oficera aparat propagandowy zrobił rycerza w białej zbroi. Genialnego dowódcę i obrońcę uciśnionych, który poległ bohaterską śmiercią w walce z „faszystami” i „czarną reakcją”.

Prawdziwa biografia „Waltera” oczywiście diametralnie różniła się od wersji spreparowanej przez komunistów. Urodził się w 1897 r. w Warszawie, najprawdopodobniej w mieszanej żydowsko-polskiej rodzinie. Jego ojciec miał nazywać się Tenenbaum, ale zmienił nazwisko na Świerczewski.

Przyszły generał pracował jako robotnik i po wybuchu pierwszej wojny światowej został ewakuowany przez Rosjan z głąb imperium. Warszawa w 1915 r. została bowiem zajęta przez Niemców. Świerczewski w 1917 r. rzucił się w wir rewolucji i wojny domowej. Oczywiście po stronie bolszewików.

Jako członek milicji robotniczej i czerwonej gwardii niszczył stary, przedrewolucyjny porządek. Walczył z „białogwardyjską reakcją”, zapisał się do partii Lenina i Trockiego. Szybko zrobił karierę w Armii Czerwonej, w 1920 r. w jej szeregach wziął udział w „wyzwolicielskim marszu” na Warszawę. Chciał – jak pisze Krzysztof Potaczała – „zmieść w pył polskich wyzyskiwaczy”.

Na szczęście nic z tych planów nie wyszło i renegat Świerczewski wrócił do Moskwy. Z kampanii zachował jednak pamiątkę – dwie blizny. W trakcie jednej z bitew polscy żołnierze omal nie wysłali go na tamten świat: został ranny w głowę i lewe ramię.

W dwudziestolecie Świerczewski wykladał w sowieckich szkołach wojennych. Był komisarzem politycznym, a potem funkcjonariuszem sowieckiego wywiadu wojskowego, z którym współpracował aż do śmierci. Brał udział w krwawym stłumieniu powstania chłopskiego w guberni tambowskiej. Bolszewicy użyli wówczas wobec zbuntowanej ludności gazów bojowych.

Najgłośniejsze było jednak o nim w drugiej połowie lat 30. Świerczewski został wysłany na wojnę domową w Hiszpanii, gdzie organizował komunistyczne Brygady Międzynarodowe. „Walter” spotkał tam amerykańskiego korespondenta Ernesta Hemingwaya, który unieśmiertelnił go – pod pseudonimem Generał Golz – w swojej słynnej powieści „Komu bije dzwon”.

„Pseudonim Walter – pisze Krzysztof Potaczała – ma związek z jego ulubionym pistoletem Walther PP. Rozstrzeliwuje z niego jeńców, dezertorów i innych »wrogów ludu«. Według badaczy tamtego okresu Świerczewski jest współodpowiedzialny za śmierć siedemnastu tysięcy duchownych, zakonnic oraz dzieci z sierocińców”.

Na hiszpańskiej „spekcomandirówce” Świerczewski całkowicie się rozpił. W trakcie bitew i potyczek dowodził w stanie zamroczenia alkoholowego. Swoich żołnierzy rzucał do straceńczych ataków, powodując w ten sposób niepotrzebne straty. Doszło do tego, że zdarzało mu się iść do walki w samych gaciach, tylko z pistoletem Walther w dłoni.

Jako lojalny wobec Stalina komunista nie został zgładzony podczas czystek, które w latach 1937–1938 spustoszyły korpus oficerski Armii Czerwonej. Los ten spotkał wielu jego kolegów, którzy pojechali do Hiszpanii. „Walter” w 1940 r. dostał awans na generała majora Armii Czerwonej.



**KRZYSZTOF
POTACZAŁA**
„ŚWIERCZEWSKI.
ŚMIERĆ I KULT
BOŻYSZCZA
KOMUNIZMU”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

Choć – jak przekonuje Krzysztof Potaczała – bliższa była mu Moskwa niż Warszawa, po wybuchu wojny z Niemcami wykazał się wręcz rażąco niekompetencją. Nawet na tle innych niekompetentnych dowódców Armii Czerwonej wypadł dramatycznie słabo. Jego 248. Dywizja Piechoty została rozbita pod Wiaźmą. Spośród 10 tys. żołnierzy przeżyło... pięciu.

W POLSKIM MUNDURZE

Odsunięty od dowodzenia w linii przez marszałka Giergoija Żukowa Świerczewski wrócił do łask w 1943 r. Został wówczas oddelegowany do tworzenia komunistycznego polskiego wojska. Był jednym z POP-ów, czyli „pełniących obowiązki Polaka”. Najpierw sprawował funkcję zastępcy Zygmunta Berlinga, potem dostał dowództwo 2. Armii.

Świerczewski zmienił mundur, ale pozostał sobą. Pił jak smok, ordynarnie zaczepiał kobiety. Podjął decyzję o rozstrzelaniu 28 byłych AK-owców, którzy znaleźli się pod jego komendą i zostali aresztowani przez wojskową bezpiekę. Odrzucił skierowane do niego prośby o ulaskawienie.

Również 2. Armia dowodzi w swoim stylu, zupełnie nie licząc się z życiem żołnierzy. To musiało się skończyć tragedią. Doszło do niej wiosną 1945 r., podczas bitwy pod Budziszynem. Świerczewski dowodził w pijanym zwidzie, wydawał absurdalne rozkazy. Efektem była rzeź żołnierzy.

„Błędy taktyczne z reguły nietrzeźwego generała – pisał historyk Grzegorz Ostasz – poskutkowały rozgromieniem 2. Armii przez niemieckie wojska feldmarszałka Ferdinanda Schörnera. Świerczewski buńczucznie lekceważył Niemców, pchał pułki wprost pod zaporowy ogień przeciwnika. Toteż bitwa pod Budziszynem, stoczona w ostatnich dniach wojny, zakończyła się sromotną klęską”.

„Walter” w trakcie tej bitwy spowodował wręcz koszmarnie straty: 5 tys. poległych, 3 tys. zaginionych, 10 tys. rannych. Mimo to – jako Sowiet – był nie do ruszenia. Sprawował funkcję członka KC PPR. Spadały na niego kolejne order i awanse. Po wojnie był m.in. wiceministrem obrony narodowej i posłem na Sejm.

Ostatnią noc swojego życia Świerczewski spędził w Sanoku. Tam zjadł

zaprawianą kolację, którą rano poprawił „klinem”. Choć jeden z towarzyszy generała zapewniał później, że do śniadania „Walter” wypił „tylko 25 gramów”, to inni świadkowie zapamiętali, iż był wyraźnie „wczorajszy”.

Jego zamiłowanie do kieliszka było zresztą powszechnie znane. Według Krzysztofa Potaczały organizm „Waltera” pod koniec życia był już wręcz wyniszczony wódką.

28 marca 1947 r. Świerczewski wyruszył z Sanoka do Baligrodu. Tam odwiedził miejscowy cmentarz żołnierzy Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego. Rozdał cukierki ciekawskim dzieciom i ruszył do Cisnej. Tymczasem pod Jabłonką żołnierze UPA czekali już na niego w zasadzce...

TEORIE SPISKOWE

Na temat śmierci „Waltera” krążą rozmaite teorie spiskowe. Według jednej z nich miał zostać „sprzątnięty” przez ubecję. Problem w tym, że trudno dopatrzyć się motywu, który miałaby mieć bezpieka. Świerczewski był przecież prawowiernym komunistą i stalinistą. Według innej teorii „Waltera” mieli zastrzelić Polacy z jego ochrony. Antykomuniści zmuszeni do służby w Ludowym Wojsku Polskim, którzy wykorzystali nadarżającą się okazję.

„Porządkowałam z ciotką i mamą ogród przed domem – wspominała jedna z mieszkanek Baligrodu – gdy nagle dostrzeżliśmy biegnących przez łąkę polskich żołnierzy, w tym porucznika, który u nas kwaterował. Wpadł zdyszany na podwórze i krzyknął do nas: »Wy już nie robcie! Zabiliśmy skurwysyna Żyda, a was wszystkich wypędzą!«. Te słowa do dzisiaj dźwięczą mi w uszach”.

Podobne relacje i teorie należy uznać za konfabulacje. W świetle znanych źródeł historycznych to, że Świerczewski zginął w zasadzce UPA, jest niepodważalne. W jednym z dokumentów kierujący zasadzką mjr „Chrin” wyrażał satysfakcję, że trafiła mu się taka „gruba ryba”.

Oficer ten w rzeczywistości nazywał się Stefan Stebelski i był absolwentem przedwojennej polskiej szkoły podchorążych piechoty. „Chrin” znany był z brawury i odwagi, które wykazywał w walkach z Sowietami. A z drugiej strony – z beztalstwa wobec polskiej ludności. To

na jego rozkaz zamordowano cywilów w Borownicy i Nowosielskach.

„Gratulacje za »spucowanie« generała Świerczewskiego – napisano w pochwalę, którą «Chrin» otrzymał od swoich przełożonych. – To ważna robota! Ona poruszyła opinię całego świata. Sankt-punkt pomszczono godnie! Wiecie, że nie mogą się nacieszyć w całym świecie z tego wypadku!”.

Punkt sanitarny, o którym mowa w dokumencie, to szpital polowy UPA na Chryszczatej, który w styczniu 1947 r. został zniszczony przez żołnierzy komunistycznego wojska. Zasadzka pod Jabłonkami miała być odwetem za tę akcję. Świerczewski najprawdopodobniej wpadł w nią przypadkowo. Ukraińscy partyzanci dopiero po kilku dniach dowiedzieli się, kogo zabili.

Biorąc pod uwagę „drogę bojową” generała, trudno się dziwić, że wielu Polaków – którzy mieli przecież wszelkie powody do tego, by nienawidzić UPA – w tym przypadku wyrażało swoją satysfakcję. Krzysztof Potaczała cytuje opinie, które po zabiciu Świerczewskiego, pojawiały się wśród żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego. Skrupulatnie spisywała je wojskowa bezpieka.

„Generał Świerczewski zginął dlatego, że był członkiem PPR, a wiadomo, że pe-perowców niszczyć, bo to są komuniści”.

„To był szczytny komunij w Polsce. Dobrze zrobili, że go ubili, i to na tym jeszcze nie koniec, będą ich dotąd bić wszystkich, aż ich wytluką”.

„Był komunistą, więc został sprzątnięty”.

„Dobrze, że gen. Świerczewskiego zabili, teraz powinni jeszcze zabić Bierut i Żymierskiego, to wówczas dopiero w Polsce byłoby lepiej”.

„Nie ma tam co go żałować. Będzie mniej jednego komunisty w Polsce i on był właśnie tym, co sprzedają Polskę Sowietom. Przecież on wbrew rządowi polskiemu przed wojną poszedł walczyć do Hiszpanii i tam tworzył brygady komunistyczne, to on już wtenczas był zdrajcą swego kraju, a to, że zginął, to obecnie jest plusem dla Polski”.

Żołnierze, którzy pozwalali sobie na takie nieprawomysłne opinie, byli wyrzucani z wojska, trafiali do aresztów i pod sąd. Świerczewski – jak ujął to celnie Krzysztof Potaczała – był bowiem „bożyszczem komunizmu”. Jaka religia, takie bożyszcze.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polacy w Armii Czerwonej

Dużo mówi się i pisze o służbie Polaków w Wehrmachcie. Jest to sprawa dobrze przebadana przez historyków, ukazało się wiele wspomnień polskich weteranów spod Stalingradu czy z Afryka Korps. Kilkaset tysięcy naszych rodaków ze Śląska i z Pomorza zostało wcielonych do sił zbrojnych III Rzeszy i zmuszonych do walki w obcym mundurze, za obcą sprawę.

Znacznie mniej mówi się o analogicznej sytuacji, która miała miejsce we wschodniej Polsce. Otóż po tym, gdy Związek Sowiecki wchłonął „Zachodnią Białoruś” i „Zachodnią Ukrainę”, Moskwa uznała obywateli II RP za swoich obywateli. A co za tym idzie – młodzi polscy mężczyźni otrzymali karty poborowe do Armii Czerwonej.

Jedynym z nich był Alfred Wirski, autor ciekawych wspomnień „Moje życie w Armii Czerwonej”. Wirski poszedł „w żołdacy” we Lwowie, razem z trzema rocznikami: 19-, 20- i 21-latków.

Jedna z pierwszych scen książki przedstawia kolumnę poborowych prowadzoną ulicami Lwowa. Większość ma ogolone do gołej skóry głowy. Pilnują ich Sowietarze. Nagle młodzi ludzie zaczynają

śpiewać polskie piosenki wojskowe. Dołączają ukraińscy poborowi, chcący w ten sposób zaprotestować przeciw przymusowemu poborowi.

Wirski miał wielkie szczęście. Udało mu się wraz z armią Andersa wydostać z „niehumanitarnej ziemi”. Trafił na Zachód, gdzie spisał wspomnienia. Niestety, los dziesiątek tysięcy Polaków w Armii Czerwonej był tragiczny. Wielu z nich znalazło się na froncie wielkiej wojny ojczyźnianej w czerwcu 1941 r.

Nie muszę czytelnikom „Do Rzeczy” tłumaczyć, co to oznacza. Nieudolnie dowodzone sowieckie dywizje były rozbijane i wybijane przez nacierającą Wehrmacht. Czerwoni dowódcy pędzili zaś masy przerażonych krasnoarmiejców wprost pod ogień karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Straty w ludziach nie miały dla nich żadnego znaczenia.



★★★★★
ALFRED WIRSKI
„MOJE ŻYCIE
W ARMII CZERWONEJ”
FUNDACJA
HISTORIA.PL

Polscy poborowi do Armii Czerwonej byli więc w podwójnie tragicznej sytuacji. Nie dość, że musieli walczyć za obcą sprawę (tak samo jak Polacy w Wehrmachcie), to jeszcze znaleźli się w szeregach armii, w której szanse na przeżycie były bliskie zeru. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Słowiańskie Gody

Wprawdzie można spotkać teorie, że Słowianie Nowy Rok świętowali wiosną, ale nie wydaje się to prawdą. Słowo „gody” oznaczało bowiem dosłownie rok i pod tą nazwą do dzisiaj zresztą funkcjonuje w różnych językach (rosyjskie – god, chorwackie – godine, serbskie i bułgarskie – godi-

którą zawieszano u powały domostwa. Z czasem gałąź (zwana podłaźniczką) i snop stojący w kącie zostały zastąpione przez niemiecką choinkę, którą zresztą początkowo też zawieszano pod sufitem. Do dzisiejszego dnia przetrwał natomiast słowiański obyczaj wkładania słomy lub siana pod obrus, co miało zapewnić urodzaj w przyszłym roku.

Rodzimą proveniencję ma również turoń, a jego pierwowzorem zapewne był tur. Świąteczna maskara, obchodząc domostwa wraz innymi uczestnikami zabawy, zwykle padała na próg i należało ją ocucić alkoholem, co symbolizowało odradzanie się życia. W czasach przedchrześcijańskich nie znano jeszcze procesu destylacji, zatem maskarę pojono nie wódką, ale piwem lub syconym miodem.

Pogańskie pochodzenie ma także Gwiazda Betlejemka używana przez dzisiejszych kołędników. Zapewne ewoluowała z dawnego symbolu odradzającego się słońca, nabierając z czasem chrześcijańskiej treści.

Natomiast dość nietypowym elementem obrzędowości słowiańskich Godów było powiązanie święta ze wspomnieniem o zmarłych. Stąd pochodzi zwyczaj utrzymywania ognia w paleniskach domowych przez cały dzień oraz rozniecania ognisk na dworze. Dusze bliskich zmarłych mogły się dzięki temu ogrzać, zostawiano też dla nich wolne miejsce przy stole. Z czasem przyjęło to formę dodatkowego nakrycia dla wędrowca, który nie zdążył na Wigilię do własnego domu... ©

Pogańskie pochodzenie ma też Gwiazda Betlejemka

na). Zresztą określenie „gody” oznaczające przełom grudnia i stycznia długi czas utrzymywało się w języku polskim, a zanikło ostatecznie dopiero za czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Święto trwało od kilku do kilkunastu dni, w tym czasie rezygnowano z wszelkiej pracy fizycznej i poświęcano się bujnemu życiu towarzyskiemu. Wspólnie uczutowano, obdarowywano się prezentami, śpiewano tradycyjne pieśni. W niektórych regionach kraju (głównie na Śląsku) istniał zwyczaj dekorowania ostatniego snopa zżętego żyta, który ozdabiano suszonymi owocami, a następnie przechowywano do kolejnego siewu. Rozpoczynano go garścią nasion właśnie z tego snopa, co miało symbolizować ciągłość wegetacji roślinnej.

Na innych terenach kultywowano zwyczaj dekorowania gałęzi świerku, jodły lub sosny,



Francuski czeka na swój czas

Zmiany będą dotyczyć przede wszystkim pracy Rady Unii Europejskiej i jej personelu, bo to Radzie przewodniczyć będzie Francja. Po francusku będą się odbywać spotkania, konferencje, narady i dyskusje, po francusku będą sporządzane protokoły ze spotkań i notatki. A jeśli urzędnicy się nie zastosują i, jak to tej pory, będą pisać je po angielsku? Wszystko przemyślano i francuscy dyplomaci w Brukseli mają na gotową odpowiedź. Jak jeden z nich zdradził portalowi Politico, jeżeli pismo, skierowane przez Komisję Europejską



Teresa Stylińska

Kończące się półrocze eurokraci z Brukseli powinni byli wykorzystać na intensywną naukę języka francuskiego. Kto tego nie zrobił, ten będzie musiał liczyć się z kłopotami w pracy – bo od stycznia językiem, w którym mają pracować, będzie francuski. Tak zaplanowała to Francja, która w pierwszym półroczu sprawuje prezydencję w UE. A gdy chodzi o sprawę języka, z Francuzami nie ma żartów



W pierwszej połowie 2022 r. prezydentę w Unii Europejskiej sprawuje Francja FOT. DAINA LE LARDIC/EP/EU

świadomy, że troska o skarb narodowy Francji, a takim bez wątpienia jest jej język, zawsze jest na pierwszym miejscu.

Czy trudno będzie skłonić unijnych urzędników do przerwania się na francuski? Raczej nie, bo – według Komisji Europejskiej – posługuje się nim zdecydowana większość z nich – aż 80 proc. Doskonale zna francuski jej przewodnicząca Ursula von der Leyen, która urodziła się w Brukseli i tu uczęszczała do szkoły, gdy w latach 60. jej ojciec pracował w EWG. W tej sprawie chodzi jednak nie tylko o to, co będzie się działo podczas sześciu miesięcy francuskiej prezydentury. Cel jest bardziej ambitny: całkowicie wyrugować angielski z użycia w Unii. Z tym jednak może nie być łatwo.

OKAZJA PO BREXICIE

To nie pierwszy raz, gdy podczas swego przewodnictwa Francja stara się podnieść znaczenie francuskiego. Tak było zawsze, po raz ostatni, gdy kierowała Unią w 2008 r. Zaledwie cztery lata wcześniej przyjęto 10 nowych państw. Panuje opinia, że właśnie poszerzenie było tym czynnikiem, który przeważał szalę na korzyść angielskiego, bo jako język znany powszechnie ułatwiał kontakty przedstawicieli starych i nowych państw Unii. W gronie nowych wyraźnie zorientowana na Francję i na popularyzowanie francuskiego jest jedynie Rumunia.

Przypomnijmy, że 24 języki oficjalne Unii to urzędowe języki wszystkich państw członkowskich. Liczba państw nie pokrywa się z liczbą języków, bo niektóre kraje mają dwa języki urzędowe (m.in. Finlandia i Irlandia), jeden nawet trzy (Belgia), a bywa i tak, że różne kraje mają ten sam język (Niemcy i Austria, Grecja i Cypr). Natomiast języki robocze są tylko trzy:

angielski, francuski i niemiecki. Przez wiele lat system ten sprawnie funkcjonował, z różnie zresztą rozłożonymi akcentami, bo na przykład w Europejskim Banku Centralnym językiem roboczym jest angielski, a w TSUE – francuski. Aż nadszedł brexit.

Od strony formalnej odejście Wielkiej Brytanii niczego nie zmieniło. Angielski jako język urzędowy dwóch państw – Irlandii i Malty – jest nadal unijnym językiem oficjalnym; nie przestał również być językiem roboczym. Nie da się jednak zrównać wagi dwóch małych krajów, które razem mają zaledwie 5 mln mieszkańców, ze znaczeniem 67-milionowej Wielkiej Brytanii. I tu Francuzi dostrzegli swą szansę. Nie przepuszczają okazji, by przypo-

mnąć, że angielskim jako tzw. pierwszym językiem posługuje się zaledwie 1 proc. mieszkańców Unii – tyle co nic.

Cóż z tego zatem, że angielski od kilkunastu lat pełni funkcję lingua franca, języka kontaktów międzynarodowych, i to nie tylko w Unii, lecz także na całym świecie? Miliony ludzi posługują się nim jako drugim językiem, poza własnym, ojczystym, a znajomość angielskiego stała się tak oczywista, że wielu w ogóle nie traktuje go jako języka obcego. Dla Francuzów jednak nie jest to żaden argument.

– W ostatnich latach, z powodu globalizacji i dominacji kultury anglosaskiej, angielski usunął w cień dwa pozostałe języki robocze Unii. A to przecież języki dwóch państw założycielskich – dowoził Julien Aubert, deputowany do francuskiego Zgromadzenia Narodowego. Dlatego, podkreśla, nadszedł czas, by angielski usunąć na rzecz francuskiego, któremu należy się status jedynego języka roboczego. Francja powinna to oficjalnie zaproponować i Aubert, z poparciem 40 deputowanych, złożył w tej sprawie w parlamencie wniosek, któremu jak dotąd nie nadano biegu. Zapewne dlatego, że szanse na powodzenie są niewielkie, choć pewnie wszyscy – deputowani, ministrowie, prezydent – w głębi duszy podzielają zdanie wnioskodawców.

A co z niemieckim, również językiem roboczym? W dodatku w Unii jest na pierwszym miejscu, przed francuskim, bo najwięcej ludzi nim mówi. Julien Aubert tego nie neguje, zaznacza jednak, że liczebną przewagę niemieckiego niweluje znakomity status francuskiego, który jest jednym z sześciu języków oficjalnych ONZ i jednym z dwóch w NATO. Argument liczebny tym razem więc okazuje się bez znaczenia.

ANGIELSKI NIE DO USUNIĘCIA

Fakt, że angielski nie zniknął, chociaż Unię opuścił najważniejszy kraj anglojęzyczny, najlepiej pokazuje, że czynnikiem decydującym jest nie obecność Wielkiej Brytanii w Unii, lecz angielskiego w świecie – skutek dominacji Stanów Zjednoczonych. Angielski skutecznie usunął w cień francuski i trudno się dziwić, że Francuzów to boli. Przywykli, że przez dwa ostatnie wieki, przynajmniej do końca drugiej wojny światowej, ich językiem mówiły salony, dyplomaci, świat kultury i polityki. Na domiar złego angielski zdomował się we Francji i – podobnie jak to czyni w bardzo wielu językach,

do Rady będzie napisane po angielsku, to pozostanie bez odpowiedzi. Francuzi będą cierpliwie czekać na wersję po francusku.

Na początku grudnia prezydent Emmanuel Macron przedstawił priorytety na czas prezydentury, a w nich takie sprawy jak stosunki z Ameryką, Rosją i Chinami, kwestia wypracowania europejskiej polityki migracyjnej czy kierunek rozwiązań klimatycznych. Plany językowe natomiast zaprezentowano już na początku czerwca, z ponadpółrocznym wyprzedzeniem. Czy taka kolejność powinna dziwić? Tylko tego, kto nie jest

z polskim włącznie – zaśmieca język francuski.

Na plus Francuzom należy zapisać przynajmniej to, że starają się bronić przed inwazją angielskiego. Nie tylko angielskiego zresztą. Bronią się również przed zmianami, które mogą być skutkiem obecności rzeszy imigrantów, a także przed ekspansją i umacnianiem się języków regionalnych (jest ich aż 75 – 24 we Francji i 51 w jej terytoriach zamorskich). Aby nad tym zapanować, w 1992 r. dokonano drobnej, ale istotnej zmiany w konstytucji. Od tej pory jej art. 2 mówi, że „językiem Republiki jest język francuski”. To krótkie, jasne stwierdzenie nie daje pola do interpretacji.

W owym czasie przyjęta została również ustawa o ochronie języka francuskiego, która między innymi zakazuje używania słów obcych (czytaj: angielskich) w dokumentach i pismach urzędowych. Starano się również tworzyć francuskie słowa zamiast terminologii angielskiej, powszechnej, jak wszędzie w świecie, choćby w informatyce. Mimo że w wielu językach komputer pozostał komputerem, we Francji jest to „ordinateur”.

Rzeczywistość robi jednak swoje i angielskiego nie dało się całkiem usunąć. Anegdotycznie brzmiąca, choć podobno prawdziwa opowieść, że prezydent Jacques Chirac opuścił kiedyś spotkanie europejskie w chwili, gdy przedstawiciel Francji zaczął wygłaszać przemówienie po angielsku, jest dziś trochę jak z innego świata. Tym bardziej że prezydent Emmanuel Macron nie tylko mówi po angielsku bardzo dobrze – lepiej niż wszyscy jego poprzednicy – lecz także swoje wypowiedzi lubi urozmaicać angielskim wtrętami. Za to gen. Charles de Gaulle, który czas wojny spędził w Anglii, jej język traktował z ironicznym dystansem. Jak kiedyś zauważył – o czym można przeczytać na stronie International Churchill Society – dzięki nauce angielskiego jest w stanie zrozumieć francuski Winstona Churchilla.

LINGUA FRANCA PO AFRYKAŃSKU

Emmanuel Macron z pewnością chciałby zostać zapamiętany jako człowiek, który uratował miejsce francuskiego w świecie, a nie tylko jako prezydent, który zmagał się z ruchem „żółtych kamizelek”. Kwestię wspierania języka prezydent Francji podnosił wielokrotnie, a najważniejsze w tej sprawie deklaracje

składał w miejscach nieprzypadkowych, o symbolicznej wymowie: w Akademii Francuskiej i w Afryce.

Akademia to stara, szacowna instytucja, powołana w XVII w. przez kard. Richelieu, który powierzył jej pieczę nad językiem francuskim. Od blisko czterech wieków Akademia dba więc o stan i czystość języka, wydaje słowniki, ocenia zmiany, ustosunkowuje się do językowych nowinek. Ostatnio broni francuskiego przed zakusami aktywistów LGBT, którzy pragną wprowadzenia do języka zasad gramatycznych i ortograficznych oddających wydumane genderowe pomysły. Gdzie i kiedy należy więc mówić o francuskim, jeśli nie w jego świątyni i w jego dniu? 20 marca, w Międzynarodowym Dniu Frankofonii, w 2018 r. Emmanuel Macron wobec członków Akademii zaprezentował zatem zamiary władz, które dołożą starań, by francuski rozkwitał.

Drugie ważne przemówienie prezydent wygłosił w listopadzie 2017 r. w Burkina Faso, na terenie dawnej Francuskiej Afryki Zachodniej. Dlaczego właśnie tam? Ponieważ Afryka zadecyduje o przyszłości języka francuskiego. W Afryce pokładają nadzieje jego obrońcy i miłośnicy, bo po francusku mówi tu więcej ludzi niż we Francji. I szybciej ich przybywa.

Na świecie językiem francuskim posługuje się dzisiaj 300 mln ludzi. 44 proc. z nich to mieszkańcy Afryki subsaharyjskiej. Do magicznego progu 50 proc. już naprawdę niedaleko. A w nieodległej przyszłości Afryka stanie się największym skupiskiem frankofonów, czyli osób francuskojęzycznych. W 2050 r. za niespełna 30 lat, aż 85 proc. z 700 mln ludzi mówiących po francusku żyć będzie w Afryce.

Takie liczby podaje Międzynarodowa Organizacja Frankofonii (OIF), która – pierwotnie wzorowana na brytyjskim Commonwealth – miała wiązać Francję jako kolonialną metropolię z jej dawnymi posiadłościami. Choć w OIF rzeczywiście dominują dawne kolonie, zwłaszcza afrykańskie, to organizacja stała się raczej platformą współpracy szeroko pojmowanego świata języka francuskiego. Do Frankofonii należą m.in. Kanada, Belgia, Szwajcaria, Rumunia, Laos, Kambodża, Liban i Egipt, za to, o dziwo, nie ma w niej Algierii i Syrii. W 32 państwach i regionach spośród 54, które są pełnoprawnymi członkami Frankofonii, francuski jest językiem

urzędowym, z reguły obok innego, miejscowego języka.

MIJESCE W WIELKIEJ TRÓJCE?

Wspomniany silny trend wzrostowy to skutek wysokiego przyrostu naturalnego, a także zwiększonego zainteresowania francuskim w tych afrykańskich krajach, które nie były koloniami Francji. Nic dziwnego, że Francja wiąże z Afryką wielkie nadzieje. Właśnie tu dostrzega swą szansę. I zamierza ją wykorzystać, inwestując w edukację szkolną, a także późniejszą, w postaci kursów francuskiego. Nie zamierza na tym oszczędzać, bo wie, że inwestowanie w przyjazne nastawienie do Francji przyniesie kiedyś korzyści.

Francuski, zależnie od źródła, jest dzisiaj piątym albo szóstym językiem świata, po chińskim (w wydaniu mandaryńskim), angielskim, hiszpańskim i arabskim, plus ewentualnie hindi, zależnie od tego, które dialekty się do niego włącza. W wystąpieniu w Burkina Faso Emmanuel Macron podkreślał, że chciałby, by francuski „stał się w przyszłości pierwszym językiem Afryki, a może nawet świata”. Cel, przynajmniej w drugiej części owej deklaracji, nakreślił więc niesłychanie ambitnie, choć raczej mało realnie, z czego zapewne sam zdawał sobie sprawę.

Francuzi zredukowali zatem swe aspiracje do skromnego trzeciego miejsca w świecie, za to chętnie podkreślają, że w wielu dziedzinach francuski na tle innych języków stoi bardzo wysoko. Francuskie MSZ na swej stronie internetowej podaje, że w Internecie wśród najczęściej używanych języków francuski jest czwarty, w biznesie – trzeci, w dyplomacji – drugi, po angielskim. „Aby jednak – czytamy – francuski mógł stać się kiedyś jednym z trzech światowych języków XXI w., trzeba zwiększyć jego obecność w kluczowych dziedzinach: w Internecie i światowych mediach, w gospodarce, w dyplomacji europejskiej i światowej”.

Język jest dla Francuzów celem samym w sobie, zarazem jednak – co doskonale pokazują urzędowe i nie tylko urzędowe enuncjacje – narzędziem doskonale nadającym się do wykorzystania w interesie Francji. Temu również służy Frankofonia. We francuskiej polityce od zawsze obecna jest przecież idea *grandeur de la France* – wielkości Francji. Odwołuje się do niej każdy prezydent, gdy obejmując urząd, zapewnia rodaków, że w imię wielkości Francji gotów jest zrobić wszystko. Nawet jeśli jest to wielkość w dużej mierze miniona. A może właśnie dlatego?

© © Wielkie prawa zastrzeżone

UCZNIOWIE MARZNĄ PRZEZ PANDEMIĘ

We Włoszech w ramach zapobiegania zakażeniom koronawirusem dzieci w szkołach odbywają lekcje w klasach przy otwartych oknach. Według dziennika „La Stampa” dzieciom jest za zimno i ponad trzy czwarte z nich narzeka na temperatury w klasie. Sondaż dla prasy wskazał, że połowa włoskich uczniów przyznała, że z tego powodu w ich placówkach odbyły się protesty. Dochodziło do tego, że uczniowie okupowali szkoły.



FOT. ADRIAN STOK

RADIOAKTYWNE TALIZMANY ANTY-5G

Niektórzy ludzie boją się nowego standardu telefonii komórkowej – 5G. W związku z tym czasem kupują rzeczy, które mają ich chronić przed rzekomym „promieniowaniem”. Okazało się, że mogą się napromieniować nie 5G, ale właśnie tego rodzaju talizmanami. Holenderski Urząd ds. Bezpieczeństwa Jądrowego i Ochrony Przeciwpromiennej ostrzegł niedawno przed kilkoma szkodliwymi dla zdrowia produktami „anty-5G”.

MASOWE ŚLEDZENIE

W leżącym nieopodal Seulu mieście Bucheon (liczącym ok. 800 tys. mieszkańców) ma powstać system 10 tys. kamer wyposażonych w algorytmy rozpoznawania twarzy. W ten sposób władze chcą sprawdzać m.in., gdzie był i z kim się spotykał każdy Koreańczyk, u którego wykryto zakażenie koronawirusem. Kontroli ma też podlegać to, czy ludzie w otoczeniu takiej osoby nosili maseczki. Pomysł zaakcepto-

wał tamtejszy resort nauki. Pomysłodawcy twierdzą, że zanim system będzie mógł skorzystać z takich danych, każda śledzona osoba będzie musiała wyrazić na to zgodę.

„SZCZEPIENIA CZYNIA WOLNYM”

W Norymberdze ok. 12 tys. osób przeszło w marszu, demonstrując przeciw polityce walki z koronawirusem. Niektórzy protestujący nieśli na sobie naklejki odwzorowujące gwiazdy Dawida, do których noszenia Niemcy zmuszali podczas wojny Żydów. Mało tego – pojawił się też transparent z napisem trawestującym napis z bramy niemieckiego nazistowskiego obozu zagłady Auschwitz: „Szczepienia czynią wolnym”.

MAŁPY MORDERCY

W indyjskiej miejscowości Lavool doszło do poważnego konfliktu między małpami i psami. Do tego stopnia, że przestraszyli się nawet ludzie. Zaczęło się od tego, że psy zagryzły młodą małpę. W odwecie małpy zaczęły zabijać psy. Potrafiły zanosić szczeniaki na dachy budynków i je stamtąd zrzucić. Zabiły tak 250 psów. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Samobójstwo w 3D

Krótko przed świętami Bożego Narodzenia władze Austrii ogłosiły światu, że dołączają do postępowego kręgu krajów, w których łatwiej jest pożegnać się z życiem. Co prawda, Austriacy nie przegłosowali jeszcze eutanazji na pełną skalę, ale zalegalizowali już „wspomagane samobójstwa”. Nowe regulacje obowiązują od stycznia 2022 r. Na razie, aby zyskać dostęp do leków wspomagających własną śmierć, trzeba mieć ukończone 18 lat, być nieuleczalnie chorym lub po prostu cierpieć na choroby przewlekłe.

Aby pożegnać się ze światem, konieczne jest przedstawienie

diagnozy lekarskiej i odbycie dwóch rozmów z lekarzami. Pacjent dostaje też trzy miesiące na to, aby upewnić się, że na pewno chce umrzeć. Jeśli nie zmieni zdania, to dostanie receptę i państwo powie mu „pa, pa”. Nowe prawo jest konsekwencją uznania przez Trybunał Konstytucyjny, że zakaz „wspomaganego samobójstwa” jest naruszeniem praw jednostki do... samostanowienia.

Chociaż Austriacy chcą być tacy postępowi, to już na starcie przegrywają ze Szwajcarami, którzy pracują nad zalegalizowaniem nowoczesnego gadżetu do samozagłady. Wydrukowana przez drukarkę 3D kapsuła wygląda jak skrzyżowanie trumny

z bolidem Formuły 1 i umożliwia użytkownikowi powolne uduszenie się (producent wynalazku, firma Exit International, zapewnia, że uduszenie się w ten sposób jest zupełnie bezbolesne). Firma może dostarczyć kapsułę do mieszkania lub w piękną wiejską scenerię. Walka o klienta trwa. A Europa to coraz lepszy rynek dla osób i firm zarabiających na samobójstwach. Tylko w zeszłym roku w ramach „wspomaganego samobójstwa” życie w samej Szwajcarii odebrało sobie ok. 1,3 tys. osób. Przedstawiciele „sektora umierania” liczą więc na szybki rozwój rynku. Trudno o lepszy symbol upadku lewicowej Europy. ©©



Z dr Carol M. Swain, badaczką krytycznej teorii rasy
rozmawia Piotr Włoczyk

Rasizm w imię postępu



FOT. TEXAS PUBLIC POLICY FOUNDATION

PIOTR WŁOCZYK: Jak często słyszy pani, że zdradziła pani czarnych?

CAROL M. SWAIN: Najczęściej moi zajadli krytycy spod sztandaru Black Lives Matter nazywają mnie „czarną białą suprematystką”.

Słucham?

Dobrze pan usłyszał. Takich ludzi jak ja, którzy bronią praw obywatelskich białych ludzi i domagają się równego traktowania wszystkich obywateli bez względu na kolor skóry, nasi przeciwnicy ze skrajnie progresywnej strony nazywają „czarnymi białymi suprematystami”. Więcej – każdy czarny konserwatysta jest dziś tak nazywany przez ludzi, którzy uważają nas za wrogów.

Czyli że sprzedaliście się białym i nienawidzicie ludzi o czarnym kolorze skóry?

Najwyraźniej o to im chodzi. To oczywiście wierutna bzdura, bo mnie zależy na tym, żeby wszystkie rasy żyły w harmonii.

To dlaczego tak ostro krytykuje pani tzw. krytyczną teorię rasy (ang. critical race theory – CRT)? Demokraci przekonują, że takie spojrzenie na stosunki rasowe nikomu niczym nie grozi, natomiast ma pomóc zrozumieć, dlaczego – statystycznie rzecz biorąc – czarnym Amerykanom będzie się gorzej niż białym.

Krytykuję CRT właśnie dlatego, że zależy mi, by w naszym społeczeństwie nie było napięć na tle rasowym. Nie mamy żadnych złudzeń – ta neomarksistowska ideologia to czysty rasizm w stosunku do białych ludzi. Walczę z tym zjawiskiem, ponieważ skoro nie chcę, by czarni mieszkańcy USA byli dyskryminowani, to muszę też reagować, gdy dyskryminuje się białych ludzi. A tym właśnie jest neomarksistowska CRT. Tę ideologię nie tyle szerzą demokraci, ile progresywiści. Przekonują oni, że CRT obecna jest jedynie na uniwersytetach, że to nie jest zagrożenie dla społeczeństwa. Ale to nieprawda.

Nie ma takiego przedmiotu w amerykańskich szkołach.

To prawda, ale mimo to CRT jest obecna już na poziomie nauczania podstawowego. Widać ją w wielu książkach dla dzieci, które nie mówią wprawdzie o twórcach tej truczyny rasowej, takich jak m.in. Kimberlé Crenshaw czy Richard Delgado, i nie pojawia się w nich również kulturowy marksista Antonio Gramsci, ale są tam

obecne idee dopasowane w formie do wieku czytelników. Jest to uproszczona wersja CRT, ale jej trzon jest zachowany: wszyscy biali to ciemniznicy. Z kolei wszystkie mniejszości to ofiary. Właśnie takie myślenie sący się do głów amerykańskich dzieci. CRT jest tylko jedną z teorii krytycznych, które wyrastają z marksizmu. Mamy przecież jeszcze krytyczną teorię queerową czy krytyczną teorię feministyczną. We wszystkich tych teoriach chodzi o podzielenie ludzi na ciemnizniczy i ofiary – heteroseksualni i homoseksualni, mężczyźni i kobiety. CRT twierdzi, że wszyscy niebiali to ofiary. Na białych nakłada się obowiązek pozbycia się swojej „białości”, czyli uznania, że jest się w pozycji uprzywilejowanej. Jedynym wyjściem jest dołączenie do szeregów „antyrasistów”.

Co w tym kontekście oznacza „antyrasizm”?

To bardzo szeroki termin. Uznaje się, że tylko biali mogą być rasistami. Z definicji przedstawiciel mniejszości nie może być rasistą. Czyli nieważne, co ja powiem, nieważne, jakbym się zachowywała w stosunku do białych ludzi – z natury rzeczy nie mogę być posądzona o rasizm. W tym wszystkim widać też duży nacisk na kwestie własności i zasobów. Biali to rasa bogaczy, a mniejszości to wykorzystywani biedacy. Tymczasem każdy, kto podróżował intensywnie po USA, na pewno napotkał całe osiedla białej biedy, szczególnie w rejonie Appalachów.

W języku angielskim powstało nawet niezbyt przyjemne określenie na takich ludzi: „white trash” („białe śmieci”)...

Dokładnie. Ci ludzie bardzo często mieszkają w przyczepach samochodowych. Te rodziny są tak samo biedne jak wiele czarnych rodzin. Ja sama wychowałam się w biedzie, jestem jedną z dwanaścioro rodzeństwa, wzięłam ślub w wieku 16 lat i na pewien czas rzuciłam naukę. Z biegiem lat zrozumiałam jednak, jak ważne są ciężka praca i wykształcenie. Wróciłam do nauki, skończyłam liceum, poszłam na studia, zrobiłam doktorat i wykładałam na uczelniach wyższych. Od lat jestem więc na poziomie, który w CRT określa się „pozycją władzy”. Gdybym była równolegle aktywistką Black Lives Matter, to mogłabym dyskryminować białych ludzi, okazywać

im pogardę i nienawiść. Lewica nie miałaby z tym problemu, bo mniejszości, właśnie z uwagi na ideologię CRT, nie są traktowane tak samo jak biali. Mniejszościom pozwala się na dużo więcej, co samo w sobie jest już rasistowskie.

Ostatni przykład – sprawa sądowa czarnego aktora Jussiego Smolletta, który wynajął dwóch czarnych kulturystów, żeby go napadli na ulicy i udawali zwolenników Donalda Trumpa. Zdarzenie to miało miejsce zimą, więc Smollett liczył, że nikt się nie zorientuje, kim byli napastnicy. Sąd stwierdził właśnie, że aktor wszystko upozorował, żeby zyskać sławę. Mam wrażenie, że gdyby to samo, tylko w drugą stronę, zrobił biały człowiek, największe amerykańskie media od rana do wieczora trąbiłyby o próbie rozniecenia konfliktu rasowego.

Jednak w przypadku Smolletta nasze lewicowe media nie łączą tego z próbą szerzenia nienawiści rasowej. Z drugiej strony nie mówi się też o białych ludziach atakowanych przez gangi młodych przedstawicieli mniejszości. Informacje na ten temat pojawiają się głównie w konserwatywnych mediach. Tak wygląda efekt stosowania podwójnych standardów w sprawach rasowych. To bardzo niebezpieczne, bo nie da się osiągnąć harmonii społecznej, jeżeli nie postawi się dobrej diagnozy problemu. Przymykanie oka na przemoc w drugą – białą – stronę do niczego dobrego nie prowadzi.

Wszyscy jesteśmy ludźmi i jesteśmy zdolni do czynienia dobra, ale niestety potrafimy też robić bardzo złe rzeczy. Tymczasem CRT stara się wymazać taką rzeczywistość w myśl zasady – biali to tylko ciemniznicy, a mniejszości to tylko ofiary takiej rzeczywistości. Młodzi ludzie, którzy nie rozumieją jeszcze świata, ale chcą o coś walczyć, często są infekowani takim myśleniem. Wydaje im się, że robią coś, co ma uratować społeczeństwo, tymczasem zamieniani są w słynnych lenińskich „pożytecznych idiotów”.

Ale nie twierdzi pani chyba jednak, że w USA nie ma takiego zjawiska jak „biały suprematyzm”?

Od lat badam ten temat. Takich ludzi, przedstawicieli ekstremistycznych środowisk, jest garstka. Ich radykalizacji sprzyja bez wątpienia to, że biali w wielu miejscach nie są traktowani tak samo jak przedstawiciele mniejszości. To widać gołym okiem i taka polityka niechybnie

proceedzi do tworzenia napięć społecznych. Tak jak powiedziałam, białych suprematystów jest garstka, ale aktywiści BLM zmierzają do tego, by pojęcie „biały suprematyzm” rozciągnąć na każdego białego, który nie chce się zapisać do grona „antyrasistów”. Definicja tego terminu musiała zostać rozszerzona, bo w innym przypadku za mało byłoby wrogów.

Wiele się ostatnio pozmieniało, jeżeli chodzi o definicję...

Badam ten temat, więc śledzę to, co się dzieje ze słownikami. W ciągu ostatniej dekady definicja rasizmu była subtelnie zmieniana. Dziś w większości słowników definicja słowa „rasizm” jest zgodna z polityczną agendą lewicy. Dochodzi w ten sposób do przedziwnych sytuacji, gdy osoby o konserwatywnych poglądach, dyskutując na tematy rasowe z ludźmi z drugiej strony, sięgają po słownik, by ustalić fakty, i nagle orientują się, że nie mają racji, bo definicja tego słowa brzmi już zupełnie inaczej! Jak u Orwella – słowa tracą swoje tradycyjne znaczenie i niczego nie możemy już być pewni.

Dlaczego nazywa pani CRT „największym wyzwaniem dla praw obywatelskich w naszych czasach”?

Ponieważ ta ideologia z powrotem wprowadza u nas segregację. Tym razem w drugą stronę. Nie mogę patrzeć na to, jak biali są dziś w USA poniżani, zastraszani tylko dlatego, że mają taki, a nie inny kolor skóry.

Ale prawda jest też taka, że biali nie mają dziś w USA najgorzej...

Niektórzy biali mają bardzo wygodne życie – zgadza się. Ale inni tak samo zmagają się z codziennością jak przedstawiciele mniejszości. Jako osoba, której zależy na dobrostanie całego społeczeństwa, nie mogę wobec tego pozostawać obojętna. Czy pan wie, że coraz częściej małe białe dzieci wracają ze szkoły zapłakane, mówiąc, że nauczyciel powiedział, że biali ludzie robią złe rzeczy? Dzieci zaczynają się wstydić własnego koloru skóry. Tego wcześniej nie było! Wydawało się, że nasze społeczeństwo walczyło o to, by nikt nie czuł się źle z powodu cech, której nie jest w stanie zmienić. Co się stało z hasłem: „Jedna rasa – ludzka rasa”? Nie chcę, by moje wnuki były wyszydzane z powodu koloru skóry, i nie chcę również, by białe dzieci czuły się źle z tym, jak wyglądają.

W ciągu ostatnich lat definicja rasizmu była subtelnie zmieniana. Dziś w większości słowników jest ona zgodna z polityczną agendą lewicy

Ten medal ma jeszcze drugą stronę...

Czarne dzieci są uczone, że są ofiarami systemowego rasizmu, w związku z czym standardy, które ich obowiązują, muszą być niższe. CRT sęczy im do głów, że z powodu koloru skóry w sposób systemowy nie są w stanie nadążyć za białymi. I dlatego trzeba im „pomóc”. Przypomnę tylko, że urodziłam się w latach 50., gdy w USA wciąż jeszcze mieliśmy systemowy rasizm. Ten prawdziwy systemowy rasizm. Jednak ruch na rzecz praw obywatelskich dokonał wielkich rzeczy – usunięto przeszkody, które obiektywnie utrudniały lub uniemożliwiały nieskrępowany rozwój. Chcieliśmy tylko szans na przyszłość. Nie prosiliśmy nikogo o zaniżenie standardów, żebyśmy mogli przeskoczyć nad poprzeczką. Dziś te osiągnięcia są zagrożone. Na niektórych uniwersytetach wraca segregacja. Tworzy się osobne grupy dla mniejszości, tłumacząc, że lepiej się uczyć „wśród swoich” np. o tym, jak działa amerykański rząd. Mało tego – od niedawna robi się też dla mniejszości osobne ceremonie ukończenia uniwersytetu, a także tworzy się akademiki dla czarnych studentów! To pogwałcenie Ustawy o prawach obywatelskich z 1964 r. To rasizm w imię postępu, cofanie zegara o kilka dekad.

Do czego może doprowadzić Amerykę wdrażanie postulatów ruchu BLM?

BLM niszczy postęp w sprawach rasowych, który osiągnęliśmy takim trudem. Wielu Afroamerykanów odrzuca takie recepty, tym bardziej że widać już efekty radykalizmu BLM, choćby w sprawie odbierania pieniędzy policji. Z tego powodu widzimy olbrzymią falę przestępstw w naszych miastach. W kogo najbardziej to uderza? Oczywiście w dzielnice zamieszkałe przez mniejszości, gdzie przestępczość jest wyższa! Sondaże pokazują, że czarni Amerykanie chcą dobrze doinwestowanej policji. Bez niej Afroamerykanie będą jeszcze częściej

ginąć, a przecież BLM twierdzi, że tu chodzi o ratowanie życia czarnych obywateli... Równolegle progresywiści, którzy krzyczą: „Black Lives Matter!”, zachęcają do jeszcze dalej idącej normalizacji aborcji. Przypomnę tylko, że kliniki aborcyjne zarabiają najwięcej wśród mniejszości. Najwyższy odsetek aborcji notowany jest niestety wśród czarnej ludności. Ile czarnych dzieci zginęło w ten sposób? Niestety, ale widać tu prawidłowość – za każdym razem, kiedy mniejszości brane są pod „ochronę” przez progresyistów, kończy się to dla nich tragicznie.

Amerykańska lewica przesadziła z forsowaniem postulatów BLM?

Na to wygląda. Korporacje, które wspierały BLM po śmierci George’a Floyda, rakiem wycofują się z takiej działalności. BLM to bardzo agresywna organizacja. Dość powiedzieć, że aktywiści spod tego sztandaru wsparli Jussiego Smolletta i nie widzieli żadnego problemu w przestępstwie, którego się dopuścił. Wydali nawet oficjalne stanowisko, w którym dowodzili, że Smollett nie powinien zostać skazany. To brzmiąco jak groźba wobec sądu. Ale to nic nowego. Aktywiści BLM często naciągają na ławy przysięgłych i utrudniają pracę organom ścigania. Bardzo głośne uniewinnienie Kyle’a Rittenhouse’a było tak naprawdę – wobec presji BLM – aktem odwagi ze strony członków ławy przysięgłych.

W ostatnich wyborach w Wirginii demokraci przegrali głównie z powodu obaw rodziców związanych z przenikaniem CRT do szkół. O tym będzie również głośno przy okazji kolejnych wyborów prezydenckich w 2024 r.?

Jestem przekonana, że tak właśnie będzie. Na szczęście przeciw CRT powstaje koalicja obywateli, która idzie w poprzek podziałom partyjnym. Nie tylko biali buntują się przeciw takiemu przedstawianiu spraw rasowych. Również bardzo wielu przedstawicieli mniejszości uważa, że to w istocie napuszczanie jednych na drugich. To duża szansa dla republikanów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Carol M. Swain (ur. 1954) jest amerykańską politolog, badaczką krytycznej teorii rasy. Wykładała na Princeton University w New Jersey oraz Vanderbilt University w Tennessee. W USA ukazała się niedawno jej najnowsza książka pt. „Black Eye for America: How Critical Race Theory Is Burning Down the House” (napisana wspólnie z dr. Christopherem J. Schorrem).

TEST „DO RZECZY”: WIDEOREJESTRATOR NEXTBASE 322GW

Dotykowy ekran, niezła jakość obrazu rejestrowanego w dzień, łatwość obsługi, funkcja „Emergency SOS” oraz atrakcyjny stosunek ceny do jakości – to największe zalety modelu ze średniej półki brytyjskiej firmy Nextbase, wiodącego europejskiego producenta kamer samochodowych.

Firma Nextbase, posiadająca 60 proc. udziałów na rynku europejskim, od kilku miesięcy próbuje zdobyć miejsce również na polskim rynku. Model 322 GW robi wrażenie solidnie wykonanego.

Głównym elementem testowanej kamery jest ekran dotykowy IPS HD o przekątnej 2,5 cala.

Widerejestrator nagrywa filmy o rozdzielczości 1080 p, czyli Full HD, przy 60 klatkach na sekundę. Szału nie ma – sam Nextbase produkuje już kamery, które oferują rozdzielczość na poziomie 4K – ale jakość nagrań dokonanych podczas jazdy w dzień dla wielu kierowców powinna być już wystarczająca. Po zmroku jest już jednak dużo gorzej, a odczytanie tablic rejestracyjnych samochodów z naprzeciwka jest często praktycznie niemożliwe.

Testowana kamera została wyposażona w kilka przydatnych funkcji, takich jak wbudowana łączność wi-fi czy Bluetooth 4.2, co znacząco ułatwia szybkie pobieranie nagranego materiału na smartfon lub tablet. Połączenie



urządzenia z dedykowaną aplikacją Nextbase na smartfonie znacząco ułatwia też proces konfiguracji kamery. Oczywiście kamera jest też wyposażona w moduł GPS oraz czujnik przeciążeń.

Zaletą tego modelu jest również funkcja Emergency SOS – gdy dochodzi do wypadku, w wyniku którego kierowca nie reaguje na sygnały wydawane przez rejestrator, kamera może automatycznie poinformować służby ratunkowe o poważnym wypadku, a także przekazać dokładne dane o lokalizacji i czasie, w którym doszło do zdarzenia. Za pomocą aplikacji można też podać dane medyczne, takie jak grupa krwi czy informacje o alergiach. Korzystanie z tej funkcji jest jednak dodatkowo płatne.

Kamera jest też wyposażona w tryb

inteligentnego parkowania, w którym widerejestrator rejestruje wszystkie uderzenia podczas postoju. To bardzo przydatna funkcja w sytuacjach, w których sprawca parkingowej kolizji „zapomni” zostawić karteczki z telefonem.

Bardzo fajne jest również to, że kamerę można zasilать zarówno za pomocą tradycyjnego gniazda zapalniczki samochodowej, jak i z powerbanka za pomocą kabla USB.

Wady? Po pierwsze, ekran dotykowy nie zawsze reaguje tak szybko, jak można byłoby tego oczekiwać, zwłaszcza na krawędziach. Po drugie, fajnie byłoby, gdyby kamera miała nieco wyższą rozdzielczość i lepszą jakość nagrań w kiepskim oświetleniu. Przydałby się też większy kąt widzenia. W testowanym urządzeniu wynosi on 140 stopni, podczas gdy u niektórych konkurentów z tej samej półki cenowej wynosi on 150 stopni. Po trzecie, miejsce na kartę microSD jest trudno dostępne, co znacząco ogranicza możliwość szybkiego wyjmowania i wkładania karty.

Mimo to Nextbase 322GW to godny polecenia „średniak”. Cena testowanej kamery spadła niedawno z niemal 600 zł do 449 zł. Stosunek ceny do jakości jest więc obecnie naprawdę atrakcyjny. ©

Jacek Przybylski



PIERWSZY SKŁADANY SMARTFON OPPO

OPPO zaprezentowało swój pierwszy składany smartfon: Find N. Gadżet jest wynikiem czterech lat pracy oraz sześciu generacji prototypów. Jak informuje chiński producent, model Find N zapewni użytkownikom większą płynność przełączania się między 7,1-calowym wewnętrznym wyświetlaczem

a 5,49-calowym wyświetlaczem zewnętrznym. Po złożeniu wyświetlacz zewnętrzny o proporcjach 18:9 można z kolei bez problemu obsługiwać jedną ręką. Inżynierom OPPO udało się też wyeliminować przerwę między wyświetlaczami po złożeniu. Smartfon wyposażony jest w potrójny zestaw aparatów, z których jeden ma rozdzielczość 50 MP. Nowy model w Chinach wszedł już do sprzedaży i kosztuje tam równowartość niecałych 5 tys. zł. Data premiery i cena w Polsce nie są jeszcze znane.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DOMOWE ZIOŁA PRZEZ CAŁY ROK

LG Tiun. Tak nazywa się urządzenie z kategorii „inteligentny ogród”, które według zapewnień producenta pozwala nawet początkującym ogrodnikom uprawiać własne zioła, warzywa i kwiaty przez cały rok. Nowy model ma dwie półki, z których każda może pomieścić do sześciu pakietów nasion typu „wszystko w jednym”. Każdy pakiet ma 10 otworów do kiełkowania, dzięki czemu użytkownicy mogą jednocześnie hodować różne rodzaje roślin. LG tiun automatycznie reguluje temperaturę i oświetlenie, tak aby naśladowały naturalny cykl dnia, a także samodzielnie podlewa rośliny. Dzięki wzmocnieniu procesu fotosyntezy efekty zautomatyzowanej rolniczej działalności widoczne są – według producenta – w ciągu czterech do ośmiu tygodni. Urządzenie zostanie zaprezentowane podczas targów CES w Los Angeles. O jego cenie jeszcze nic nie wiadomo. ©

Jacek Przybylski



JAKUB WOZINSKI: Niedawno został ułożony cały morski odcinek gazociągu Baltic Pipe. Możemy chyba mówić o sukcesie?

PIOTR NAIMSKI: To jest rzeczywiście sukces, ponieważ to niezwykle skomplikowana inwestycja. Gazociąg jest złożony z kilku odcinków. Zaczyna się na Morzu Północnym, biegnie przez Danię, pod Bałtykiem, i wymaga przebudowy znacznej części naszego krajowego systemu gazowego.

Decyzja o budowie Baltic Pipe została podjęta na początku 2016 r. i dzisiaj, pod koniec 2021 r. możemy powiedzieć, że zgodnie z założonym terminem w przyszłym roku w październiku gazociąg będzie ukończony i gaz będzie płynął ze źródeł norweskich do Polski.

Prowadzenie tego rodzaju skomplikowanego projektu angażującego administrację czterech krajów, bo przecież także i Szwecji, i wykonanie go z dokładnością niemal do tygodnia przez Gaz-System zasługuje na uznanie. Musieliśmy sobie poradzić ze skutkami pandemii, reżimem sanitarnym, obostrzeniami, zamknięciem granic w pierwszym okresie. Oczywiście to jeszcze nie jest koniec. Mamy ciągle 10 miesięcy przed sobą. Odcinek podmorski jest praktycznie ukończony, jeszcze trwają prace „kosmetyczne”. Części liniowe gazociągu są też bardzo zaawansowane zarówno w Polsce, jak i w Danii. Trwają również prace przy budowie tłoczni. Jedna z nich jest zlokalizowana w Danii, a trzy w Polsce. Termin oddania ich do użytku jest oczywiście zharmonizowany z całością i będą one gotowe w trzecim kwartale przyszłego roku. To też są skomplikowane instalacje, ale Gaz-System bacznie pilnuje harmonogramu prac.

Czyli nie ma już obaw, że gazociągowi zagrozi nagle coś nieoczekiwanego?

Jeżeli wykluczyć – jak to się zapisuje w kontraktach – siłę wyższą, to wszystko mamy pod kontrolą w założonych terminach.

A nasi norwescy i duńscy partnerzy zdają się być dużo bardziej przewidywalni niż ci ze wschodu?

To jest pytanie, które sięga do źródła decyzji o podjęciu tej inwestycji. Realizujemy strategię różnicowania źródeł dostaw gazu dla polskiej gospodarki. Gazociąg Baltic Pipe będzie miał przepustowość 10 mld m sześć. gazu rocznie i to jest w zasadzie dokładnie tyle, ile teraz kupujemy na podstawie długo-



Piotr Naimski. W tle: przebieg gazociągu Baltic Pipe

FOT. WWW.GOV.PL, GAZ-SYSTEM S.A.



Z Piotrem Naimskim, pełnomocnikiem rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej

rozmawia Jakub Wozinski

Redukujemy możliwość „szantażu gazowego”

terminowego kontraktu od rosyjskiego Gazpromu. Ten kontrakt wygasa z końcem 2022 r. i trzy miesiące wcześniej zostanie uruchomiona możliwość dostaw z norweskiego szelfu. To rzeczywiście bardzo ważny moment nie tylko dla polskiej gospodarki. Redukujemy w ten sposób możliwość politycznych nacisków i szantażu ze strony Rosji przy użyciu „broni gazowej”.

Do 2028 r. mają powstać w Polsce bloki gazowe o mocy ok. 6 GW. To również spore wyzwanie.

W dekadzie lat 20. przewidujemy istotny wzrost zapotrzebowania na gaz w polskiej gospodarce. Dzisiaj zużywamy ok. 20 mld m sześć. gazu

rocznie, a na początku lat 30. to będzie 30–32 mld m sześć. System przesyłowy będzie do tego przygotowany. Pod koniec dekady będzie już także gotowy pływający terminal do odbioru skroplonego gazu w Gdańsku.

Jeżeli chodzi o budowę elektrowni gazowych, to jest to oczywiście zadanie na najbliższe lata. Trzeba zachować równowagę pomiędzy wypadającymi z systemu elektrowniami węglowymi a nowymi mocami, nowymi źródłami energii. Musimy zachować bezpieczeństwo wytwarzania energii elektrycznej niezależnie od pory dnia i od warunków atmosferycznych. Elektrownie wiatrowe i słoneczne tego nie zapewniają, choć

niewątpliwie będą one stanowiły coraz większą część naszego miks energetycznego. Węgiel zastąpić trzeba innymi, mniej emisyjnymi źródłami i w pierwszej dekadzie programu transformacji będzie to gaz. Elektrownie, które będą nim zasilane, dostały warunki przyłączenia do krajowego systemu elektroenergetycznego. Jest to prawie 5 GW. Oprócz tego warunki przyłączenia – jeszcze bez podpisanych umów – mamy na dodatkowy 1 GW, co daje razem ponad 6 GW w nowych elektrowniach przewidzianych do oddania do użytku w dekadzie lat 20. Ich budowa to zadanie dla spółek energetycznych. Zbudowanie elektrowni gazowej to kilka lat, inwestorzy muszą zatem bardzo sprawnie i terminowo realizować swoje projekty. Teraz jest więc czas decyzji inwestycyjnych i rząd bierze to pod uwagę, w szczególności Ministerstwo Aktywów Państwowych. To jeden z najważniejszych elementów transformacji energetycznej, dlatego że energetyka nuklearna będzie dostępna w dalszej kolejności w latach 30.

Skoro już mowa o latach 30., to wcześniej wyrażał pan opinię, że obecny trend wzrostu cen energii wyhamuje właśnie ok. roku 2030. Czy nie niepokoi pana, że wszystko wymknie się jednak trochę spod kontroli?

Ceny energii nie będą zależały wyłącznie od nas. Widzimy głębokie perturbacje na rynkach energii w skali globalnej. Jednak zmniejszanie presji cenowej powodowanej ciągle rosnącym podatkiem od emisji dwutlenku węgla będzie sprzyjało stabilizacji cen w Polsce. Różnicowanie technologii produkcji energii, wprowadzanie nisko- i zeroemisyjnych źródeł będzie temu sprzyjało. Natomiast jest tak, że cały ten proces transformacji, który ma prowadzić do ograniczenia emisji dwutlenku węgla, wymaga zachowania odpowiedniej równowagi. Z jednej strony będziemy mieli coraz mniej energii produkowanej z węgla, z drugiej musimy mieć systematycznie coraz więcej energii z gazu, OZE czy elektrowni jądrowych. Na tę zmianę miks energetycznego nakładać się będzie silny trend elektryfikacji całych obszarów gospodarki – transportu, ciepłownictwa, przemysłu. Jednocześnie chcemy zachować mocny wzrost gospodarczy. Czyli tej energii będziemy potrzebować coraz więcej. Nie możemy ani przez moment dopuścić do tego,

aby Polska nie była samowystarczalna, jeśli chodzi o jej produkcję. Nie możemy się uzależnić od systemowego importu energii. To jest podstawa naszej polityki energetycznej i też kwestia fundamentalna dla naszego bezpieczeństwa i suwerenności. Jeśli takie założenie przyjmujemy, to taktyka jest tego pochodną.

Zamykając którąś z elektrowni węglowych, musimy jednocześnie wprowadzić do systemu tyle megawatów z innych źródeł, żeby zapewnić taką samą produkcję energii jak z elektrowni zamykanych. Co więcej, musimy zachować różnorodność technologii. To nie może być monokultura, ponieważ konieczna jest dostępność energii w każdej sytuacji. Będziemy mieli elektrownie wiatrowe na Bałtyku, fotowoltaikę, elektrownie gazowe, które będą służyły dwójako: jako zabezpieczenie dla odnawialnych źródeł, ale też jako zastępujący węgiel w podstawie. Jak długo będziemy korzystać z gazu? Długo. W Europie mówi się o okresie przejściowym, ale nikt nie zdefiniował, ile to potrwa. W latach 40. w miksie będziemy mieli gaz, OZE, energię atomową, ale ciągle także węgiel.

A jeśli Unia Europejska zdecyduje o przyspieszeniu zielonej transformacji? Nawet po ogłoszeniu „Fit for 55” pojawiły się głosy, że to wciąż zbyt wolno.

To jest pytanie wykraczające poza politykę sektora energetycznego, ono dotyczy bezpieczeństwa państwa. Mogę powiedzieć, że jeżeli będzie zagrożone bezpieczeństwo dostaw energii w Polsce, to właśnie ono musi być decydującą podstawą do podejmowania decyzji przez polski rząd, a nie ideologiczny furor urzędników europejskich.

W ostatnim czasie pojawiły się nowe oferty budowy elektrowni atomowej złożone przez Francję i Koreę Południową.

Francuski przemysł nuklearny jest kompetentny i dobrze rozwinięty. I to jest pierwsza rzecz, którą bierzemy pod uwagę. Druga jest taka, że przemysł francuski ma kłopoty z terminowym ukończeniem już rozpoczętych inwestycji, także we Francji. Jeśli zaś chodzi o Koreańczyków, to wiemy, że firmy koreańskie są w stanie zbudować elektrownię w określonym czasie i za określone pieniądze, co udowodniły w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Tam powstają reaktory zbudowane od zera, na piasku,

w założonym terminie. To są ciekawe rozmowy. Z Amerykanami realizujemy umowę międzyrządową, która przewiduje przedstawienie oferty naszemu rządowi latem przyszłego roku. Tego dotyczy umowa międzyrządowa, a nie ostatecznego wyboru. Wybór technologii będzie przeprowadzony zgodnie z europejskim ustawodawstwem i umowa amerykańska, którą realizujemy, była notyfikowana w Euroatomie. To jest czasem zapomniana wspólnota europejska, istniejąca równoległe z Unią Europejską.

O ile Baltic Pipe to sukces, o tyle w przypadku atomu niestety sprawa ciągnie się od lat. W powszechnym odbiorze obecna ekipa rządząca nie radzi sobie z budową tak bardzo potrzebnych elektrowni atomowych.

Faktem jest, że budowa elektrowni atomowej w Polsce jest opóźniona. Tematem tym zajmował się rząd PO. Podjęliśmy ten temat w 2016 r. niejako w kontynuacji i mogę dzisiaj powiedzieć, że prace przygotowawcze są bardzo żmudne. Potrzebny jest raport środowiskowy, badania lokalizacyjne. Spółka Polskie Elektrownie Jądrowe zaczynała jako wspólne przedsięwzięcie spółek energetycznych, ale niestety czym innym jest prowadzenie biznesu energetycznego, a czym innym budowa elektrowni jądrowej. Obecnie Polskie Elektrownie Jądrowe to w 100 proc. spółka celowa Skarbu Państwa. Spółka ma określone preferencje co do lokalizacji elektrowni. Raport środowiskowy jest gotowy i będzie wkrótce składany. Jednym słowem, choć te prace przygotowawcze są prowadzone w sposób mało widoczny dla opinii publicznej, to realnie przybliżają moment strategicznych decyzji rządu. Termin – rok 2033 – oddania pierwszego reaktora jest terminem realnym – trudnym, ale realnym. Przy Baltic Pipe przez sześć lat udaje się nam utrzymać założony harmonogram, tak samo wierzę, że uda się go utrzymać przy elektrowni jądrowej. Jest to zadanie, które jest miarą dojrzałości naszego państwa dlatego, że w perspektywie lat 30. można zasadnie założyć, że będą się zmieniały koalicje rządzące, sejmy i chodzi o utrzymanie strategicznej kontynuacji dla tego ważnego dla Polski projektu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Naimski – pełnomocnik rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej, były poseł, były wiceminister gospodarki.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Fałsz Unii, fałsz rządu

Od lat niepomierne irytują mnie tablice obwieszczające, że to i to powstało – pisząc w uproszczeniu – za pieniądze Unii Europejskiej; za pieniądze pochodzące z takiego to a takiego programu/funduszu UE. Tablice (od 2022 r. za ich brak KE chce karać zabranieniem 3 proc. sumy wsparcia!) zazwyczaj niemałe, a właściwie całkiem duże, przeważnie strasznie brzydkie, które wraz z pierdyldardem rozsiągniętych po Polsce, gdzie i jak popadnie, reklam dopełniają bałagan architektoniczny w Polsce.

A co najgorsze – tablice kłamliwe, bo to przecież nie żadne pieniądze UE, nie z żadnych programów/funduszy UE, lecz pochodzące wprost z kieszeni podatników państw członkowskich UE (w tym – polskich podatników), więc jeśli kogokolwiek należałoby honorować na takich tablicach, to właśnie ich – PODATNIKÓW PAŃSTW CZŁONKOWSKICH UE, a nie żadną Unię Europejską, żadną Komisję Europejską, żadne unijne programy czy fundusze, czyli – w żadnym razie – nie nadstawiających piersi do orderów i głów do pochwał eurokratów z Brukseli, którzy żądając umieszczania tych tablic, na to przecież właśnie liczą. Na order, pochwał, sowite comiesięczne pensje, a potem także dożywotnie emerytury i na przedłużenie ich władzy – najlepiej w nieskończoność.

No i teraz do tej gry na tablice czy o tablice na całego włączył się rząd Polski. To znaczy: włączył się już wcześniej, ale teraz docisnął pedał gazu, bo – jak wiadomo – obecny

rząd we wszystkim chce być pierwszy, najlepszy i największy. No i zapewne właśnie z tego powodu każda inwestycja sfinansowana lub dofinansowana pieniędzmi z właśnie uruchamianego – a jakże! – Rządu węg Funduszu Polski Ład (na razie 20 mld zł, a docelowo – 140 mld zł) ma być obowiązkowo opatrywana przez beneficjentów tablicą o wprost gigantycznych rozmiarach 180 cm na 120 cm, na której oprócz polskiej flagi i herbu musi się znaleźć informacja, że inwestycja ta została „dofinansowana ze środków budżetu państwa”, plus nazwa programu, z którego pochodzi wsparcie, wielkość kwoty i wartość całej inwestycji.

Do tej pory tablice informujące o wsparciu rządowych funduszy dla inwestycji miały zazwyczaj rozmiary 120 cm na 80 cm – tak było w przypadku powołanego w 2018 r. Funduszu Dróg Samorządowych (dziś: Rządowego Funduszu Rozwoju Dróg), tak było w przypadku powołanego w 2020 r. Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych. Teraz wszelako – jak się okazuje – to już nie wystarczy i tablice muszą być gigantyczne: najlepsze i największe.

I oczywiście mające dokładnie tyle samo wspólnego z prawdą, ile mają tablice unijne, ponieważ także w przypadku funduszy rzekomo rządowych wypłacane z nich pieniądze pochodzą z kieszeni podatników – w dodatku zarówno tych popierających PiS i Solidarną Polskę, jak i tych popierających Platformę, Polskę 2050, Konfederację, PSL i Lewicę. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Uczciwy powinien się bać

W marcu tego roku Fundacja Panoptikon, zajmująca się sprawami prywatności obywateli, uruchomiła kampanię „Podśluch jak się patrzy”. W jej ramach wyjaśniała, jak szerokie są kompetencje służb mających prawo do inwigilowania obywateli, a zarazem jak kompletnie fikcyjna jest sądowa kontrola nad tymi uprawnieniami. Formacji mogących obywateli inwigilować jest w Polsce aż dziewięć. Kampania Panoptikonu,

Uniwersytetu w Toronto. Rzecznik ministra koordynatora ds. służb, Stanisław Żaryn, oznajmił, że „w Polsce kontrola operacyjna jest prowadzona w uzasadnionych i opisanych prawem przypadkach, po uzyskaniu zgody prokuratora generalnego i wydaniu postanowienia przez sąd”. Rzecz właśnie w tym, że prawo tworzy furtki dla służb, a wsteczna kontrola sądowa praktycznie nie działa. Inwigilacja może być zatem zgodna z prawem i jednocześnie bezzasadna oraz nadmierna.

„Uczciwi nie mają się czego bać” – mówią w takich sytuacjach zwolennicy szerokich kompetencji państwa. I mówią głupio. Niezależnie od tego, co sądzimy o mecenasie Giertychu czy prokurator Wrzosek, te przypadki są niepokojące, bo pokazują, że kiedyś inna władza może sięgnąć po te instrumenty przeciwko komuś innemu. Może to też zrobić służba w ramach jakichś wewnętrznych rozgrywek z inną służbą albo nawet skorumpowany funkcjonariusz na prywatne zlecenie.

Naruszanie prywatności obywateli poprzez inwigilację powinno być zawsze ostatecznością i kompetencją skrajnie oraz bardzo ściśle limitowaną. Ograniczoną do przypadków absolutnie niezbędnych. W Polsce niestety z całą pewnością tak nie jest i właśnie przede wszystkim ludzi uczciwych powinno to obchodzić. Nieuczciwi zawsze znajdą sposób, żeby się mąskować. ©©

**Naruszanie
prywatności
obywateli poprzez
inwigilację powinno
być zawsze
ostatecznością**

połączona z możliwością podpisania petycji w sprawie zmiany przepisów, przeszła niestety bez większego zainteresowania.

Nie wiadomo, która ze służb mogła korzystać z izraelskiego Pegasus, żeby inwigilować Romana Giertycha i Ewę Wrzosek. Że do takiej inwigilacji dochodziło, jest raczej pewne, ponieważ grupa Citizen Lab, która te informacje podała, jest wysoce wyspecjalizowanym zespołem, afiliowanym przy Munk School of Global Affairs & Public Policy



Lokale usługowe

ZAINWESTUJ LUB WYNAJMIJ!



Poznań,
ul. Stefana Czarnieckiego



Termin zakończenia budowy
III kwartał 2022 roku

www.wilda-corner.pl
+48 882 818 848

Wynajem

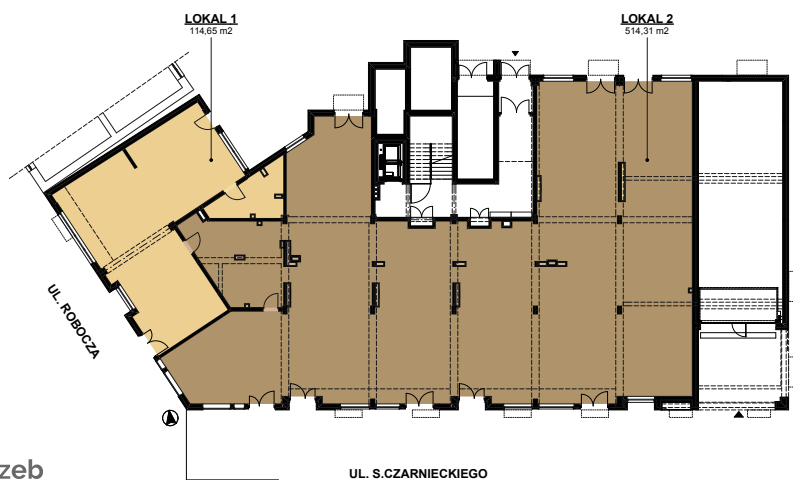
Powierzchnia 44 – 515 m²,
stawka od 59 zł/m² netto*

Sprzedaż

Powierzchnia 130 – 200 m²,
stawka od 9 900 zł/m² netto*

*w przypadku zakupu lub wynajmu całkowitej powierzchni lokalu ~630 m², cena podlega indywidualnej negocjacji

Możliwość aranżacji lokalu do Twoich potrzeb



eprasa.pl 97b62b9cff



Joanna Bojańczyk

Dwupółgodzinna, pełna energii, rozgrywana w pięknych wnętrzach melodramatyczna „dynastia”. Czy prawdziwa, wiedzą tylko jej żyjący jeszcze bohaterowie

Gwiazdorska obsada, zbrodnia, moda, w tle wielkie pieniądze... To wystarczy, żeby zrobić filmowy przebój, hollywoodzki oczywiście. W filmie „Dom Gucci” Ridleya Scotta, którego akcja toczy się głównie wśród Włochów w Mediolanie, aktorzy mówią po angielsku. To musi boleć Włochów, dla których marka Gucci jest wciąż przedmiotem narodowej dumy... Trudno przyjąć do wiadomości, że globalny krwiożerczy kapitalizm pokonał szlachetne florenckie rzemiosło, a film o tym zrobili Amerykanie. Ale takie są czasy. Zresztą u nich story o tokańskim klanie wchodzi na ekrany najpóźniej z całej Europy – dopiero 16 grudnia. U nas jest na ekranach od listopada.

Film powstał na podstawie książki Sary Gay Forden, amerykańskiej dziennikarki. Historia jest znana, przynajmniej tym, którzy interesują się modą. Reszta może słyszała o morderstwie Maurizia Gucciego, które w 1995 r. zaplanowała i zleciła jego żona, Patrizia. Skazana na 29 lat więzienia, wyszła po 16 i teraz żyje sobie spokojnie w Mediolanie, wychodząc na spacer ze swoją papugą. Nie jest źle, choć było tak pięknie: dolce vita między Nowym Jorkiem a Mediolanem, szaleńcze w Sankt Moritz, trójmasztowy jacht, ferrari....

POCZĄTEK

W latach 20. XX w. włoski emigrant Guccio Gucci pracował w Londynie w hotelu. Eleganckie bagaże hotelowych gości wywarły na nim takie wrażenie, że postanowił robić we Włoszech takie same. Po powrocie do Florencji otworzył zakład kaletniczy. Torby i bagaże z czerwono-zielonym paskiem sprzedawały się doskonale, Gucciemu pomagał brat Vasco, a potem synowie, firma się rozrastała. W latach 60. w torebki zaopatrywały się arystokracja i gwiazdy filmowe z Europy i Ameryki. Kim Novak, Audrey Hepburn, hiszpańska królowa Zofia, królowa Gracji Fryderyka. Aktorka Joan Collins zażyczyła

Torebka Gucci ze zbrodnią w tle

sobie torebkę ze skóry legwana z łańcuszkiem na ramię z czystego złota... W latach 60. do firmowego portfolio dorzucono ubrania. Pierwszy pokaz mody odbył się na via Condotti w Rzymie, następny w Palazzo Pitti. Ale jako że rodzinnym biznesem rządzą mężczyźni, i w dodatku Włosi, atmosfera bywała napięta.

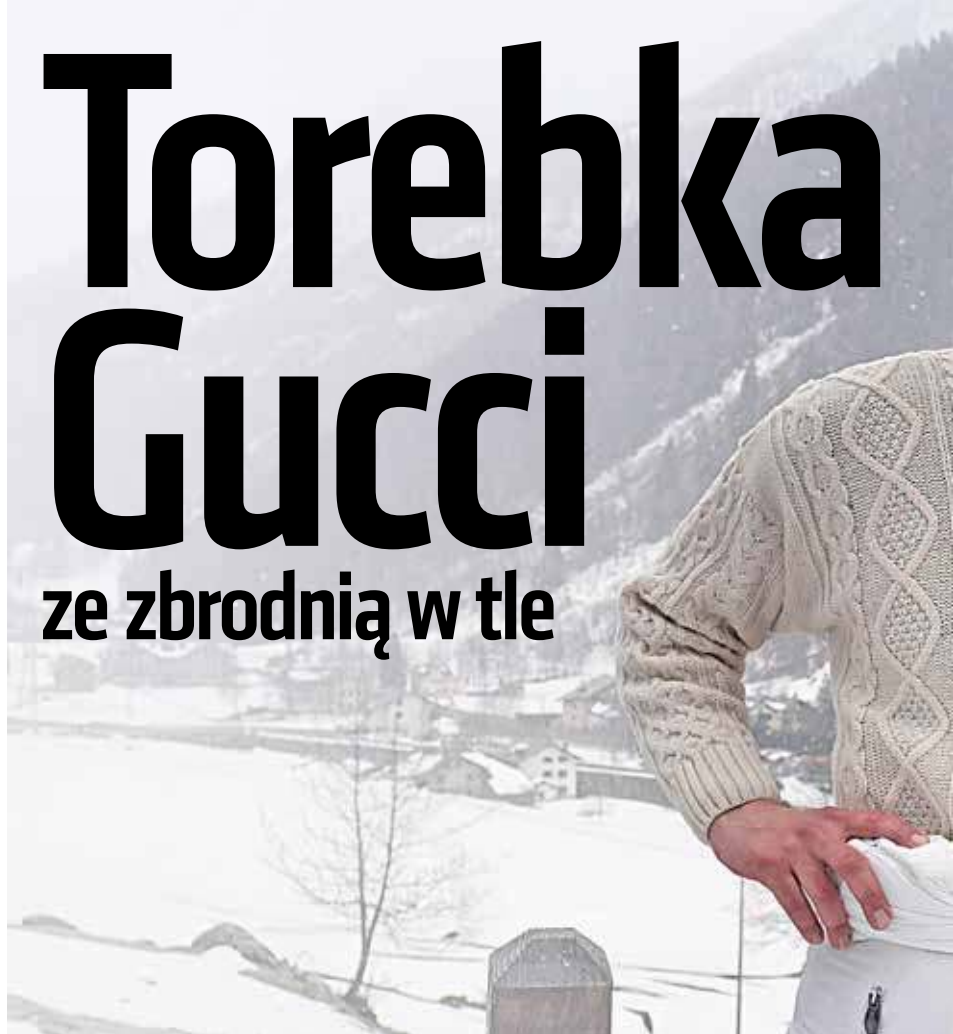
I tu w listopadzie 1970 r. wkracza filmowa opowieść z fenomenalną i całkowicie nierozpoznawalną Lady Gagę w roli Patrizii. Na początku ciężka, story rozkręca się w dwupółgodzinny pełną energii, rozgrywaną w pięknych wnętrzach melodramatyczną „dynastię”. Czy prawdziwą, wiedzą tylko jej jeszcze żyjący bohaterowie.

Dwudziestoletnia Patrizia Reggiani, córka kelnerki i właściciela firmy transportowej, zarzuca siła na młodego Maurizia, świetnie wykształconego prawnika, dziedzica firmy Gucci. Zwierzyna złapana, na drugiej randce „Mau” oświadcza się, nie zważając na opinię panny niezbyt ciężkich obyczajów, którą w wyższych sferach mediolańskich cieszy się narzeczona. Jest pod jej urokiem. „Jesteś podobna do Elizabeth Taylor” – mówi. „Tak, ale jestem piękniejsza” – odpowiada ona... Ojciec Maurizia,

Rodolfo, właściciel połowy udziałów rodzinnej firmy Gucci, nie może pogodzić się z wyborem jedynego syna. Zrywa kontakty, grozi wydziedziczeniem. Maurizio jest bardzo przywiązany do ojca, ale kobieta zwycięża. Na ślubie w październiku 1972 r. nie pojawia się nikt z rodziny Guccich.

Na początku wszystko układa się idealnie, Maurizio i Patrizia, młodzi piękni i bogaci, są bohaterami rubryk międzynarodowego high life’u lat 70. Razem z córkami, Alessandrą i Allegrą, przemieszczają się między Mediolanem, Nowym Jorkiem, willą w Acapulco i posiadłością w Connecticut. Luksusową codzienność zatruwają jednak konflikty rodzinne. Rywalizacja toczy się między Mauriziem, jego ojcem Rodolfo, stryjem Aldo i jego synem Paolo. Każdy z nich chciałby uzyskać władzę nad firmą. To idealne warunki, aby do gry wkroczyła bezwzględna manipularka i intrygantka Patrizia. Dla niej znaczenie mają tylko pieniądze. Ma dużo, chce jeszcze więcej. „Wolę płakać w rolls-royse, niż śmiać się na rowerze” – mawia. Przez parę lat udaje jej się sterować łagodnym, bezwolnym mężem.

Wszystko zmienia się w roku 1983, gdy umiera Rodolfo. Maurizio otrzymuje





Jak nietrudno się domyślić, rodzina jest filmem Ridleya Scotta „rozczarowana”. „Skradziono nam tożsamość dla zysku, dla zarobku Hollywood. To niegodne” – powiedziała osoba z rodziny
FOT. FABIO LOVINO/MATERIAŁY PRASOWE

połowę udziałów ojca w firmie i uświadamia sobie, jak bardzo do tej pory dawał się manipulować żonie. Udało mu się wyzwolić spod wpływów ojca, teraz musi uwolnić się spod władzy kobiety, z którą nigdy nie łączyła go głębsza więź.

Film Ridleya Scotta pokazuje to szczególnie. Zdesperowaną, wściekłą kobietę walczącą o mężczyźnę. Widzimy też biznesowe otoczenie lat 80. Moda się globalizuje i coraz bardziej liczy się w niej marketing. Mała rodzinna firma, nawet najlepsza, w takim układzie nie ma szans, wymaga inwestycji. Mały sklep na głównej ulicy Mediolanu nie wystarczy, trzeba być w centrum handlowym, na lotnisku. Ponadto firma okazuje się poważnie zadłużona, a luksusowy tryb życia właścicieli jeszcze pogłębia dziurę w budżecie.

Związek Maurizioa i Patrizii także się chwieje, awantury są coraz częstsze. Maurizio nie jest już tym słabym, dającym się sterować mężczyzną, którego poznała 20-latką, nie słucha żony, sam decyduje o wszystkim. Patrizia czuje

się upokorzona. Narastają w niej desperacja i chęć zemsty na mężu. Te uczucia potęgują się, gdy w życiu „Mau” pojawia się kobieta, Paola Franchi.

NA WŁASNE ŻYCZENIE

Lady Gaga zagrała tę władczą i bezwzględną kobietę całym swoim temperamentem. Jej Patrizia ma więcej uczuć niż wyrachowania. „Nie chciałabym gloryfikować kogoś, kto popełnił zbrodnię, ale chciałabym też oddać hołd kobietom, które zostały ekspertkami przetrwania i ponoszą konsekwencje cierpienia – powiedziała amerykańskiemu magazynowi »Vogue«.

– Chcę, żeby kobiety oglądające ten film uświadomiły sobie, że ludzie zranieni ranią. To niebezpieczne. Chcę postawić pytanie: Co się dzieje, gdy ktoś jest doprowadzony do ostateczności?”

W przypadku Patrizii dzieje się najgorsze, ale chciałoby się powiedzieć: na własne życzenie.

Po długoletniej walce o opiekę nad dziećmi i podziałem majątku w porzu-

czonej kobiecie nie słabnie żądza zemsty. Nie zmienia tego nawet comiesięczny wysoki czek od Maurizioa. Nienawiść oślepią ją tak bardzo, że służbie szaletu Sankt Moritz poleca przygotowanie kanistrów z benzyną, żeby podpalić dom.

Katastrofa przychodzi w roku 1993, gdy Maurizio traci kontrolny pakiet akcji. Kupuje je od niego za 120 mln dol. firma Investcorp z Bahrajnu. Patrizia dostaje szału. Swojej przyjaciółce Pinie Auriemmie, którą w filmie gra Salma Hayek (skądinąd mąż Salmy to Patrick Pinault, obecny właściciel marki Gucci), zwierza się, że Gucci był całym jej życiem i tożsamością. Obawia się, że Paola Franchi urodzi dziecko Maurizioowi i pozbawi jej córki spadku.

Plan zostaje opracowany. 27 marca 1995 r. Maurizio Gucci zostaje zastrzelony czterema kulami w plecy przed wejściem do swego biura.

Inwestor pozbył się także Maurizioa i w końcu w roku 1993 wszyscy Gucci znaleźli się poza firmą. Jacqueline Kennedy, gdy się o tym dowiedziała, wysłała telegram: „Why?”.

Nowy właściciel robił wszystko, żeby firmę nagłośnić, żeby przestała się kojarzyć z jego zdaniem starociowatymi projektami dla niemłodych elegantek. Zatrudniono projektanta Toma Forda, który postawił na erotykę jako główny motor sprzedaży. Potem przez firmę przeszli inni projektanci, obecnie jej dyrektorem artystycznym jest Alessandro Michele, który ubiera głównie gwiazdy na czerwonym dywanie, zresztą w kreacje dyskusyjne. Jednak torebka Gucci wciąż pozostaje symbolem statusu. Tylko że kupuje się ją nie w małym sklepie na florenckiej uliczce, ale w jednym z 300 sieciowych salonów na całym świecie, o lotniskach nie mówiąc. „Kiedy u nas klientka przynosiła torebkę do naprawy, robiono to bezpłatnie, przepraszając za kłopot. Dzisiaj, jeśli coś takiego się zdarzy, klientka musi zapłacić 200 euro...” – stwierdziła gorzko Patrizia Gucci, córka Paola, z którą rozmawiałam w Warszawie pięć lat temu. Jak nietrudno się domyślić, rodzina jest filmem Ridleya Scotta „rozczarowana”. „Skradziono nam tożsamość dla zysku, dla zarobku Hollywood. To niegodne” – powiedziała osoba z rodziny.

Globalny dom mody z rodziną założycieli poza nazwiskiem nie ma teraz wiele wspólnego. Należy do korporacji, zarabia na perfumach i torebkach. Legenda służy głównie do mnożenia zysków. W modzie to przecież połowa sukcesu. Reszta to marketing.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wysoki Zamek we Lwowie

Wysokiego Zamku we Lwowie nie zobaczymy już nigdy w całej okazałości, na szczycie góry zachowały się tylko resztki, nawet nie ruiny ruin; jest to jednak miejsce magiczne, warte przypomnienia, tym bardziej że rozciąga się stąd piękny widok na miasto. Twierdza wzniesiona po 1362 r. przez Kazimierza Wielkiego na miejscu drewnianej,

lwowscy zaniedbali fortyfikacje, które pękały i groziły zawaleniem. Już wkrótce mieszkańcy mieli przekonać się, czym zakończyły się takie wieloletnie zaniedbania. Pod koniec września 1648 r., po klęsce pod Piławcami, pod miasto podeszła ogromna armia kozacko-tatarska Bohdana Chmielnickiego i Tuhaj-beja. Lwowiacy zdobyli się wówczas na ogromny wysiłek finansowy, aby uzbroić armię do walki z Kozakami. Jak pisze Ludwik Kubala, „kościół oddawały srebro, klasztory ozdoby, depozyty, złoto, kamienie drogocenne, ogołocony ściany, ołtarze i cudowne obrazy. Kobiety składały swoje oszczędności i kosztowności do skarbca naczelników. Zebrano w kilku dniach tą drogą dobrowolnej, a gdzieniedzie przynusowej pożyczki, ale której zwrot zaręczono, znaczną na owe czasy sumę: milion złotych w gotówce, a 300 tys. zł w kosztownościach”. Niestety, wybrany regimentarzem książę Jeremi Wiśniowiecki wycofał się do Zamościa. Mieszczanie nie załamali się jednak nawet wtedy. Stawili desperacki opór pod wodzą rajcy miejskiego Grozwejera, mając pod bronią jedynie 124 żołnierzy piechoty miejskiej, 50 dragonów, 52 ludzi załogi zamku Wysokiego i 1,5 tys. uzbrojonych mieszczan. Chmielnicki i Tuhaj-bej zdobyli i złupili przedmieścia, nie mogąc zaś wtargnąć do miasta, zaatakowali Wysoki Zamek, podchodząc aż pod mury i wspinając się po drabinach. Był to niezwykle wyczyn, zamkowa góra bowiem w niektórych miejscach jest i dziś trudno dostępna. Pierwsze szturmury zostały odparte, jednak z powodu braku kul i prochów forteca została opuszczona, a załoga wycofała się do miasta, pozostawiając bez obrony mieszkańców. Zostali oni wymordowani przez Tatarów i Kozaków. Lwów jednak przetrwał, okupiwszy się pieniędzmi

i towarami wartymi ok. pół miliona ówczesnych złotych polskich.

Kolejne oblężenie – w 1655 r., tym razem przez armię moskiewsko-kozacką – okazało się szczęśliwsze, gdyż obroną dowodził Krzysztof Grodzicki, a miasto było o wiele lepiej przygotowane do walki, jednak i tym razem okupiło się wysoką kontrybucją. Po raz kolejny na mury Lwowa i Wysokiego Zamku uderzali Turcy, Kozacy i Tatarzy w 1672 r., po zdobyciu Kamieńca Podolskiego. Sterane wojnami i ogołocone z wojska miasto nie było w stanie zapłacić okupu wynoszącego 80 tys. talarów, dało zaledwie 5 tys. i w zamian za pozostałą sumę zakładników, których uwolniono dopiero siedem lat później.

Ostatnie oblężenie Lwowa i Wysokiego Zamku miało miejsce w czasie wielkiej wojny północnej, w 1704 r. Wówczas podeszła tutaj armia szwedzka Karola XII walcząca z królem Polski, Augustem II Sasem. Szwedzi bez trudu zdobyli Wysoki Zamek, którego mury były już w ruinie, a także klasztor Karmelitów Bosych i rozpoczęli ostrzał miasta. W takim stanie rzeczy oblężenie nie trwało długo, wkrótce nieprzyjaciół wszedł do Lwowa, który kolejny raz zapłacił ogromną kontrybucję: 130 tys. talarów. Był to już w zasadzie koniec świetności Wysokiego Zamku. Zrujnowanych murów nie odbudowano, w drugiej połowie XVIII w. w ruinach zorganizowano szpital dla chorych. Dzieła zniszczenia dokonali zaś Austriacy, którzy po I rozbiorze zniszczyli fortyfikacje miejskie Lwowa. Ostateczny cios zadała rada miasta, która w 1869 r. podjęła uchwałę o usypaniu tutaj Kopca Unii Lubelskiej. Przy tej okazji rozebrano ostatki murów zamku. ©



Widok Lwowa z 1616 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



pochodzącej jeszcze z czasów króla Daniela Halickiego, miała swój udział w licznych wojnach i najazdach,

które rozbijały się o mury Lwowa. Jeszcze w połowie XVI w. była to silna warownia, lustracja z 1562 r. wymienia, że były tutaj „podwoje żelazne, spichlerz żywnością napełniony, kaplica z wszelaką potrzebą kapłańską w dobrym stanie, pomieszkania królewskie świetne, przechadzki murowane i sklepienia dla czuwających całe”. Na zamku znajdowało się 10 ciężkich i kilkanaście lżejszych dział, ponadto duże zapasy prochu.

Niestety, w późniejszych latach, gdy dzięki potęgde Rzeczypospolitej miasto cieszyło się spokojem, burgrabiowie i starostowie

„Mała książka – wielki człowiek” – 3 miliony rozdanych wyprawek

Z ostatniego raportu Biblioteki Narodowej wynika, że w ciągu roku poprzedzającego badanie co najmniej jedną książkę, w całości lub we fragmencie, czytało 42 proc. respondentów. Tylko czy aż?

Cieszy fakt, że udało się wyhamować spadek czytelnictwa, a teraz mamy wzrost – o 3 proc. w skali roku i o 5 proc. w skali dwóch lat. Wydaje się, że to efekt wspólnych działań m.in. Ministerstwa Kultury, Instytutu Książki, bibliotek, organizacji pozarządowych, zwykłych osób i dziennikarzy. Na pewno nie jest to już kwestia błędu statystycznego. To oczywiście wciąż za mało, ale motywuje do dalszej pracy.

Skąd ta niechęć do czytania?

Możliwe, że chodzi o koszty. Książka kosztuje więcej niż bilet do kina czy wykupienie dostępu do platformy z filmami, wymaga też więcej czasu. Konieczne są również skupienie i wysiłek intelektualny. Trzeba jednak podkreślić, że książka nadal utrzymuje swój prestiż. Chętnie kupujemy ją w prezencie, dostrzegalny jest pozytywny snobizm na książkę.

Instytut Książki, w ramach kampanii „Mała książka – wielki człowiek”, przygotował trzy Wyprawki Czytelnicze. Pierwszą książkę rodzice otrzymują już w szpitalu. Dlaczego tak ważne jest czytelnictwo od kołyski?

Trudno wymienić wszystkie argumenty, ale spróbuję. Czytanie dziecku rozwija jego umysł i emocje, kompetencje językowe, pomaga odkrywać otaczający świat, pobudza wyobraźnię, inspiruje. Wspólne czytanie buduje więź emocjonalną rodzica z dzieckiem, tworzy poczucie bliskości i bezpieczeństwa. Pytał pan o niechęć do czytania. Nawyk sięgania po książkę trzeba i warto budować



Dyrektor Instytutu Książki Dariusz Jaworski FOT. INSTYTUT KSIĄŻKI

Nawyk sięgania po książkę przez dzieci warto budować od początku. To inwestycja w ich życiowy sukces – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Dariusz Jaworski, dyrektor Instytutu Książki, organizatora kampanii „Mała książka – wielki człowiek”, w ramach której przekazano dzieciom ponad 3 mln Wyprawek Czytelniczych

od początku. Kiedy czytanie staje się rytuałem, małe dziecko akceptuje je jako stały element codzienności. Dzieci, którym się czyta, lepiej się uczą i kojarzą fakty, są bardziej pomysłowe i twórcze. Szybciej nawiązują kontakty, budują przyjaźnie, są bardziej empatyczne. To ogromna inwestycja w ich życiowy sukces.

Co wyróżnia książki z Wyprawek?

Każda z nich to starannie dobrany zestaw utworów wybitnych polskich poetów i pisarzy dziecięcych, w którym przeczytamy zarówno pozycje klasyczne, jak i współczesne. Do współpracy zapraszamy również znakomitych polskich artystów.

Czyli nie tylko treść, ale i forma?

Warstwa graficzna jest tak samo ważna jak tekst – przy-

ciąga uwagę dziecka i rozbudza jego wyobraźnię. Dzięki tym wyjątkowym książkom dzieci już od najmłodszych lat obcuja ze sztuką, mają ją na wyciągnięcie ręki, także w domowym zaciszu.

Przedszkolak na swoją książkę musi „zapracować” wizytą w bibliotece, może też otrzymać dyplom.

Nasz projekt nie kończy się na wręczeniu maluchowi Wyprawki i dyplomu. To bardzo przemyślane i spójne działanie. Najlepiej wiedzą o tym bibliotekarze, którzy z tej wizyty próbują uczynić początek długiej, pełnej wrażeń podróży po świecie literatury.

Kolejna książka trafia do pierwszaków. Tym samym Instytut obdarowuje dzieci na różnym etapie rozwoju. Na jakie efekty liczyć?

Nasza kampania ma kształtować nawyki czytelnictwa u dzieci i motywować dorosłych do wspólnego czytania. To projekt obliczony na lata, na efekt trzeba poczekać. Każdego roku realizujemy też kampanię informacyjną w mediach, przypominamy o korzyściach, jakie wynikają z czytania.

Ile książek trafiło do tej pory do dzieci i ile to kosztowało?

Przekazaliśmy ponad 3 mln Wyprawek Czytelniczych. W dystrybucji bierze udział 350 szpitali, 6700 bibliotek publicznych i 13 390 szkół podstawowych. Kampania jest finansowana wyłącznie ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach dotacji celowej udzielonej Instytutowi Książki. Łącznie w latach 2017–2021 na projekt przeznaczono ponad 41 mln zł.

Spory rozmach.

Ze względu na formę, skalę oddziaływania oraz zaangażowanie środków publicznych, kampania stała się jednym z największych tego typu programów na świecie. Projekt cieszy się dużym uznaniem ze strony rodziców, bibliotekarzy i pedagogów. Został m.in. doceniony przez członków międzynarodowego stowarzyszenia EURead, skupiającego przeszło 40 organizacji z ponad 20 europejskich krajów – Instytut Książki otrzymał nagrodę za działania na rzecz promocji i upowszechniania czytelnictwa.

Będą dalsze działania w ramach kampanii?

Oczywiście, ale nie możemy jeszcze tego zdradzić.

NOWY ROK Z BAŁTYCKIMI RYBAMI

Rzucę palenie, będę się więcej ruszać, ograniczę słodczyce, zmienię dietę na zdrowszą... Znają to państwo? No pewnie – noworoczne postanowienia. Czasem się udaje, czasem kończy się na dobrych chęciach. Warto się rozglądać za wspomagaczami noworocznych postanowień, którymi ostatnio stają się aplikacje. Liczące dni bez papierosa (i zaoszczędzone w ten sposób pieniądze) czy przypominające o ruchu. Ale też o zdrowych nawykach żywieniowych. Jedną z takich aplikacji może się przydać tym, którzy chcieliby włączyć więcej ryb do swojej diety, a przy okazji zachęca do sięgania po ryby z Bałtyku, poławiane przez polskich rybaków.

Aplikacja Naturalnie Bałtyckie to po pierwsze małe kompendium wiedzy. Dorsz, stornia, śledź, szprot, łosoś bałtycki i inne... Gdzie występują, jak wyglądają, jakie mają mięso, jak je najlepiej podawać... I dlaczego warto dopłacić do ryby poławionej na morzu,

no bo nie ma co kryć, że taka będzie droższa od tej hodowlanej: „Ryby z połowów charakteryzują się zazwyczaj o wiele lepszym smakiem i przede wszystkim – większą zawartością cennych składników

odżywczych. Wynika to z warunków, w jakich hodowane są ryby w akwakulturach”. No dobrze, ale jak rozpoznać jedno od drugiego? Tego też dowiemy się z aplikacji, której twórcy podpowiadają, na co zwracać uwagę przy zakupie. I nie chodzi tu tylko o informacje na opakowaniu i certyfikaty, dowiemy się też, jak rozpoznać świeżą rybę.

Tyle teoria, czas na praktykę! A w tej części przepisy. Śledź w tempurze z lekką sałatką z kaszą kuskus? Proszę bardzo! A może szprotki pieczone z kruszonką z migdałów albo pulpeciki z turbota lub flądra w cieście piwnym? Pomysłów

nie brakuje, inspiracje podsuwają m.in. blogerzy. Przepisy na szybką przekąskę czy prosty obiad, a także nieco bardziej wyszukane i wymagające. Każdy jasno wyjaśniony.

To co, nowe postanowienie noworoczne? Smacznie i zdrowo, a do tego wspierając polskie rybołówstwo.

Drogo? E tam! Ryba z morza kupiona w Krakowie i tak będzie tańsza niż usmażona „rybka nad morzem”. A kto to wie, skąd przyjechała ta smażona, podawana na papierowym talerzyku? ☺☺ (raw)



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Złoto i sznurek

Kiedy zbliżają się święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok, okładki magazynów zaczynają błyszczeć reklamami biżuterii. Naszyjniki, pierścionki, bransoletki, tiary... Po raz kolejny słyszymy, że diamenty są najlepszym przyjacielem dziewczyny. Kasi Tusk z pewnością, jak dowiedzieliśmy się z jej bloga, i cieszyć się, że jej kolczyki są nareszcie odcyszczone i naprawione. Nie wiem dokładnie, co na reklamach jest prawdziwe, a co prawdziwe udaje, ale odnoszę wrażenie, że na Gwiazdkę każdy mężczyzna powinien obdarować swoją kobietę klejnotem.

Kiedy proszę męża, żeby zapiął mi na rękę zwykłą bransoletkę, on denerwuje się, nie mogą trafić w małeńkie ogniwa łańcuszka. „Przy tej okazji zawsze słyszę – mówi – że gdyby to była bransoletka marki Chopard, nie byłoby z nią tyle kłopotu”. Na razie wciąż żyjemy bez Choparda i nie jesteśmy, zwłaszcza ja, z tego powodu nieszczęśliwi.

Ale czy rzeczywiście każda kobieta nie chciałaby mieć czegoś prawdziwie cennego? Nie tombak, ale złoto, nie szkiełko, tylko diament? Problem tylko – gdzie i jak można by to nosić. Bo jakoś w najbliższym otoczeniu widzę tylko swetry i dzinsy. Suknia balowa dzisiaj jest bardziej mitem niż rzeczywistością. Podobnie jak bal... Jedno i drugie istnieje już tylko na Pudelku i w bajce o Kopciuszku.

Może więc brać przykład z Elizabeth Taylor, którą Richard Burton zasypał kara-



FOT. ADRIAN STOK

tami? Nosić na co dzień? O ile suknie Liz trzymała upchnięte głęboko w szafach i niektórych w ogóle nigdy nie włożyła, o tyle biżuterię zawsze miała pod ręką w swojej willi w Bel Air, w Kalifornii. Na co dzień nosiła pierścionek z 33-karatowym brylantem, na jednym ze zdjęć widać ją, jak bawi się z wnukiem. Na głowie ma lokówki, ale z uszu zwisają jej kule z szafirów.

Parę tysięcy lat temu mężczyzna jaskiniowy nawlekał paciorki na sznurek, żeby zrobić wrażenie na jaskiniowej kobiecie. Potem przez wieki złoto i klejnoty były symbolami najwyższego statusu społecznego. Pęknięcie nastąpiło, gdy w XX w. do gry wszedła sztuczna biżuteria. Odtąd materiały stawały się coraz tańsze, ozdoby coraz bardziej demokratyczne. Tombak i kolorowe szkiełka zaczęły błyszczeć na robotniczych rękach. Potem – przewrotnie – plastik, kauczuk i sznurek weszły do repertuaru drogich domów mody. Aż w XXI w. doszliśmy do bransoletki z plecionych gumek recepturek, którą uczniowie robią na przerwach w szkole.

Czy zasługuje ona jeszcze na miano biżuterii? ☺☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Święta po covidowemu

Postanowiłem zrobić przegląd taktyk epidemiologicznych związanych ze świętami. Wiadomo – wirus jest międzynarodowy, uniwersalny, ale podejście różnych krajów jest dość różne i kiedyś będzie pora na podsumowanie, jak komu poszło. Zobaczmy, jak sobie radzą w różnych krajach z obostrzeniami w kontekście świąt Bożego Narodzenia. Bo tu, oprócz kwestii formalnych obostrzeń, mamy jeszcze do czynienia z lokalną tradycją.

W Brukseli w zbożnym (?) trudzie zrównania wszystkich Komisja Europejska umieściła „Boże Narodzenie” na liście określeń, których należy unikać, bo mogą się nie podobać innowiercom lub ateistom. Czyli już mamy potwierdzenie tego trendu, który z oczywistego kontekstu świąt czyni ideologicznie obłą papkę jakiejś magii świąt, głównie konsumpcyjnej. Przyłączam się do głosów tych, którzy radzą takim osobom czy społecznościom nie obchodzić nic w tym czasie i udać się do pracy – choćby zdalnej.

Jak jest w Polsce. W firmie Elektromontaż Wschód urządzono wigilię tylko dla zaszczepionych. Pomijając segregacyjny charakter takiego „zaproszenia”, wielu ludzi uznało to za chytrą sztuczkę, by się pracodawca dowiedział, kto jest zaszczepiony, a kto (jeszcze) nie. Bardziej optymistycznie wyszło w firmie, która zorganizowała wigilię on-line, ale posiłki do każdego domu dostarczył kurier, tak że wszyscy razem jakoś wspólnie w niej uczestniczyli. Bez podziałów.

W Holandii, mimo zaszczepienia ok. 90 proc. ludności, jest ostry lockdown. Tym razem w kwestii świątecznej regulatorem okazał się Kościół, który wydał zakaz sprawowania nabożeństw po godz. 17. Dotyczy on też pasterek czy kolędowania przy Żłóbku. W Finlandii śpiewy adwentowe odbywają się z powodów limitów po części na zewnątrz kościołów, choć tam i zaszczepiona większość, i zakażeń mało.

Au nas jak? Tu zdecydowało państwo, nie Kościół. Pasterka odbędzie się pod reżimem redukcji wiernych do 30 proc. obłożenia. Tak w ogóle to ciekawie wygląda, gdyż limit ten dotyczy liczby osób niezaszczepionych, bo zaszczepieni wchodzić bez ograniczeń. Ale trzeba będzie oddzielić ziarno od plew. Ciekaw jestem, jak. Nie wyobrażam sobie skanowania kodów QR przed wejściem. Jeszcze bardziej śpiewania kolęd w maseczkach. Ale myśmy się takich rzeczy nie spodziewali, a teraz uważamy je za normalność. Nową normalność.

No i sama kolęda po domach. Biskup Jeziernski stwierdził, że wierni mają prawo zagadnąć kolędującego księdza o okazanie paszportu covidowego. A więc dla niezaszczepionych księży oznacza to ban na kolędę. Stąd niedaleko do legitymowania się wiernych przed księdzem, no bo jeszcze trafi on na dom foliarzy i się zakazi, roznosząc wirusa po innych parafianach. Najgorzej, jeśli trafi na rosnącą grupę superroznośców, którymi są zakażeni zaszczepieni. Wtedy żaden dokument go nie uratuje. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Opamiętajcie się!

Wśród posłów, którzy podpisali się pod projektem ustawy 1846 wprowadzającej kontrolę szczytów pracowników, są ludzie, których znam jako uczciwych katolików. Nie będę tu pisał o Klausie Szwabie ani o depopulacji (choć „Wielki Reset” należy przeczytać), wystarczy wyłączyć na chwilę telewizor i sprawdzić statystyki zakażeń. Jeżeli dla Was to zbyt trudne, gotowe mapy pokazujące zachorowania versus procentowe „wyszczepienia” publikuje w mediach społecznościowych dr Marek Sobolewski z Politechniki Rzeszowskiej. Wynika z nich, że szczepienia nie hamują rozprzestrzeniania się wirusa. Kraje, gdzie jest o wiele więcej zaszczepionych niż w Polsce, np. Holandia, notują wzrost zachorowań i wprowadzają lockdown. Gibraltar, gdzie 100 proc. populacji przyjęło ten dziwny preparat, notuje 126 dziennych zakażeń na 100 tys. mieszkańców. Także w Polsce w szczytowym okresie listopada największą zakażeń było w województwach o największej liczbie zaszczepionych.

Zaraz usłyszę – owszem, ale zaszczepieni rzadziej umierają. Tego nie wiemy. Przypomnę, że za osoby „w pełni zaszczepione” MZ uznaje tylko te, u których upłynęło więcej niż 14 dni od przyjęcia ostatniej dawki, a mniej niż pół roku. Zatem do zmarłych „niezaszczepionych” trafiają również zmarli zaraz po przyjęciu kolejnej dawki, zaszczepieni jedną dawką,

a także osoby, które przyjęły ostatnią dawkę ponad sześć miesięcy temu. Ponadto statystyki mogą być zafałszowane przez fakt, że zaszczepieni rzadziej są testowani. Do niedawna było nawet takie odgórne rozporządzenie.

Powtarzam znane już argumenty, ale nie chcę wierzyć, że uczciwe osoby, jak np. Małgorzata Wassermann czy Robert Telus, wiedząc to, mogą popierać ten projekt. Nie piszę o zgonach poszczepiennych, bo większość tragedii jest niezgłaszana, a nawet jeżeli bliscy się uprą, to w końcu i tak nazywa się to „koincydencją czasową”. Prawnik Małgorzata Wassermann natomiast powinna wiedzieć, że projekt jest sprzeczny nie tylko z konstytucją, nie tylko z rozporządzeniem UE RODO, lecz także z Kodeksem Pracy, z Ustawą o zawodzie lekarza i lekarza dentysty i innymi aktami prawnymi.

Jest jeszcze aspekt ważny w kontekście Bożego Narodzenia – świąt pojednania i pokoju. Dotychczasowa polityka wobec SARS-CoV-2, oparta na niewiarygodnych testach, na izolacji, kwarantannach, ograniczaniu dostępu do opieki zdrowotnej, restrykcjach, nie tylko jest pełna absurdów. Niesie śmiertelne żniwo, rodzi konflikty, wzmacnia podziały, niszczy tkankę społeczną, a ponadto prowadzi do potężnych strat materialnych. Tworzyli ją ci sami „eksperti”, którzy dziś suflują Wam ten perwersyjny projekt. Błagam, opamiętajcie się! ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Popularyzator sznura

Któż więcej dla poezji popularyzacji uczynił w czasie ostatnim od niego? Któż?

Tusk Donald, wszedłszy na podwyższenie, miechami płuc nieśmiertelne wskrzesił strofy Miłosza. I wybrzmiało: „Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta / Możesz go zabić – narodzi się nowy / Spisane będą czyny i rozmowy / Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy / I sznur i gałąź pod ciężarem zgęźta”. A słuchały go miliony i miliony cierpiały katusze. Logopedzi cierpieli z powodu wady wymowy recytatora zwanej fachowo reraniem bądź rotacyzmem, inni z powodu nieostosowności czy też rzekomej nieostosowności strof umieszczonych w określonym kontekście. Tu niezbędne są pewne didaskalia. Reranie można przekuć w zaletę, czego przykładem był słynny reracz arystokratyczny Lucjan Kydryński. A co do stosowności czy też nieostosowności – to kwestia interpretacji. Ano właśnie! Interpretacji!

Ciała Polska oraz okolice zaczęły po Tuskuwym wykonaniu (moim zdaniem zaledwie dostatecznym) interpretować i rozbierać na głoski wiersz poety leżącego na Skałce, a rozpoczynający się od słów: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego”. Wiersz ten został wypowiedziany w obronie stacji TVN przed Pałacem Prezydenckim, gdyż TVN grozi śmiertelne niebezpieczeństwo zmiany właściciela, czym zagrożona będzie wolność słowa.

W sensie logiki jest tu pewna dziura, znaczy przepaść. Niby czemu zmiana właściciela miałyby oznaczać ubicie wolności słowa? Nie wiadomo, ale brzmi dramatycznie. Pewne wątpliwości budzi także karkołomna analogia, porównanie człowieka prostego do właściciela TVN. Ci Amerykańce nafaszerowani dolarami jak indor farszem to na pewno prości nie są. Ale do brzegu, do brzegu, czyli do sedna.

Czy kiedy Tusk występuje przed Pałacem Prezydenckim, wywierając nacisk na prezydenta Andrzeja Dudę, żeby nie podpisywał ustawy znanej jako „lex TVN”, i recytuje słowa: „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy / I sznur i gałąź pod ciężarem zgęźta”, to grozi mu śmiercią czy nie? To zależy. To zależy od woli interpretatorów. Niemniej Donald Tusk znów dał się poznać jako miłośnik kultury najbardziej wysokiej, który ma na takich jak ja wpływ rozszerzający horyzonty. Ja pamiętam, jak po przeczytaniu słów naszego Europejskiego Donalda Tuska w jego biografii „Szczerze”: „Siedzę w słońcu na tarasie, oglądam reprodukcje obrazów Kokoschki, a z telefonu puszcza „V Symfonię” Mahlera. Popijam powoli malwazję. Dawno nie czułem się tak szczęśliwy”, zaraz sprawdzałem, co to jest ta malwazja, czy aby nie wyprodukowali nowej odżywki białkowej, a ja nic nie wiem. A Mahlera znałem osobiście. Mieszkał obok. W drukarni robił. Dużo się ucę... ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Felieton dla niepocieszonych

Małgośka – mówią mi – napisz coś optymistycznego na koniec roku, bo tyle w nas obaw i goryczy. I tego nie rozumiem. Drodzy rodacy, my naprawdę nie mamy prawa do narzekań i dezyderatów w stosunku do Opatrzności, bo wciąż zamieszkujemy „najweselszy barak w obozie socjalistycznym”, choć tym razem Zjednoczonej Europy. I naprawdę żadna inna ziemia nie rodzi tylu dziwów, ile nadwiślańska, więc gdyby dziś żył Sienkiewicz, to napisałby nie 15 tys. listów, a lekką ręką milion e-maili.

Okazuje się, że w każdej dojrzałej cywilizacji spotkania z pustynią, puszcza, dzikusami i lepartami są na porządku dziennym, więc trzeba nauczyć się wreszcie rozkoszować nieplanowanym safari. Trzeba też pogodzić się z tym, że coraz więcej będzie barbarzyńców u wrót i transmisji z ich plemiennych wieców. Tyle że zamiast potrząsania włóczniami będą potrząsać transparentami, czasem nawet tańczyć z odkrytym zadkiem i eksponować macice. Zmieniono kod kulturowy w Europie, ale chrystianizacja wciąż może się jeszcze powieść, o ile odpijemy „chrześcijańskich demokratów” (czyli chadeków) od krzesel w PE. Niewykluczone też, że papież i kardynałowie rozsmakują się bardziej w gorliwej służbie wieczności, a nie doczesności.

Naprawdę idzie ku dobru i wcale nie jest powiedziane, że cesarstwo

niemieckie zdoła tu posadzić swojego namiestnika, bo może prezes Kurski zamówi remake Kapitana Klossa z Bradem Pittem w roli głównej i naród sobie odświeży, co znaczy żyć w rytmie „Hände hoch!” i „Schneller!”.

Poza tym nie mamy co marudzić na geograficzne umiejscowienie w tzw. strefie zgniotu, bo dzięki temu jest ciekawiej. Wystarczy pogadać z Portugalczykami, tam nuda i tylko droga na ichnią Ostrołękę. U nas zaś od wieków atrakcje jak na meczu tenisowym, choć trzeba przyznać, że znów pachnie rozgrywką Ribbentrop-Mołotow, a przecież zapłaciliśmy wystarczająco wiele, żeby nam oszczędzono powtórek z historii. Czy już Państwa pocieszyłam? Czy jeszcze powinnam napisać coś równie optymistycznego o inflacji i cenie energii?

Otóż, jak ktoś słusznie zauważył, ceny gazu idą w górę, ale – o dziwo – ceny wody gazowanej na szczęście nie. Naprawdę, gdzie nie spojrzeć jest dobrze, bo mogłoby być gorzej, a nie jest! Mnie np. przez całe lata mówiono, że ze mnie pisarka będzie, a tu na szczęście ani Nobla nie dostałam, ani nawet książki żadnej nie opublikowałam. I w tym największa pociecha dla ludzkości! Ale Państwu niestety nie odpuszczę i zamiast „Małgośka, tańcz i pij”, będę jedynie pióro nabijając i dalej sobie kpić. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Głośniej, synku!

Gdy w październiku 1964 r. Zenon Kliszko, członek Biura Politycznego, prawa ręka Gomułki od spraw kultury, na zebraniu w Związku Literatów obsztorcowując sygnatariuszy „Listu 34”, mamrotał zbyt cicho, pisarka Izabela Czajka-Stachowicz krzyknęła bezceremonialnie: „Głośniej, synku!”. Sala zarechotała, Kliszko wyraźnie się speszył. Incydent ten stał się ukochaną, powtarzaną z dumą anegdotą środowiska literackiego, dowodem jego bohaterstwa i odwagi.

Byłoby tak, gdyby pozwolił sobie na to jakiś pisarz niezależny, np. Leopold Tyrmand czy Marek Nowakowski, których nie ominęłyby przykre konsekwencje. Działo

Diametralnie inny był natomiast jej okres przedwojenny. Jako córka zamożnego żydowskiego rodu Szwarców, a potem żona kolejnych, wpływowych mężów studiowała w Paryżu, podróżowała po Europie, obracała się wśród artystycznej bohemy, brylowała w Warszawie w Zodiaku i Ziemiańskiej. Piękna i pełna temperamentu została żoną Witkacego, uwiecznioną w jego „Pożegnaniu jesieni” jako Hela Bertz – „demoniczna nimfomanka, kobieta notorycznie łatwa”.

Bezproblemową egzystencję międzywojennej celebrytki skończyła wojna. Przetrwiała szczęśliwie okupację u ukrywającego ją bezinteresownie kowala

krzytki – Marceli Reich-Ranicki, już wtedy współpracownik UB.

Niemcy zrabowali jej przeszło 250 bezcennych obrazów, m.in. Matisse’a. Licząc na ich odzyskanie, została szefem ochrony Komisji Rewindykacyjnej prof. Lorentza poszukującej zawłaszczonych przez hitlerowców dzieł sztuki. „Z niesłychaną bezczelnością docierała do wszelkich kryjówek, terroryzując ukrywających te rzeczy Niemców rewolwerem. Jej energii zawdzięczam uratowanie tylu rzeczy, m.in. obrazów Matejki” – mówił Lorentz.

W katalogach IPN brak o niej materiałów, ale według wielu źródeł doszła w UB do stopnia kapitana, nazywano ją więc Czajką-Czerezwyczajką. Wyciągnęła z UB wiele osób, także za pieniądze. W 1949 r. „całując jej kapitańskie ręce”, prosił ją listownie o pomoc sam Jarosław Iwaszkiewicz – gdy UB aresztowało syna jego pracownika ze Stawiska.

W 1949 r. wróciła do Warszawy. Dostała mieszkanie na Mokotowie, na osiedlu WSM. W 1961 r. otrzymała rentę specjalną. Pisała wspomnieniowe książki, w których zmyślała, konfabulowała, fantazjowała. Podróżowała po świecie, m.in. do Indii, Afryki, Kanady, Ameryki Południowej, twierdząc, że pozwalają jej na to pieniądze byłych kochanków, ale otrzymywała ciągle przydziały dewiz po państwowej cenie. W 1958 r. odwiedziła w Buenos Aires Witolda Gombrowicza. Przyjazdy osób z Polski były nadal wielką rzadkością, nie miał więc wątpliwości, że nasłano ją, aby go skompromitować i gdy po powrocie obsmarowała go w „Przekroju” jako chłystka i skąpca, napisał do niej, radząc, aby „wsiadła w pociąg Opanowanie, pojechała do stacji Opamiętanie i zamieszkała w pensjonacie Oprzytomnienie”. ©©

W katalogach IPN brak o Izabeli Czajce-Stachowicz materiałów, ale według wielu źródeł doszła w UB do stopnia kapitana

się to jednak na zebraniu partyjnym i krzyczał swój do swego. Bezkarna, zasłużona towarzyszką, której nie spadł za to włos z głowy. Utrwalaczka ludowej władzy, ekspartyzantka i milicjantka. Stara znajoma do starego znajomego, bo jak wiele dzieci z zamożnych, żydowskich domów flirtowała przed wojną z komunizmem i wspomagała obiadkami biednych młodych komunistów, m.in. Kliszkę. I choć już leciwa (rocznik 1893) i głuchawa, nadal lubiła skandalizować, prowokować. Była, jak pisała Maria Dąbrowska 3 marca 1960 r.: „Rozwrzeszczaną staruchą, błaznem posiedzeń partyjnych. [...] Pod »figurą« starego enfant terrible mówi różnym ważnym personom impertynencje, które nikomu innemu by nie uszły. [...] Jej niepowściągliwy język, rubaszny, hałaśliwy humor mogą bawić jak kabaret, pod warunkiem, że się ją widzi i słyszy raz do roku”.

z podlubelskiej wsi, a później w czerwonej partyzantce Armii Ludowej. Pozbawiona rodzinnego mecenatu, niemłoda już, postawiła teraz na nową władzę. Latem 1944 r. zjawiała się w pekawuenskim Lublinie razem z wjeżdżającą tam na czołgach Armią Czerwoną. Uczyła sowieckich oficerów języka polskiego, wstąpiła do Dywizji Kościuszkowskiej i razem z nią przeszła cały szlak bojowy aż do Berlina.

Z wojska skierowano ją do Komendy Milicji Obywatelskiej w Katowicach, gdzie służyła jako porucznik, a potem kapitan. W mundurze i skórzanym płaszczu, z naganem u boku. Prowadziła też – pod okiem płk. Luny Bristigerowej – pierwszy chyba powojenny salon literacki, a jego gośćmi byli m.in. Wojciech Żukrowski, Wilhelm Szewczyk i późniejszy papież niemieckiej

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Amerykanie rozbierają choinkę zaraz po świętach. Koniec świąt, więc sprzątamy. Niektórzy trzymają drzewko do Trzech Króli, ale potem... już tylko ja. Gdy sąsiedzi z prerii widzą w moim domu choinkę pod koniec stycznia, patrzą na mnie dziwnie. Jeden zapytał wprost, czy jestem „Ruski”, bo on słyszał, że w Rosji jest jakiś inny kalendarz i mają Boże Narodzenie na początku roku, co mu się nie mieści w głowie. Powiedziałem mu, że dobrze słyszał, bo oni tam mają Wigilię na Trzech Króli.

– Ja cię kręcę! A sylwestra robią kiedy?

– Wtedy co my.

– Czyli sylwestra mają przed Bożym Narodzeniem? – nie mógł tego zmieścić w głowie. – W wojsku mi mówili, że u Ruskich ogólnie burdel i dlatego atakują na wariata, wrzeszcząc „Huuuraaa!!!”, ale żeby do tego stopnia? Przecież ja bym im poprawił ten kalendarz w trzy minuty.

– Oni nie chcą, bo są z niego dumni.

– Aaa widzisz, to tak jak z Brytolami. Nie idzie się w pewnych kwestiach dogadać. Mają kierownicę po złej stronie auta i też są z tego dumni. Popaprańcy. Tak jakbym ja był dumny z tego, że mam zeza.

[Mieszkam na prerii już tyle lat, a preria wciąż zaskakuje świeżym spojrzeniem na wiele spraw.]

W sprawie mojej „przereminowanej” choinki powiem tyle: kiedyś choinkę ubierało się dopiero na święta (u mnie w domu w Wigilię), a rozbierało dopiero na liturgiczny koniec okresu Bożego Narodzenia, czyli w MB Gromnicznej. Tę polską tradycję przenieśliśmy do mojego domu w USA. Ale...

ROZBIERANIE CHOINKI



FOTO: W. CEJROWSKI / DZIENNIK WARSZAWSKI

Od przyszłego roku chyba się złamię, bo system amerykański podoba mi się bardziej, i to z powodów religijnych. Czym jest Adwent? Radosnym oczekiwaniem. To oczekiwanie pełne wyrzeczeń, bo mamy do czynienia z oczekiwaniem na szczęśliwe rozwiązanie ciąży, czyli w tym okresie (końcowej ciąży) sensowne jest, by „hucznych zabaw nie urządzać i wina nie lać”, lekko się wyciszyć. I powinno to dotyczyć wszystkich osób oczekujących, a nie tylko Matki. No ale Adwent to jednak oczekiwanie RADOSNE i jest jak najbardziej normalne, że tak jak w przypadku narodzin każdego dziecka szykujemy dom: sprzątamy, stroimy, urządzamy pokój, łóżeczko, kupujemy zabawki...

Dlatego podoba mi się koncept amerykański (choć u zarania świecki i handlowy), polegający na tym, że radosne oczekiwanie, strojenie choinki, zapalanie światełek odbywa się przez cały Adwent. Czyli za rok postawię choinkę dużo wcześniej. Szczególnie po tym, co mi się przytrafiło w tym roku.

Rok temu wykonałem podwójne salto choinkowe. Zamówiłem choinkę na gotowo z hucznym wniesieniem i wyniesieniem. Rok 2020 był lekko parszywy, więc chciałem go zakończyć z rozmachem znanym ze starych dobrych czasów, gdy Ameryka była wielka. Pojechałem na luksusowo. Kupiłem największą choinkę, jaką mi wchodzi do domu. Najwyższa możliwa, najszerza możliwa i najgęstsza z dostępnych. Zrobiłem to przez telefon, w firmie, która obsługuje bogate domy.

Choinka przyjechała z personelem, stosownie przeszkolonym i ubranym. Na eleganckiej lawecie – lepszej, niż dają pod trumnę marszałka. Z bożonarodzeniową muzyką sącząca się dyskretnie. Przyjechała oprawiona w fabryczny stojak z kubelkiem na wodę, a obsługa nie prosiła o podanie wody, bo mieli własną. Obsługa prosiła tylko o wskazanie miejsca palcem, gdzie drzewko ma stanąć. Wskazałem i stanęło.

Po świętach zgłosił się do mnie z zapytaniem, kiedy mają wynieść i zabrać drzewko. Podwójne salto choinkowe polega na tym, że tak jak wnieśli, tak potem zabierają suche i zamiatają po sobie igielki. Kosztowało dużo, ale po tym parszywym roku 2020 chciałem sobie dogodzić i ta usługa warta była swojej ceny. Każdego dolara.

Jedyna niedogodność to terminy, bo... W USA choinki rozbiera się zaraz po świętach, a u mnie trzyma się choinkę do Gromnicznej. Tego nie była w stanie zrobić nawet wysoce luksusowa firma. Zawiadomili mnie uprzejmie, głosem spokojnym i cichym, że są firmą SEZONOWĄ i we wszystkich innych domach mają już sprawy podomokane i naprawdę nie mogą dłużej czekać. Dobra. Coś za coś. Chciałem podwójne salto, to muszę się dostosować do terminów.

Przyjechali. Wchodzą zabrać drzewko, a tu wszystkie ozdoby i lampki na miejscu, a Pan WC siedzi z nogami na kominku. Gdybym palił, to miałbym jeszcze fajkę w zębach i pykał kółkami dymu.

– Eee... – zbiło ich lekko z pantałyku. – Mamy ją panu rozebrać? Do takich rzeczy

przyjeżdża trochę inny personel, a my tu dwa drwale.

– Proszę brać, jak jest.

Chciałem się cieszyć do ostatniej możliwej chwili i się cieszyć. Chciałem się cieszyć, jeszcze patrząc, jak ona odjeżdża na tej waszej lawecie, to się będę cieszył. Macie tam prąd? To podłączcie lampki i niech świeci! Hej!

– Czy te ozdoby, które ocaleją, mamy panu odesłać?

– Nie! Cały ten zestaw ma ponad 10 lat, połowa lampek nie świeci i muszę je ukrywać w głębi drzewka. Kupię sobie nowe i to też będzie frajda.

Nadszedł Adwent roku 2021 i najpierw w całej Ameryce zabrakło choinek. W ostatniej chwili zadzwoniłem do tamtej luksusowej firmy i zamówiłem drzewko może nie tak duże jak rok temu i nie musi być tak szerokie ani gęste. Przywieźli i skasowali tyle, ile rok temu wzięliby za choinkę ubraną na gotowo. Ceny w górę, bo przyszedł Biden i w kraju pełnym lasów zabrakło choinek na święta.

Następnie zabrakło bombek. Stoją w kontenerach, których ekipa Bidena nie jest w stanie od pół roku rozładować. Kontenery bujają się na statkach, a statki stoją u wybrzeży USA. Na lądzie brak kierowców, brak tirów, a to z powodu pomysłów socjalnych, klimatycznych oraz szczepieniowych, które wdrożyła władza.

Moja amerykańska choinka przypomina w tym roku choinki, które mieliśmy w PRL w stanie wojennym. W tamtych czasach wieszano się na gałązkach wypolerowane jabłka, pomalowane orzechy włoskie i specjalne choinkowe pierniczki – jedne brązowe, drugie lukrowane na biało. Taką choinkę rozbiera się poprzez stopniowe wyjadanie ozdób. I taką właśnie mam w tym roku. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISKI
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

W PREZENCIE

PAKIET KRYMINAŁÓW

REMIGIUSZ MRÓZ „EGZEKUCJA”,
DUANE SWIERCZYNSKI „REWOLWER”
JO SPAIN „WYZNANIE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

317,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 462 zł



CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

epresa.pl 97b62b9cff



ROAMER

OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY



C-LINE